

Teresa Hołówka.  
Delicje ciotki Dee.

Są to zapiski z trzydziestu miesięcy spędzonych w Stanach Zjednoczonych. Lecz nie będzie w nich mowy o kampaniach wyborczych, knowaniach "jastrzębi", trendach społecznych, nowych pomysłach lewicowców i prawicowców, slumsach i bezrobociu. Nie będzie też w nich opinii kół intelektualnych, problemu rasowego i chicagowskiej Polonii, kontestatorów, milionerów, sekt religijnych, Indian i mafii. Los bowiem zrzucił, że miesiące te upłynęły mi głównie - najpierw jako stypendystce, później jako żonie towarzyszącej wraz z dziećmi "zakontraktowanemu" mężowi - w niewielkim mieście Midwestu, Środkowego Zachodu, gdzie zadyszana atmosfera nowojorskich nowinek wydaje się nie mniej odległa niż dżungle Afryki. Gdzie nie ma etnicznych enklaw, a ludność - przetopiona w tyglu od paru pokoleń - nie szuka żadnych "korzeni". Gdzie mieszkaniec, właściciel pralni, księgowy czy szlifierz w małej fabryczce, chwali sobie rdzennie amerykański styl życia i nie wzdycha do przepychu Florydy, drapieżnego Teksasu ani będącej Mekką wszelkich nonkonformistów Kalifornii. Gdzie wszyscy myślą, że znajdują się dokładnie w miarowo, nieprzerwanie bijącym sercu swego kraju i że są solą tej ziemi. Midwest uchodzi za najmniej efektowną część Stanów Zjednoczonych. Zawsze jednak sądziłam, że gdy kogoś ciekawi mentalność takich na przykład Polaków, winien udać się raczej do Radomska czy Gostynina niż do Krakowa, Warszawy, Chałup na Helu lub Bohnik w Białostockiem. I zakosztować tego, z czego składa się ich dzień powszedni - pojechać gdzieś PKS-em, zamówić hydraulika, czy zjeść posiłek w barze mlecznym, udać się z bolącym uchem do lekarza, popracować w sklepie warzywniczym albo w zarządzie spółdzielni, pójść na wywiadówkę, wystać kawałek czegoś na niedzielny obiad. Bo różnice kulturowe w niczym nie wyrażają się tak bezpośrednio jak w smaku codzienności.

Codziennosc na Midweście okazała się bardzo egzotyczna, a żyjący nią ludzie - równie chwilami niepojęci jak Papuasi. Rola komentatora przypadnie więc często w niniejszych zapiskach nie autorce, lecz "tłumaczom" - owym licznym osobom płci obojga, które uprzystępniały jej wszystkie rzeczy niezrozumiałe,

zaskakujące i na pozór absurdalne. Płacić frycowe Przed pierwszą wyprawą na Midwest słucham opowieści Globtroterki:

- Tematu i tak nie wyczerpię, ze trzy doby można by prawić, i zresztą cudów nie ma, tak czy owak na początku będziesz robić z siebie idiotkę. Zrozum, to naprawdę jest Nowy Świat. Niesłychanie rozwinięta cywilizacja materialna, w której co drugi przedmiot - dla tubylców oczywisty - przerastać musi wyobraźnię kogoś stąd. Na przykład klucz. Służy wyłącznie do otwierania. Ich zamki samoczynnie się zatrzasują. Przesiedziałam kiedyś całe popołudnie w laboratorium, bo nie wiedziałam, jak zamknąć. Wkładałam toto do dziurki, ani w tę, ani w tę, a wokoło sprzęt warty miliony, ktoś coś łupnie i będzie na mnie. Dopiero dozorca, wystraszony światłem, wyjaśnił sprawę. I turlał się chłop ze śmiechu. A propos drzwi. W sklepach i urzędach są na fotokomórkę i otwierają się w ostatniej chwili. Wal śmiało, ale zaskarbij sobie - nie pomyśl tych dla wychodzących z tymi dla wchodzących. Jak pchniesz niewłaściwie, ani drgną, więc zaczniesz szarpać, znam ja Słowian, i ściągniesz sobie na kark cały personel. To samo w autobusie. Wsiadaj tylko przodem. Jak spróbujesz środkiem, facet przytnie ci noc i jeszcze obruga. Tam jest porządek i nikomu, ale to dosłownie nikomu, nie przyjdzie do głowy, żeby się wyłamać. Acha, to bardzo ważne - ubikacja! Pamiętaj, że sedes napełnia się wodą aż po brzegi, tak jest podobno higieniczniej, no a oni mają na tle higieny kompletnego hopla. Żeby tak o tym wiedziała przed pierwszą swoją nocą w hotelu! Horror wyszedł. Wchodzę, dywan po kostki, łóżko z wodnym materacem, papier toaletowy w różyczki, same szykany - i nagle zatłoczony pikus. Siadę, spuszczę, to się przeleje. Jakoś głupio iść z tym do recepcji. No więc pogałam na stację benzynową. Ale i tu to samo, wszędzie wody po brzegi, ha, trudno, pewnie jakaś awaria czy co, posuwam chyłkiem, ciszką w chaszczce za stacją. Podpatrzył mnie chłopak od nalewania benzyny, leci z wrzaskiem: złodziejka, ludzie

łapcie! To ja z powrotem do hotelu, recepcjonista rozstawia szeroko ręce, przytrzymuje, obaj strasznie podekscytowani, chcą zaraz dzwonić po policję, ja klaruję, tłumaczę, jak mogę, z tego strachu angielski chachmęci mi się z francuskim, tobie też by się pochachmęcił, co chcesz, pierwsza noc w obcym kraju, w końcu w bek. Idą za mną do numeru. Pokazuję ten nieszczęsny pikus, klaruję jeszcze raz od początku, wytrzeszczają oczy jak cielęta. Co tu niby zepsute? No, zatkanie, powiadam, pewnie coś siedzi w rurze. Facet naciska pedał, woda spływa do imentu i znów bezszmerowo się napełnia. Coś się pani przywidziało, może lekarza? Zostaw, mówi chłopak od benzyny, ona nie crazy. Przejechała skądś, gdzie na te rzeczy chodzą na świeże powietrze. Będiesz miała takich sytuacji tysiąc. Wcale ci nie zazdroszczę. Poobijasz się na początku wśród tych wszystkich ułatwaczy życia jak pijane dziecko we mgłę. Brr, nie chciałabym tego znów przeżywać! W pierwszych chwilach po przyjeździe diabeł zdaje się nie tak straszny, jak go Globtroterka malowała. Hotel jak to hotel, winda jak to winda, w Pałacu Kultury też taką mają. A gdy wrzucimy coś na ząb, to wszystkiemu śmiało stawimy czoła. Gdzie tu, proszę pana, można zjeść śniadanie? Gdzie można zjeść śniadanie? O co mi chodzi? No o śniadanie. Tak jest, śniadanie. Jakiego rodzaju? No zwykłe, normalne śniadanie. Czy mam pieniądze? Pewnie, że mam. Więc gdzie tu można by tu zjeść? Nie odpowiada, przygłup jakiś czy co? Trudno, poszukam sama. Tu lepiej nie wchodzić, restauracja, czort wie, jacy tu kelnerzy. Szukajmy dalej, napisane "cafeteria", ale w środku bar samoobsługowy, szwedzki ciąg, metalowe tacki, dobra nasza, nawet kolejkę mamy. Same sandwicze. Co też mają w środku, podobno niektóre rzeczy są zupełnie niejadalne, żadnego napisu, a pieczywa bez dodatków jakoś nie widać, tak, tak, proszę pana, już się przesuwam. A co tu w tych garnkach? Jakies paciagi - i znów żadnego napisu ani nie wiadomo co w środku, ani za ile, tak, tak, już się przesuwam, to ja poproszę kawałek tego mięsa? Ile? Nie wiem ile (uncję, pół funta?), ile się ukroi, no, jedną porcję. Przepraszam, nie rozumiem. Do do mięsa? Chyba sałatę. Jakiego rodzaju? No, zwykłą, normalną sałatę, czego on tak wytrzeszcza oczy, cudzoziemki w życiu nie widział, przepraszam, znów nie rozumiem. Tysiąc Wysp? Francuskie Przybranie? Niebieski Ser? Nie, nie. Czego sobie życzyć? No, niczego, tak, tak, już się przesuwam, o, są napoje, to poproszę kawę. Tak, kawę, proszę pani. K-a-w-ę. Ta też wybałusza oczy, co za cholera? Może to hotel mormonów czy co, oni podobno żadnych używek nie uznają... Czy nie ma tu kawy? No więc, jak jest, to gdzie stoi? Głucha czy co? Wszystko jedno, bierzmy jakiś płyn i aby do kasy. O Boże, osiem dolarów, za co to, za kawałek wołowego z kością i trzy listki zielonego? Dlaczego nie daję reszty, na co czeka? Aha, płaci się przy wyjściu. Jedźmy więc prędko. No tak, mieli rację rodacy, tu wszystko niejadalne, mięso nie dopieczone, sałata bez krztyny czegokolwiek, a płyn śmierdzi apteką. Byle zapłacić i wio stąd. Tak znów reszty nie wydaje, co oni, na wytrzeszcz wszyscy chorzy? Może tu daje się napiwek kasjerce? No niech jej tam będzie! Chryste Panie, ale wyje! Co to wyje? I czemu wszyscy lecą w moją stronę? Ogień? Jaki ogień? Ludzie, przecież ja nic nie podpaliłam! Po paru miesiącach śmieję się sama z siebie, oglądając ten film w prywatnym kinie retrospekcji. Niezły byłby z tego instruktaż dla przybyszów, którym nie dane dotąd było zetknąć się z tutejszą organizacją życia. Więc od początku: w kraju, gdzie każde dobro i każda usługa występuje w niezliczonych wariantach, gdzie od obfitości ofert dostaje się zawrotu głowy, pytanie: "Gdzie można coś zjeść?", postawione w recepcji dużego hotelu, brzmi całkowicie absurdalnie. To tak jakby na dworcu zapytać: "Gdzie tu można przejechać pociągiem?" Nie widziała nigdy kolei? Niewidoma? Analfabetka? Kpiny sobie stroi? Hotel bez kilku restauracji, barów, amatorów z przekąskami i napojami, bez znajdującego się nieopodal centrum handlowego z wszędobylską gastronomią (Macdonald, pizzeria, meksykańszczyzna, ruszt) - taki hotel jest czymś niewyobrażalnym. Tubylec pyta przeto: "Którędy do tańszej restauracji?" albo : "Gdzie mogę szybko dostać śniadanie za trzy dolary? Albo: "Chcielibyśmy zjeść elegancki lunch wegetariański. Co może nam pan polecić?" Albo też: "Na którym piętrze mógłbym się w ciszy napić kawy z ekspresu?" A dalej: potrawy leżą w barach bez napisów i cen właśnie dlatego, że za ladą stoją osoby w białych kitlach, którym płaci się za to, by wyczerpująco i uprzejmie poinformowały: ten sandwicz jest z indykiem, a tamten z żółtym serem i marynowaną kukurydzą, tu ma pan twaróg na słodko, z melonem, ananasem i szczyptą anżeliki, a tam - szynkę z makaronem, bazylią, tymiankiem, tylko 200 kalorii za trzy pięćdziesiąt. Po podjęciu

decyzji obsługa proponuje długą listę dodatków. Bowiem jeść to nie tyle zaspakajać głód, ile raczej oddawać się jednej z najbardziej wyszukanych rozrywek, której integralnym składnikiem jest indywidualny, nieskrępowany wybór. Konsument nie wdający się w konsultację z ludźmi w białych kitlach profanuje ceremoniał posiłku, lekceważy starania firmy i uniemożliwia jej pracownikom wykazanie się gotowością, słusznie tedy traktuje się go jak grubianina i intruza - to jest raczej niewzruszonym milczeniem. Casus "wołowego z kością" to zwykły błąd, polegający na trzymaniu się przywiezionych skądinąd wyobrażeń o cenach. Komplet guzików do bluzki może kosztować połowę tego co nowa bluzka - w przeciwnym razie nie opłacałoby się dostarczanie guzików na rynek. Pomarańcze tańsze od kartofli - ale też, szybciej się psują, kto by je kupował, gdyby nie stać na nie było każdego. Aligierski sikacz za te same pięć dolarów co średniej klasy whisky - oczywiście, im mniejszy zbył, tym większa marża na trzymanie rzadkiego towaru na półkach. Koszula nocna z "kory" czterokrotnie droższa od przeźroczystej piżamy "baby-doll" - logiczne, czysta bawełna to nie to co nylon. Przypieczone zaś wołowe z kością zowie się tu "marynowany rostbef", uchodzi za potrawę luksusową (czyste białko zwierzęce, chude i pożywne) i kosztuje tyle co kilka gigantycznych hamburgerów, podczas gdy karkówka i schab (colesterol!) poniewierają się po supermarketach wraz z flakami podrobami i innym niezdrowym świństwem, wykupywanym przez biedotę. Natomiast "Tysiąc Wysp", "Francuskie przybranie", "Niebieski Ser" - to popularne sosy do sałaty, bez której nie może się obejść żaden posiłek. Tubylcy sądzą, że używa się tego w każdym zakątku kuli ziemskiej. Teraz o kawie: cienką lure, będącą narodowym napojem (konia z rzędem temu, kto wypatrzy w sklepie imbryk do herbaty), prawie wszystkie nalewa się samemu z automatu. Niklowane pudło na ladzie, które uznałam za pojemnik na serwetki, było właśnie maszynką do kawy. Sięga się pod spód, naciska dźwignię, wydobywa jednorazowy kubeczek, przekręca kurek (nie majdrować nim, wyłączy się sam po nalaniu porcji!), doprawia cukrem lub sacharyną i śmietanką, zwykłą lub odtłuszczoną, wszystko w jednorazowych opakowaniach. Pannica za ladą wybałuszyła oczy, bo nie mogło jej się pomieścić w głowie, że ktoś nie zna tak standardowego przedmiotu. Nie mówiłam przy tym nic, bo tutejszy savoir-vivre nie dopuszcza komentowania czyichkolwiek zachowań w miejscu publicznym. Tym bardziej nie dopuszcza tak lubianych gdzie indziej lekcji wychowawczych. To, co robimy, jest naszą prywatną sprawą. Rachunek w lokalu płaci się przy wyjściu. Mogło nam przecież nie smakować i wtedy mamy prawo do natychmiastowej reklamacji. Gdyby się człowiek uparł, mógłby wziąć szklankę z aptecznym świństwem (piwem imbirowym, Amerykanie kochają się w korzennych napojach i "Doktor Pieprz" idzie nie gorzej niż coca-cola), oświadczyć, że czuć je stęchlizną, i zażądać skasowania tej pozycji z rachunku. Firma woli zawsze ponieść raczej niewielką stratę, niż narazić się na niezadowolenie klienta. Napiwek kładzie się kelnerowi na stole, a po resztę - nadstawia szeroko otwartą dłoń (chyba że przy kasie zainstalowany jest automat, wypływający bilon). Niewykonanie tego gestu oznacza, że kwestionujemy rachunek. I finał: każde większe pomieszczenie publiczne ma dodatkowe wyjście na wypadek pożaru, Ponieważ wszelkie napisy są tu bezwzględnie respektowane i żadnemu tubylcowi nie strzeli do łba posłużyć się takim wyjściem w zwykłych okolicznościach, popchnięcie drzwi włącza donośną syrenę alarmową... Senny koszmar trwa przez dni następne. Z poręczeniem w garści wędruję do banku, by zaciągnąć pożyczkę na pierwsze potrzeby. Ki diabeł, nikt nie umie powiedzieć, gdzie ten bank jest. Jeden wzrusza ramionami, drugi zachowuje się jak głuchoniemy, trzeci radzi skontaktować się z policją. Dwie panie zza szybki samochodu słyszały, że to gdzieś w północnej dzielnicy. A przecież to jest miścina wielkości Siedlec. Z poobijanymi piętami, skołowana do szczytu, ładuję w jakimś drugostorze, by napić się czegoś zimnego. Sprzedawca też nic nie wie. Związek Kredytowy? Pierwszy raz słyszę. Ale dzień to mamy dziś piękny, prawda? Znow rozedrgana z upału ulica. Hej, czy mi się w oczach nie troi? Związek Kredytowy jak byk, trzy domy dalej. Ślepy czy złośliwy ten z drugostore'u? - Ani ślepy, ani złośliwy - wyjaśnia potem ubawiona Kaśka. - Normalny obywatel. Co go obchodzi jakiś bank, jeśli nie jest jego klientem. Facet pilnuje swego biznesu, to znaczy drugostore'u. Pewnie nawet nie spostrzegł, że ma bank przed nosem. Trzeba było od razu zaopatrzyć się w plan, a adres wziąć z książki telefonicznej. Tu nikt nie zna się na topografii. Moi sąsiedzi mieszkają dwadzieścia lat w Detroit i nigdy nie byli w

śródmieściu. Wszystko jest zorganizowane tak, że nikt nie musi się nigdzie pałętać. Rano do roboty, o piątej po południu tą samą trasą do domu. Raz w tygodniu na zakupy do swojego supermarketu, raz w miesiącu na piknik na swój camping albo na fun do swojego kina, raz na kilka miesięcy do swojego lekarza, dentysty, adwokata. Reszta przez telefon. Więc nie pytaj przechodniów o drogę, bo to bez sensu. Nie mówiąc już o tym, że jak się wleciesz po ulicach w upał na piechotę, jesteś osobą podejrzaną. Nie masz samochodu i nie masz na taksówkę. Kto wie, co za jedna. Jeszcze się przyczepi. Pożyczka bankowa przydaje się natychmiast. Pensja płatna z dołu, a mieszkanie wraz z utilities (prąd, woda) z góry. Zarządca budynku wpuszcza do mikroskopijnej kawalerki: kanapa, biurko z krzesłem, ogromna szafa w ścianie, kuchenka i brodzik z prysznicem. Podsuwa jakąś bumagę - jak się okazuje pół roku później, podpisałam oświadczenie o objęciu lokalu bez usterek, co kosztować będzie pięćdziesiąt przy wyjeździe: za starą jak świat dziurę w dywanie, ruszt zepsuty i brak dwóch szuflad w biurku. Prędko teraz do sklepów. Potrzebny jakiś talerz, kubek, czajnik, widelec, lampa, bo oświetlenie wyłącznie boczne, a żarówki nie ma w co wkręcić, no i, do licha coś na kolację. Proszę, proszę, sklep pod samym bokiem, wszystko mają, sztucce, koce, żarcie, lekarstwa, nawet kwiaty w doniczkach, nie ma to jak kapitalizm. Klient nasz pan, żadnej kolejki, choć to początek semestru. Chryste Panie, to niemożliwe, trzydzieści dolarów za takie duperelki? Globtroterka upominała nieraz: niech cię Bóg broni przed małymi sklepikami! Są najdroższe. Nie dodała jednak, że "mały sklepik" może mieć rozmiary osiedlowego samu. I że zdiera skórę czasem za specjalizację - żywność orientalna, lody ręcznie nakładane, kostiumy do joggingu - a czasem za zlokalizowanie. Jeśli ktoś wykupuje grunt i stawia placówkę typu "śledź, mydło i powidło" tuż pod blokiem olbrzymiego wieżowca z pokojami do wynajęcia, nie może liczyć na duży ruch. Tubylcy wiedzą, że w dużych centrach handlowych za miastem te same artykuły kosztują dwa razy taniej. Właściciel więc musi wyjść na swoje na okazjach: zdezorientowanych cudzoziemców, nowo przybyłych, którzy jeszcze nie kupili samochodu, zapominalskich, którym nagle skończyła się sól, papierosy czy prezerwatywy, dzieciach, które zawsze mają ochotę napić się czegoś orzeźwiającego. Niewielkie obroty, wysokie ceny, sprawa prosta jak drut. Do północy wojują z przedmiotami. Kanapka nie daje się nijak rozłożyć, zepsuta, prześpimy się na dywanie. Jak u diabła, otworzyć okno? Duszno nie do wytrzymania, ani jednej klamki, na pych też nie idzie, może tu trzeba mieć klimatyzację i okien się wcale nie otwiera? No to chociaż się umyjmy. Boże, ale wali, co to za natrysk, pewnie wysiadł, no tak, wali jeszcze mocniej, wali na cały pokój, jak to się zakręca? Nie w lewo, nie w prawo, aha, dźwignią do tyłu, no pewnie, w końcu i tu może się coś zepsuć, z czego by żyli hydraulicy, spróbujmy w zlewie kuchennym, byle go tylko zatkać. Co ten korek taki duży i wcale nieszczelny, dociśnijmy mocniej, może będzie trzymał, o cholera, co tak wyje, ryczy coraz głośniej, pewnie jakaś piekielna uszczelka, rury mają szerokie, i to uszczelki pewnie ogromniaste, lepiej tego nie dotykać, jeszcze będzie na mnie, byle teraz zasnąć, jak ja tu sobie dam radę, pod Twoją obronę uciekamy się ... byle tylko nie sfiksować, jak jest po angielsku uszczelka... święta Boża Rodzicielko, naszymi prośbami... - W moim pokoju, proszę pana, wszystko jest zepsute. Najgorzej z prysznicem, zlewem, i... Rudy zarządca budynku krztusi się poranną kawą. Zobaczmy. Pokręca, odkręca i - rzecz jasna - wytrzeszcza oczy jak cielę. - O co chodzi z tym prysznicem? - No jak to, za silne ciśnienie, wali na cały pokój, zalewa podłogę... - Ciśnienie normalne. Czy tam, skąd jesteś, nie ma pryszniców? To jest urządzenie do wodnego masażu ciała, więc nie może z niego kapać! - Ja tam nie chcę masażu. Proszę go przykręcić. Podłoga zgnije. - Powiem ci coś, mała. Matka nauczyła mnie jednej rzeczy: pomyśl dwa razy, zanim ludziom zawracasz głowę. Taaa, matka wiedziała, co mówiła... - Że niby jak? - Taaa, matka wiedziała, co mówiła. Byle jak najdalej od cudzoziemców, też mówiła. Ja stąd w przyszłym tygodniu odchodzę, dom wariatów, co jeden to wariat. Psują telefony, nie potrafią użyć prysznica, rozwalają śmiecie, wszystkiego się można spodziewać. A w tym zlewie to co? Pewnie diabeł siedzi? - Zlew warczy, to pewnie ta... no, jak to się nazywa, takie małe coś, gumowe, jak się zepsuje, to ryczy... - Diabeł, diabeł, nic innego. Wiesz co, mała, dzwoń sobie do właściciela. Nie mój biznes, ja stąd odchodzę, matka mądra była, miała racje, przyjeżdża to nie wiadomo skąd, łazienki nie widziało, zlewu nie widziało, kto i po co ich tu naspraszał... Korytarzem sunie Hinduska. -

Masz kłopoty? Zaraz ci wszystko wyjaśnię. Prysznic? Musisz sobie do niego kupić zasłonę, shower curtain, leży w sklepie obok nylonowych obrusów. Żaluzje spuszcza się tym sznurkiem, okno otwiera przesuwając szybkę. Kanapkę ściągniesz do siebie za dolny brzeg. Ach, zlew. Też się go przestraszyłam. On ma tu w środku młynek, który miele to, co do niego wrzucisz, obierki od kartofli, resztki jedzenia. Młynek włączasz ustawiając korek na trzy czwarte i odkręcasz kran. A śmieci wynosi się do ogólnego pieca w dużych plastikowych worach, nazywają się garbage bags, dostaniesz w każdym drugstorze. W ogóle jak masz problemy, pytaj cudzoziemców. Ten tutaj rudy pewnie wyjeżdżał tylko raz w życiu, do stolicy stanu z wycieczką szkolną. Więc uważa, że na świecie jest albo dokładnie tak jak w jego kraju, albo od razu kompletny prymityw, śpią na ziemi, nie umieją czytać, leczą się u czarownika. Jedzie potem taki na przykład do Paryża - jak się wreszcie dorobi na swoim sklepiku albo stacji benzynowej - i zamawia w restauracji z trzema gwiazdkami hamburgera. Albo wścieka się, że pieczywo po jednym dniu czerstwieje - kto wymyślił coś tak niepraktycznego? Albo szuka w hotelu automatycznej pralni, zamiast dać koszulę pokojowej, a jak się dowie nie może się nadziwić, jak Francuzi mogą znieść tak niedemokratyczne stosunki. Ty robisz ten sam błąd. Powodujesz się nietutejszymi nawykami. Zrozum, w tym kraju nie jest możliwe, żeby coś było zepsute, źle wymyślane, skomplikowane w obsłudze, nie zorganizowane. Tak dzieje się gdzie indziej - gdzie ludzie nie wytworzyli jeszcze tylu rzeczy lub też gdzie nie przywiązują do nich takiej wagi. Tu wszystko musi być gładkie, wygodne, niekłopotliwe. Tu żyje się po to, żeby było coraz przyjemniej, coraz łatwiej, coraz bezpieczniej. To jest motor napędowy tego społeczeństwa, jego imperatyw - komfort. Zwiedzałam raz z nimi stary kościół w Andach. Ach, wspaniała budowla! Ach, co za widok! Czyż jednak ci wieśniacy nie są pożałowania godni? Siedzieć w lepiankach obok kapiącej złotem świątyni. Cierpieć głód i fundować wrota! Nie mieć kanalizacji, ale hodować w ogródkach kwiaty na ołtarz! Oni nigdy by się na to nie zgodzili. Więc nie podejrzewaj, że zgodziliby się na zepsute prysznice - zaraz podnieśliby alarm, i to taki, jakby chodziło o bombę w piwnicy, o zagrożenie życia. Hinduska nie przesadziła. Pod koniec miesiąca z kranów wydobywa się skąpa, brunatna ciecz. Po pięciu - z zegarkiem w ręku - minutach od telefonu zarządcy pod nasz wieżowiec zjeżdża na syrenach cały orszak: szeryf, policja, beczkowóz, straż pożarna, zdenerwowany właściciel, ekipa hydraulików w furgonetce i przenośna koparka. Po kwadransie na trawniku wyrasta wykop, hydraulicy przystępują do wymiany rury. Po półgodzinie ani śladu awarii, darń na trawniku przyklepana, krzaki wsadzone w ziemię. Każdy lokator otrzymuje druczek z przeprosinami. Rzeczy powoli przestają być groźne. Obłaskawiłam maszynę w blokowej pralni, automaty telefoniczne, kuchenkę o trzydziestu chyba pokrętłach, piec do spalania śmieci. Rezygnuję z beznadziejnych poszukiwań otwieracza do konserw - przedmiotu znanego ze słyszenia tylko starszym sprzedawcom. Nie pytam już o rozkład jazdy autobusów - stają co metrów, a trasy zgodne są po prostu z kierunkiem geograficznym. Uczę się, nie wolno w lecie wychodzić z domu bez swetra; we wszystkich miejscach publicznych działa klimatyzacja i łatwo o anginę. Większość towarów trzeba kupować w olbrzymich porcjach; wychodzi o wiele taniej. Lepiej nie zapuszczać się poza centrum na piechotę; na peryferiach nie ma chodników, kierowcy trąbią, a pobocza jezdni obrasta gęsty żywopłot. Metalowe uchwyty na drzwiach to po prostu kołatki, ale jeśli nie jesteśmy umówieni, nikt nie otworzy; boją się napadów. Time i Newsweek są do nabycia wyłącznie w hotelu; wszyscy czytają lokalną prasę. Nie próbuję więc nastawiać mleka na zsiadłe - ma dwutygodniowy termin ważności i oczywiście nie może zawierać żadnych bakterii. Nie miotam się po mieście, nie latam jak kot z pęcherzem to tu, to tam, bo wszystko albo prawie wszystko da się załatwić przez telefon. A widok interesanta fatygującego się osobiście budzi wręcz niebotyczne zdumienie (czy coś się stało, proszę pani?). Nie boję się już chodzić po trawnikach (wszystko dla człowieka a nie odwrotnie), nosić zakupów w papierowej torbie (wytrzymują i 10 kilogramów), grzebać w stosach odzieży i grymasić, zakładać w upał szortów (które wraz z bawełnianym podkoszulkiem są powszechnym letnim uniformem bez względu na wiek i tuszę), zamawiać o dwunastej w nocy przekąsek z dostawą do domu. Codzienne funkcjonowanie robi się rutynowe i łatwe. Tak łatwe, że aż nieswojo. Chyba podobnie czuje się Eskimos przeflancowany nagle na Hawaje. Okazuje się nagle, że wszystkie nasze dotychczasowe umiejętności są kompletnie

bezużyteczne. Nie trzeba nigdzie kłusować: transport miejski kursuje z dokładnością do trzydziestu sekund. Nie trzeba do niczego się przepychać: kolejki nie istnieją, bo są błyskawicznie rozładowywane. Jest rzeczą nie do pomyślenia, by urzędniczka czy sprzedawczyni siedziała beczynnym, gdy tuż obok tworzy się ogon; zwolnienie z pracy murowane. Jeżeli gdziekolwiek zdarzy się krótkotrwały "korek", stojący wykazują anglosaskie zdyscyplinowanie, nie wyłączając starców, inwalidów i kobiet w ciąży (upośledzenie fizyczne nie stanowi w tym społeczeństwie podstawy do jakichkolwiek roszczeń). Nie trzeba "główkować", "wydeptywać", "załatwiać", "zabezpieczać", "wytargować" - wszelkie przepisy, zarządzenia, pragmatyki służbowe są precyzyjne i przez tubylców rygorystycznie przestrzegane. Nie trzeba też przedstawiać żadnych "papierów", "podkładek" - w większości spraw wystarcza podpis lub ustne oświadczenie. Co więcej, nie jest się odsyłanym od Annasza do Kajfasza - osoby niekompetentne nie zagrzewają stołków. Jeśli więc na przykład kantyna na terenie instytutu wydaje zniżkowe posiłki pracownikom, to wykluczone, by "podczepiła się" pod nie siostra kucharki lub żona dyrektora. (korupcja zawsze dotyczy przedsięwzięć na znacznie większą skalę i nigdy nie przybiera form półjawnych), wątpliwości zaś - jest czy nie uprawniona do takich posiłków zatrudniona dorywczo cudzoziemka - rozstrzyga się od ręki, i to na szczeblu kelnera. Nie jest się również narażonym na "całowanie klamki" i straty czasu wywołane czyjąś niesolidnością. Dentysta sam przypomina o terminie wizyty, a pacjentów przyjmuje dokładnie tyłu, ilu może obsłużyć bez kolizji. Biblioteka zawiadamia telefonicznie, że, niestety, zamówiona książka jeszcze nie nadeszła; skontaktują się z nami za tydzień. Firma zamknięta z tytułu remontu czy "choroby personelu" - to coś całkowicie niewyobrażalnego. Każda przerwa oznacza wymierną stratę, jeśli więc chory nie może utrzymać się na nogach, za ladą czy w okienku staje ktoś z rodziny lub osoba "z doskoku". Remonty zaś rzadko trwają dłużej niż tydzień i zawsze poprzedza je wielokrotne obwieszczanie; w sklepach dokonuje się przy tej okazji globalnej wyprzedaży towaru, co kalkuluje się taniej niż dwukrotne przepakowanie i magazynowanie. Drugie śniadanie, zwane tu lunchem, spożywa się w czasie godzinnej południowej przerwy w pracy, a panienkę, której przysłoby do głowy użyć służbowego telefonu do rozmów prywatnych, koleżanki same odwiozłyby do psychiatry - instytucja, do której nie sposób się dodzwonić, przestaje być instytucją, i wszystkie, kochana, możemy znaleźć się na bruku. W tym gładkim biegu codziennych rzeczy przybysz z innego systemu ma często wrażenie, że działa jak silnik na pustych obrotach. Ale tylko dopóki jest stypendystą lub siedzi u krewnych, którzy zapewniają wikt, kąt do spania i jakieś ugadane z góry, nielegalne zarobki. Frycowe, jakie zaczyna płacić żyjąc samodzielnie, bardzo prędko uprzytamnia mu, że chcąc tu przetrwać musi wyrobić w sobie całkiem inne umiejętności. Na przykład stary odruch bezczelnej autoreklamy, bez której jest się tu zwyczajnie nie dostrzegającym. Świeża imigrantka z Filipin wydzwaniana pod numery podane w miejscowej gazecie przez ludzi, których stać na stałą gosposię do wszystkiego. Wydzwaniana tydzień, wydzwaniana drugi, wydzwaniana czwarty. Kompletna kłapa. Żaden potencjalny chlebodawca nie życzy sobie obejrzeć kandydatki. Żaden nie proponuje nawet, że oddzwoni (odpowiednik brydżowego "półnegatu"). Co jest grane? Obcy akcent? Odpada, wszak gosposiami są zawsze cudzoziemki, bez kwalifikacji i prawa pracy. Referencje? Ależ nawet nie pytali. Wiek? Trzydzieści to chyba optimum, zresztą też nie pytali. To o co pytali? O nic. - No właśnie - wtrąca się do dialogu Bywała - bo to ty masz się wyczerpująco przedstawić, wygłosić cały referat na własny temat, i to taki, żeby zrobić z siebie propozycję nie do odrzucenia. Inaczej z miejsca szufladkują cię jako osobę niepewną siebie, jako niedojdę. A takiej tu nikt nie chce, nawet do garów i odkurzaczy. Mów tak: Halo, nazywam się Ega, mój telefon 337-5423, mam lat trzydzieści, przyjemną powierzchowność, nie jestem obarczona żadną rodziną, cieszę się dobrym zdrowiem, siłą fizyczną i zaradnością. Dobrze gotuję, znam amerykańską kuchnię (nic takiego nie istnieje), pracowałam sześć lat w restauracji (kto tam sprawdzi), jestem oszczędna, tolerancyjna i ciepła dla dzieci. Umiem pisać na maszynie (nauczysz się), strzyc trawę (nic trudnego), artystycznie cerować i łątać (one tu nie cerują już od paru pokoleń i szalenie im to imponuje). I tak dalej, im więcej i przesadniej, tym lepiej. No jasne, każdy wie, że szukający pracy koloryzują, ale zrozum - to właśnie jest miarą zaangażowania, chęci dostania posady, energii, gorliwości. To jest jak bilet wstępu - bez niego nikt nie

zechce z tobą gadać. Trzeba też jak najprędzej przeistoczyć się w ślepego i głuchego konformistę, i nie dlatego nawet, że bycie oryginałem naraża na społeczny ostracyzm - jeśli założymy jednoosobową sektę, zaczniemy nosić kółko w nozdrzach i wysyłać memoriały do rządu, sąsiedzi najwyżej wzruszą ramionami; to wolny kraj. Rzecz raczej w tym, że każde odstępstwo od rutyny, od tego, co czynią wszyscy, oznacza ciąg całkiem prozaicznych komplikacji, które potrafią kompletnie zatruć życie. Teoretycznie można na przykład nie mieć samochodu, nie zrobić nigdy prawa jazdy i do pracy dojeżdżać rowerem z ogromnym napisem "Precz z motoryzacją". Czym jednak wówczas udowodniać swą tożsamość w czasie transakcji - sklepowych choćby - w których wymaga się dwu poręczeń? Jednym jest z reguły legitymacja służbowa, drugim - wobec braku dowodów osobistych - prawo jazdy wraz numerem rejestracyjnym. Nie ma wozu? Dziwne. A skoro dziwne, to podejrzane. A skoro podejrzane... to bardzo pana przepraszamy, musimy skontaktować się z dyrektcją. Można nie mieć ochoty na posiadanie telefonu. Dosięga toto człowieka o każdej porze dnia i nocy, a automaty są zainstalowane wszędzie, nawet na leśnych campingach. Ale z automatu nie da się zamówić biletów do kina, odwołać wizyty u lekarza czy ściągnąć hydraulika - a nuż ktoś się podszywa? Jest przy tym wiele instytucji i firm, które odmawiają swych usług osobom nie posiadającym własnego numeru. Bowiem czy można wypożyczyć książkę, jeśli w przypadku, gdy będzie pilnie potrzebna komuś innemu, bibliotekarz musiałby pisać list do abonenta, adresować kopertę, naklejać znaczek, czekać na odpowiedź, zamiast zwyczajnie zadzwonić? Albo czy też jest rzeczą racjonalną zapisywać na strzyżenie klientkę, która nie mając telefonu nie pozwala zapisu potwierdzić (tj. upewnić się, że nie nawali) i która wobec tego przedstawia sobą pewne ryzyko daremnej stary czasu. No, a czas - wiadomo - to pieniądz. Sprawne funkcjonowanie polega między innymi na szybkim kontakcie w razie potrzeby. Kto tego nie chce zrozumieć, nie zasługuje na żadne względy. Można nie mieć konta w banku. Ale nawet dorywcze zarobki wypłacane są czekami. Ich realizowanie wymaga uprzedniego dokonania przelewu, a do przelewu - musi istnieć jakiś rachunek. Jeśli cudzy, rzecz wymaga uwierzytelnienia podpisów, interwencji prezesa i wypełniania rozmaitych druczków. Nie mówiąc już o tym, że mało kto odważy się przyjąć zapłatę za cokolwiek w gotówce - wiadomo facetów z pończochą na twarzy dobierających się do kasy sprawiło, że pieniądz w postaci namacalnej pojawia się tylko w automatach. Jeszcze jednym warunkiem bezbolesnego poruszania się po codzienności jest nawyk szybkiego reagowania na ponaglenia i groźby, które należy traktować bardzo serio, oraz powściągliwości zapału wobec zachęt i obietnic, które należy traktować z dużą rezerwą, jeśli nie wręcz z przymrużeniem oka. Gdy wypożyczalnia telewizorów przypomina o upływie terminu, w jakim zobowiązaliśmy się oddać sprzęt, trzeba to zrobić natychmiast; za zwłokę leci potężna zapłata. Gdy właściciel domu, czy to zbiorowy, czy pojedynczy, upomina się o zaległe komorne, warto zaciągnąć błyskawiczną pożyczkę - inaczej zwali nam się na kark, i to już za trzy dni, pogodny sekwestrator, który opieczętuje co cenniejsze przedmioty, a w razie dalszego niewywiązywania się z umowy z uśmiechem odetnie odpływ wody i prądu. Gdy na zarośniętym chaszczami nieużytku, widnieje napis "nie wkraczać", lepiej natychmiast wycofać się; może się zdarzyć, że farmer powita nas z dubeltówką lub nie mieszkając zawezwie policję. I nie pomogą wtedy tłumaczenia, że chcieliśmy po prostu pospacerować po terenie, który najwyraźniej niczemu nie służy. Każdy ma święte prawo nie życzyć sobie, by ktoś chodził po jego nieużytku. I odwrotnie, gdy pocztą przychodzi zawiadomienie, że wygraliśmy właśnie jedną z trzech głównych nagród ufundowaną przez firmę taką a taką (antyczny zegar, serwis stołowy lub tysiąc dolarów), możemy spokojnie wrzucić druczek do kosza na śmieci. To po prostu jakieś chytrusy skombinowały sobie przez swych ludzi nazwiska i adresy cudzoziemców (tubylcy już się na to nie nabiorą), którzy legalnie zarobkują i w związku z tym mają pewne możliwości finansowe. Firma oczywiście nie odpowiada na żadne zapytania, proszą nas jedynie, by stawić się gdzieś - zwykle diabeł wie gdzie - a sprawa się wyjaśni. Jedziemy sto czy sto pięćdziesiąt mil, wita nas jegomość lub grupa jegomościów, którzy bezzwłocznie wskakują in medias res: firma nasza ma tu właśnie niesłychanie tanie parcele. Albo intratną uprawę egzotycznej rośliny, wystarczy niewielki wkład, by po roku... Albo magazyn jabłek wyprodukowanych biodynamicznie, w każdym mieście odsprzedasz je z dużym zyskiem. Częstują drinkami, oprowadzają, gładzą, ciągną za

ręce. Jako że ordynarne oszustwa zdarzają się tu znacznie rzadziej, niżby to wynikało z powieści Chandlerów i Hammetów (parcele są prawdopodobnie nieco tańsze niż pod miastem, egzotyczna roślina robi może na kimś wrażenie, a jabłka zapewne da się gdzieś opylić), niektórzy ryzykują niewielkie kwoty - co mi szkodzi, jechałem taki kawał - i przystępują do biznesu. Większość przybyłych, chcąc po prostu odpędzić się od natrętów, prosi o folder (proszę bardzo, trzy dolary), koszyk jabłek (funt dwa i pół dolara), ogląda próbki egzotycznych roślin (zaczniemy od mydła, tylko dziewięćdziesiąt centów za kawałek). A nagroda? Ach, tak. Wygrali państwo zegar. Wręczają nam plastikową kopię. Wygrali państwo serwis, wręczają nam zwykły komplet talerzy, jaki można nabyć w pierwszym lepszym sklepie. A kto wygrał gotówkę? Właśnie przed chwilą odjechała rodzina z główną nagrodą. Może i państwu poszczęści się następnym razem. I jeszcze prosimy zapłacić za informacje, drinki oraz przejazd po terenie, razem siedem dwadzieścia. Jeśli podliczyć z ołówkiem w rękę, każdy nadjeżdżający to kilka zielonych (zegary i talerze kupuje się hurtowo od bankrutów). Mało? Wcale nie ma, jeśli zważyć, że zwabiają naiwnych z całego stanu. Tak zresztą właśnie wygląda - wbrew mniemaniom pilnego Czytelnika Chandlera i Hammeta - typowy interes na Midweście. O zbijaniu bajecznych fortun tubylcy też czytają w książkach. Ciują cierpliwie tą czy inną metodą ziarenko do ziarenka, a gdy na stare lata zafundują sobie wycieczkę w inne strony (na przykład do Starego Kraju), nie mogą się nadziwić, że są miejsca, w których nikt nie chce prowadzić składu z używaną odzieżą, bo to się nie opłaca - w których każdy czeka na swój wielki dzień, gdy w rękę wpadnie prawdziwa okazja, a tymczasem żyje sobie na luzie i kwęka. Umiarkowane nabijanie w butelkę jest czymś nie tylko dozwolonym, ale i całkowicie zrozumiałym - bez trików nie ma przecież żadnego zysku. Każda więc szanująca się firma rozsyła pocztą projekty, zawiadomienia, foldery, reklamy, kupony uprawniające do zniżek, losy na loterię, a uwolnić się od ton papieru znajdowanego codziennie w skrzynce na listy można jedynie przez specjalną agencję, która zadba o to, by nasze nazwisko i adres zostały wymazane z rejestrów lokalnych instytucji dochodowych. Ponieważ jednak winszuje sobie za to dwieście dolarów rocznie, zadomowieni - którym udało się nie połączyć bakcyła kupowania - wyrzucają całą pocztę bez mrugnięcia okiem: jeśli ktoś ma naprawdę pilną sprawę, zadzwoni! I to jest zachowanie racjonalne. Bo cóż się dzieje, gdy otworzymy którąś z kopert, zaadresowanych nagłówkiem: "Lokator mieszkania numer taki a taki w budynku takim a takim?" Oto myśliwski sklep Natana Graubera, założony w 1912 roku zaprasza nas w najbliższą sobotę między godziną dziesiątą a dwunastą na wielką wyprzedaż butów z prawdziwej skóry oraz szetlandzkich swetrów. Kolorowa fotografia mokasynów za jedyne trzysta dziewięćdziesiąt pięć (normalnie sześćdziesiąt) i grubego półgolfu w stylu "samodział" za jedyne osiem dziewięćdziesiąt dziewięć (normalnie około trzydziestu). Niniejszy kupon uprawnia ponadto (ale tylko przez dwie godziny) do następującej transakcji: jedna para sztruksaków Levi za gotówkę, druga za darmo. Zapuszczamy wóz, przed Natanem Grauberem cały sznur - wyprzedaże są tu narodowym sportem i zresztą co na dobrą sprawę można zrobić w niewielkim mieście w sobotnie popołudnie? Mokasyny są, owszem, lecz wyłącznie w bardzo małych rozmiarach, kto przyjechał z dzieckiem, ten wygrał. Półgolfy wyprodukowano w Hongkongu; naszą wprawdzie napis "Shetland", lecz każdy wie, że wyroby stamtąd filcują się i rozłają już po pierwszym praniu. Do lewisów za gotówkę dodają za darmo portki tej samej firmy, tyle że nie bawełniane, domieszka tworzywa sztucznego zaś to różnica dwunastu dolarów w cenie. Jakaś Wietnamka bierze mokasyny. Rodzina farmerska szybko spostrzegła, że swetry kosztują jednak taniej niż w zimie, więc nabywa cztery pary, by mieć to z głowy. Facet w średnim wieku wbija się w sztruksaki; darmowa para będzie dla syna nastolatka, który tak czy owak zedrze każde spodnie w kilka tygodni. Reszta łązi po sklepie. Tu komuś spodobał się breloczek, tam panience wpadły w oko skarpetki. Czyjeś dzieci chcą pić; napój firmowy (dwadzieścia centów) rozchodzi się w pół godziny. Inni rzucają się na automaty do gier. Nikt nie rozczarowany, normalka. Natan Grauber zaś upłynnia pewną część towaru, którą musiałby przechować do jesieni, płacąc składowe. Powtórzy za jakiś czas imprezę i będzie mógł spać spokojnie. Kolejną sztuczką, którą trzeba koniecznie opanować, jest opędzenie się od domokrażców i różnego rodzaju agentów, wciskających się drzwiami, oknami i przez telefon. Metoda prosta, choć niektórym (z europejską kindersztrubą zwłaszcza)



przychodzi z trudnością: ludziom tym należy odpowiadać: "Nie interesuje mnie to. Do widzenia!" - i natychmiast zamykać drzwi przed nosem lub odłożyć słuchawkę. W przeciwnym razie nie wyplączemy się. - Halo, czy to pani Tyreza E. Holuka? - Tak jest, a kto mówi? - Jak się masz, Tyreza. Cieszę się, że mogę z tobą pomówić. Wiem, że jesteś tu od niedawna i że pracujesz w instytucie profesora S. - Zgadza się, ale kto mówi (FBI czy co?) - Na pewno nie orientujesz się, jak wypełniać formularze podatkowe w naszym stanie. Reprezentuję ludzi, którzy zdejmą ci ten kłopot z głowy za bardzo, ale to bardzo umiarkowaną opłatą. - Ja nie płacę podatku. Jestem od niego zwolniona. - Na przykład zespół przy Trzeciej Wschodniej bierze za to dwadzieścia dolarów. U nas zapłacisz szesnaście, a jeśli uda ci się znaleźć... - Halo, czy pan mnie słyszy? Nie płacę podatku! - Jeśli uda ci się znaleźć kogoś, kto też skorzysta z naszych usług, płacisz tylko dwanaście. Nasze prawo podatkowe nie przewiduje zwolnienia od podatku, ktoś cię źle poinformował. Wpadnij do nas jutro, podaję adres... - Nikt mnie źle nie poinformował. To jest na podstawie umowy o wymianie i na własne oczy widziałam odpowiedni przepis. - Rozumiem, ale przecież na pewno pracujesz z kimś, kto ma z podatkiem problemy. Wiesz co, wpadnę jutro do ciebie do pracy i się trochę rozejrzę. Tobie mogę zaproponować prowizję, trzydzieści procent od każdego klienta, albo zniżkowe kupony w sklepie Elijaha Fiska, który z nami współpracuje. To co wybierasz? - Nic nie wybieram. Do widzenia! - Halo, halo, nie rozłanczaj się, to bardzo ważne! Na pewno nie wiesz, co ci przysługuje, jako cudzoziemce, na wypadek konfliktu z prawem... - Wyjeżdżam za tydzień i do tego czasu konfliktu z prawem nie przewiduję... - Nigdy nie wiadomo, co może się zdarzyć. Czy wiesz na przykład, że możesz mieć kłopoty na lotnisku? Są rzeczy, których nie wolno stąd wywozić... I tak w koło Macieju przez dobry jeszcze kwadrans. Za drugim pobylem na Midweście umie się już bezbłędnie poznawać agentów po "telewizyjnej" intonacji oraz bardzo szybkim tempie wymowy. Aliści Strup Na Głowę przybiera postać sąsiadki, miłej kobieciny z trójką maluchów, spotykanej czasem w pralni, z bardzo starym modelem samochodu i mężem - byłym wojskowym, któremu armia funduje teraz bezpłatne studia w School of Business. W naszym okienku na mleko prospekt i odręczny bilecik: "Cześć! Nazywam się Sally, mieszkam pod numerem 1126 i jestem twoją reprezentantką firmy Avon. Obejrzyj dokładnie prospekt. Wpadnę do ciebie jutro o czwartej po południu. Jeśli nie możesz być w tym czasie w domu, zadzwoń do mnie, uzgodnimy inny termin". Telefon nie odpowiada. Ach, co tam! Niech sobie wpada. Dziury w niebie nie będzie. - Cześć! Jakie masz ładne meble! A co tu stoi na stole? To wy w to ubieracie choinkę na Christmas? Bardzo interesujące. Niech twoja Maryshia wpadnie kiedy do mojej Vicky, to Viki jej pokaże nasze ozdoby na choinkę. I pograją razem w nową grę telewizyjną, niedawno kupiliśmy. Czy obejrzałaś dokładnie prospekt? Wspaniały, prawda? - Wiesz, nie oglądałam, bo ja nie maluję. - Zauważyłam to już dawno i dlatego właśnie przyszłam do ciebie. Tak dłużej być nie może, trzeba coś z tym zrobić. Lata lecą, skóra wiotczeje, zaczniemy od dobrego kremu nawilżającego. Mogę ci zaproponować "Anielską Twarz", w sam raz dla ciebie, tylko trzy słoiki, mamy właśnie wiosenną zniżkę cen, a jak zamówisz pięć pudełek, to szóste darmo. No i koniecznie specjalna meksykańska roślina, nadaje cerze niezwykłą miękkość, likwiduje zmarszczki, trzeba użyć co najmniej dziesięć opakowań, inaczej nie będzie efektu. A dalej maść na piegi i inne przebarwienia, w razie nieskuteczności gwarantujemy zwrot pieniędzy, i... - Nie, wiesz, nie skorzystam. Krem nawilżający już mam, do piegów się przyzwyczaiłam, a w lekarstwo na zmarszczki nie wierzę. - Kiedyś ludzie wierzyli w lekarstwo na gruźlicę. We wszystkim jest postęp. No a firma Avon bez wątpienia oferuje to, co najlepsze. Proszę, tu masz zdjęcia tej samej kobiety przed i po kuracji. - Nie, dziękuję bardzo, wiesz... jakby ci to powiedzieć, no, ja myślę, że niestety, każdy wygląda tak, jak wygląda, a jak się chce za wszelką cenę wyglądać na co innego, tak jak wy tutaj, to człowiek naraża się na śmieszność... - Pierwszy raz słyszę taką bzdurę! Jak ty myślisz na przykład dostać pracę wyznając taką filozofię życiową? (Sally ma racje - kobieta po trzydziestce, bez starannej - koniecznie blond - fryzury, bez pastelowych szmatek, grubego makijażu nie ma szans w wyścigu o posadę ekspedientki, sekretarki, recepcjonistki) - Nie, dziękuję ci bardzo, nie skorzystam, wiesz... jak by ci to powiedzieć... no, ja mam usposobienie raczej konserwatywne, i... - Wspaniale! Czemu nie mówisz od razu? Mam tu dla ciebie specjalną, staromodną kolekcję biżuterii, "Klejnoty Babuni", popatrz tylko, ten naszyjnik wygląda zupełnie jak z pereł, do

tego kolia i bransoletka, w komplecie o wiele taniej, wypisz tylko czek, a ja... - Kiedy ja nie mam pieniędzy na takie rzeczy. - Stałym klientom udzielamy specjalnego kredytu, do spłacania w dziesięciu miesięcznych ratach... - Wyjeżdżamy za osiem miesięcy, nie ma o czym mówić, i w ogóle to jest już późno, muszę dać dzieciom obiad, miło mi było, Sally, ale... - Chodź tu. Maryshia, mama nic nie chce kupić, ale ty jesteś młoda, masz inne spojrzenie na świat, musisz się podobać, popatrz, mam tu specjalne kosmetyki dla dziewcząt, niedrogie, a jak chcesz, to dam ci trochę rzeczy, żebyś rozprowadziła między koleżankami, dostaniesz za to prowizję i nawet, wiesz, możesz zostać reprezentantką firmy "Avon" w swojej szkole! - Bardzo cię przepraszam Sally, ale nie życzę sobie, żebyś wciągała w to dziesięcioletnie dziecko. Bardzo proszę, idź już sobie! I więcej z czymś takim nie przychodź! Przez kilka dni drąży mnie poczucie winy. Jakbym odpędziła głodnego kota czy inne skamlące stworzenie. No bo wszystkie znaki wskazują, że Sally desperacko walczy o byt. Jej kosmetyki na pewno nie są z firmy "Avon", szmatki - przesiąknięte zapachem naftaliny - pochodzą na pewno z jakiegoś składu odzieży "z drugiej ręki". Wóz stoi od miesiąca na parkingu, a mąż student biega na wykłady w wełnianych skarpetach na rękach ("nie zdążyłem kupić rękawiczek, ale mróz, prawda?"). Inne sąsiadki nie mają skrupułów. Oddają Sally prospekt i zdecydowanym ruchem zamykają drzwi przed nosem. Na drugi dzień gawędzą z nią w pralni jak gdyby nigdy nic. Więc pewnie tak właśnie trzeba. W ogóle trzeba tu - rezonuję na głos domownikom - robić dokładnie to co otoczenie, nie pytając dlaczego. Tubylcy wiedzą swoje. Tubylcy robią to, co społecznie najbardziej racjonalne. Co innego sformułować praktyczną maksymę - co innego przekształcić ją w trwały odruch. Już nazajutrz płacimy całą czwórka kolejne frycowe, którego dałoby się uniknąć, gdybyśmy nie mądrząc się zaufali wyczuciu tubylców. W jednym z kin idzie najnowszy szlagier. Ustawiamy się w ogonku, sprzedaż toczy się wartko, nabywcy biletów przechodzą prosto od kasy na salę (miejsca nie są tu numerowane, każdy siada, gdzie może, wedle kolejności przybycia). Wtem kilkanaście stojących przed nami osób bez słowa przemierza się do kasy sprzedającej na następny seans. Nie ma biletów? Ależ skąd, okienko działa dalej. To pewnie jakaś zbiorowa wycieczka, chcą wejść wszyscy razem. Albo się rozmyśliłi, woła późniejszą godzinę. Nie wiesz zresztą - przytwarza mąż - że tu wystarczy, by ktoś jeden wpadł na jakiś pomysł, zaraz reszta papuguje? Czy są, proszę pani, bilety na szóstą? To poprosimy cztery. Ekran zasłonięty jeszcze kotarą, wolne już tylko trzy pierwsze rzędy. Siadamy w pierwszym razem z jakąś parą w powłóczystych szatach, popijamy "Seven Up" z puszki, przegryzamy batonikami. Kotara wolno się rozsuwa i... filmu nie sposób oglądać. Ekran mieści się nie dalej niż metr od nosa, a że ma około siedmiu metrów długości, przed oczyma migają tylko barwne plamy, impresjonizm z bliska. Przechodzimy do trzeciego rzędu, wychylamy się maksymalnie do tyłu. Nic nie lepiej. Para w szatach wychodzi, my siadamy w przejściu koło piątego rzędu, od którego zaczyna się wyraźne wzniesienie. Wyciągamy torebki z kukurydzą i... W ciemności pojawia się cerber. Przepisy przeciwpożarowe naszego stanu nie pozwalają siedzieć w przejściu, proszę natychmiast zająć normalne miejsca. Nie możemy, bo przecież stamtąd nic nie widać. Nie wie pan czy co? Tu jednak siedzieć nie możecie, przepisy naszego stanu... No, to chcemy się widzieć z właścicielem. Ja nim jestem. To prosimy o zwrot pieniędzy. Nie ma pan prawa sprzedawać biletów w ilości większej niż ilość miejsc, z których da się cokolwiek zobaczyć. Zgodnie z przepisami naszego stanu pieniądze za bilety kinowe podlegają refundacji tylko w przypadku, gdy seans nie doszedł do skutku. To nie ruszymy się stąd. To ja dzwonię po policję. To niech pan dzwoni, zaraz się okaże... Wolnego, wolnego. To nie jest film zalecany dla dzieci, nie czytaliście na afiszu? Więc nie wiadomo, kto tu będzie miał problemy, ja czy wy. - Chodź, chodź - powiada mąż. - Jeszcze nas oskarżą o deprawację nieletnich. Albo przyjdzie sierżant, który nie lubi cudzoziemców. Pewnie facet na początku nie miał szerokiego ekranu, a potem żal mu było forsą na usuwanie tych pierwszych trzech rzędów i tak już zostało. Miejscowi wiedzą o tym, nietrudno zorientować się na oko, przecież to sala na jakieś czterdzieści miejsc, a przyjezdnych zawsze jest tylu, że coraz to trafia się paru jeleni takich jak my. Jak ty to sobie zresztą wyobrażasz? Wywiesić przy kasie napis: "Uwaga, z trzech pierwszych rzędów nic nie widać?" Działać wyraźnie wbrew swoim interesom? Czemu tu się dziwić? Że gość nie daje sobie wyszarpnąć ekstra zarobku? Że ci, co nagle odeszli od kasy, nie ostrzegli tych, co

do niej podchodzili? Hm, może. Ale ludzie mają takie zapędy tam, gdzie myślą w kategoriach "my - oni". A tu nie ma "ich"; jest tylko facet w średnim wieku, który jak każdy zarabia sobie małym biznesem na życie. Na party Lecz najdotkliwsze frycowe płaci przybysz, zanim nauczy się z tubylcami obcować werbalnie. Rzecz kryje w sobie wiele aspektów: najpierw konieczność wsłuchania się w miejscowy dialekt, który kultywuje się nawet w radio i w TV, i który ma się tak do angielskiego z różnych "Wspólnych spraw" czy "Lingwistów", jak "wiech" czy może nawet język górali do polszczyzny literackiej. Następnie - niełatwa do udźwignięcia rola Obcego, który nie budzi tu automatycznie - jak bywa to gdzie indziej - dreszczyku zaciekawienia ani życzliwości należnej gościowi. Jeżeli nie ma instytucjonalnych powodów do uprzejmości wobec cudzoziemca, jeżeli nie jest on klientem - postrzega się go jak przybłędę, która tylko czeka na to, by uszczknąć dla siebie coś, co nie zostało wypracowane trudem jego przodków. Recepcjonista w hotelu potrafi wprost czytać z ust przyjeźdźcy z dalekiego świata. Sprzedawczyni w sklepie chwyta w lot życzenia kupującego, nawet gdy mówi z ogromnym mozołem i musi pomagać sobie groteskowymi gestami. Lekarz w izbie przyjęć wie już po paru słowach co dolega zbolącej postaci w burnusie, w sari czy siemiężnym kozuchu. Człowiek nabiera mylnego wrażenia, że z językiem daje sobie radę całkiem nieźle. Wystarczy jednak znaleźć się na ulicy i spytać przechodnia o drogę do kościoła lub poprosić przygodną osobę o poinstruowanie, jak posługiwać się maszynką inkasującą opłaty za parking. Lub, nie daj Boże, zagadnąć kogoś pod "pośredniakiem". Tubylcy przestają rozumieć cokolwiek. Angielski z egzotyczną intonacją i wymową staje się natychmiast czystym bełkotem. Nie pomaga nawet przeliterowanie. Nie wydaje się, by udawali. Nie rozumieją naprawdę. Skoro nastawienie emocjonalne może - jak pouczają różne eksperymenty psychologów - zniekształcić zupełnie odbiór wzrokowy, czemużby nie miało wpływać i na percepcję słuchową? Rzecz jasna, z wyjątkiem tych, którym się udało. Którzy się przebili. Prezes spółki handlowej mówi "straszenie zabawnie", ja nawet czasem nie bardzo wiem, o co mu chodzi. No, ale przecież on przyjechał tu z Japonii dopiero sześć lat temu, co chcesz, moja droga, nawet Henry Kissinger ma wyraźny niemiecki akcent". Natomiast dozorca w tej samej firmie "po prostu bulgocze. Podobno ma wyższe wykształcenie. No to mógłby się przynajmniej języka porządnie nauczyć". Wszystko to jest fraszką w porównaniu z niespodziankami, jakie czekają na przybysza w mniej uchwytej atmosferze funkcjonowania odpowiedzi. Upływa zwykle wiele wody w okolicznych rzekach, zanim rozszyfrujemy główną zasadę: dialog dwóch ludzi może tu być albo tzw. "business talk", to jest rzeczową wymianą informacji, z których wykluwa się (lub nie wykluwa) jakieś wspólne przedsięwzięcie, albo tzw. "small talk", tj. gładką wymianą rytuałów konwersacyjnych, służących wzajemnemu utwierdzeniu się w dobrym samopoczuciu. Innych wariantów rozmowy kultura nie przewiduje. Pierwszych z nich razi nietutejsze echo (i psyche) swą obcesowością, instrumentalizmem oraz całkowitym brakiem tak drogich nieanglosaskiemu sercu ozdóbek, owijan w bawełnę, dygresji i ceremoniałów. Wszelkie zresztą bardziej wyrafinowane użycia mowy są niemal nieobecne nie tylko w codziennych kontaktach, ale również w publicystyce, literaturze, filmie. Tak na przykład tubylcom zupełnie nie znana jest sztuka posługiwania się ironią, aluzją, sugestią, milczeniem. Toteż przybysz przebywa czasem istną drogą cierniową, zanim wyuczy się elementarnego pravidła: jeśli chcemy poprosić kogoś o jakąś przysługę, musimy to zrobić wprost, choćby wydawało się to nam nie wiadomo jak niegrzeczne. Inaczej tubylec autentycznie nie wie, czego od niego chcemy. - Ależ ludzie tu nieuczynni! - A co ci się przytrafiło? - Zemdlałam nad próbkami. Wiesz przecież, jak oni straszliwie przegrzewają się w zimie. Trzydzieści stopni w pomieszczeniach! Pracuję w końcu z szóstką facetów. Robię razem z nimi dobrą robotę, na której ukończeniu wszystkim nam zależy. I wyobraź sobie, żaden z nich nie zastąpił mnie ani na chwilę przy doświadczeniu. Ocknęłam się, wzdycham, pije krople, ocieram pot z czoła, narzekam na duszność. I nic. Żadnej reakcji. - Trzeba było zwyczajnie powiedzieć: słuchajcie, niech któryś z was mnie na chwilę tu zastąpi, bo muszę dość do siebie. Jeśli rzecz nie dzieje się na ulicy i nie trzeba wzywać na czyjś koszt ambulansu, to oni chcą pomóc. Tylko tyle, że dobre zachowanie nie pozwala im wtrącać się w czyjąś prywatność. Bo może wcale nie życzy sobie pomocy, skoro nie mówisz, że jej sobie życzysz... Pouczam Jadwigę jak stara, doświadczona sowa, ale wnet przekonuję się, że i moja edukacja w tej dziedzinie nie jest

jeszcze wystarczająca. Muszę pojechać do Nowego Jorku nocnym pociągiem ze stolicy stanu, a niestety ostatni autobus z naszego miasta (oddalonego o czterdzieści minut) dociera tam o szóstej wieczorem. W perspektywie ładnych parę godzin na dworcu, co rzeczywiście stanowi jedną z najbardziej niebezpiecznych sytuacji dla osoby podróżującej samotnie. Dzwonię tedy do Lou - ma pistolet na gaz - i jako że przygarnęłam ją kiedyś na kwaterę, przystępuję od razu do sedna bez większych zahamowań: - Czy to konieczne? - Nooo... niekoniecznie konieczne, ale... - Będę rano niewyspana. - Nie prosiłabym cię o to, ale boję się siedzieć na dworcu sama. - I masz rację, to paskudna pora na dworzec. Weź inny pociąg. - No, skoro nie możesz... to ja... to ja poszukam jakiegoś innego rozwiązania, tylko że... - Powodzenia. Trzymaj się! Po powrocie opowiadam Lou, gdzie jeździłam i po co. Twarz Lou wyraża niekłamane oburzenie: jak można! Przecież trzeba mi było od razu powiedzieć! Pojęcia nie miałam! No jasne, do Nowego Jorku nie ma innego pociągu. No to byłabym niewyspana, nic by mi się nie stało! Nigdy nie wyglądałaś na nieśmiałą, co cię, u licha, nagle napadło? Lou jest absolutnie szczerą. Naprawdę chciała wiedzieć, w jakim stopniu nocny rajd był rzeczą nieodzowną. Naprawdę sądziła, że ma doczynienia z jakimś niepomysłanym pomysłem, i usiłowała doradzić coś rozsądniejszego. To tylko nietutejsze nawyki sprawiły, że mechanicznie zinterpretowałam jej słowa jak odmowę. Oczywisty idiotyzm: tubylec istotnie odmawia pomocy częściej, niż dzieje się to w społecznościach, gdzie wzajemną usługowość dyktuje niski standart życia. Ale tubylec czyni to zawsze otwarcie, bez skrępowania i bez żadnych usprawiedliwień. Nawyki - jak wiadomo - trudno wykorzenić nawet wówczas, gdy jest się ich świadomym. Szczególnie oporni okazują się dalekowschodni Azjaci, których wyobrażenia o dobrych manierach najostrożniej kłóć się z miejscowym etosem nie kamuflowanej niczym przepychanki. Francuz z firmy elektronicznej przekonywać musiał przez całe miesiące nowo przyjętego Wietnamczyka o tym, że: - ... samochwalstwo i tupet, to główna cnota a nie przywara. Popatrz sobie do gazety. Co czytasz? Poszukujemy agresywnego, wykwalifikowanego młodzieńca. Agresywnego, a nie cioty! Musisz walić prosto z mostu, a nie brzęczeć coś pod nosem, inaczej będziesz tkwić w tym magazynie do końca życia. Masz być cały czas swoją własną agencją reklamową. Nie mów może ja bym to zrobił. Mów: ja zrobię to znacznie lepiej. Nie mów: czy nie uważa pan iż ta idea jest trochę chybiona? Mów: do chrzanu. Nie milcz wymownie, tylko od razu powiedz, że to twój kumpel. Tu ludzie nie chcą być domyślni, nie mają na to czasu. A skromność wydaje się czymś podejrzanym. Umniejsza siebie? Hipokryta albo wariat. Musisz nauczyć się normalnie porozumiewywać z ludźmi. Brak kultury? Może i brak. Ale nie jesteś u siebie i to ty się musisz dostosować. Na szczęście dla nich, dalekowschodnim Azjatom niezupełnie obcy jest drugi wariant dialogu, "small talk", czyli przyjemna pogawędka. Tych bowiem, którzy mieli pecha wyssać z mlekiem matki przeświadczenie, że język winien służyć zbliżeniu dwóch istot, "small talk" doprowadza do rozpaczy swą bezprzedmiotowością i kompletnym skonwencjonalizowaniem. Wysłuchują konwersacji w autobusie (wszyscy się znają, bo miasto jest niewielkie i z transportu publicznego korzysta może pół procent mieszkańców) przybysze zadają pytanie: po co oni właściwie mówią? Dlaczego nie poprzestaną na uśmiechu lub pozdrowieniu, skoro nie mają sobie nic do powiedzenia? I dlaczego - jeśli już otwierają usta - wkładają tyle wysiłku w imitowanie rozmowy? - Cześć, Mike. Miło cię znów spotkać. - Cześć, Jerry, ty znowu tu. Dość zimno, prawda? - Masz rację, zimno. No, ale nie traćmy nadziei, może będzie ciepłej. - Nie traćmy. Jak tam Bobsie. Widziałem ją wczoraj. - W porządku. Powiem jej cześć od ciebie. - Powiedz jej cześć ode mnie. - Jak tam ostatnia wyprzedaż? - W porządku. Zawsze się coś trafi. - Taaa, zawsze się coś trafi. Takie jest życie. - Jedziesz w tym roku na urlop? - Trzeba odpocząć. Bez odpoczynku ciężko pracować. - Nie ma to jak odpoczynek. No, a jak się udały urodziny? - W porządku. Była cała paczka. - Powiedz im cześć ode mnie. No to cześć. - Cześć, do miłego. Co gorsza, są sytuacje, w których "small talk" bezwzględnie obowiązuje. Nie można nie rozmawiać: z kelnerem, dentystą, sprzedawcą w pustym sklepie, kolegą w pracy przy zdejmowaniu płaszczy, osobą czekającą razem z nami na taksówkę, interesantem odprowadzanym do windy, współżalobnikiem ect. Ktoś, kto chroni się w milczeniu, jest nie tylko źle wychowany - jest "wyniosły", "nietowarzyski", "nieprzystępny". A tubylcy niczego nie tolerują tak źle, jak pretensji do bycia innym niż wszyscy. Niektórych przybyszów konieczność odbębiana

tego społecznego rytuału po kilkanaście razy dziennie przyprawia o siódme poty. O czym mówić, jeśli "small talk" stanowczo wyklucza wszystko, co niebanalne, co osobliwe, co kontrowersyjne. Próby wtargnięcia w "small talk" z jakimkolwiek problemem - czy będzie to religia, polityka, czy zwykła, smakowita plotka - budzą konsternację i natychmiastową zmianę tematu. A już nie daj Bóg wyskoczyć - uwaga, Słowianie! - ze zwierzeniem, żalem, rozterką, z szeroką opowieścią o naszych perypetiach czy z monologiem o naszym życiu wewnętrznym. Tubylca wpędza to - nawet wtedy, gdy jedziemy z nim kilkanaście godzin kolejną lub dzielimy z nim wspólny pokój - w stan bliski paniki. Zwariował czy co? Nie ma to żony, matki, księdza, psychoanalityka? Nigdzie przybyszowi nie jest tak nieswojo jak na typowym, amerykańskim party: dwadzieścia-trzydzieści osób na stojąco, po dwa drinki na twarz, symboliczna zakąska, czas trwania (podany na zaproszeniu) około dwu godzin. Nie sposób stanąć sobie z kieliszkiem w rękę i słuchać. Instytucja party zakłada jak najwięcej kontaktów z jak największą liczbą osób. Wnet ktoś podchodzi i zaczyna się przeplatanka obu dopuszczalnych wariantów dialogu: - Pozwól Tyreza, że ci przedstawię moją przyjaciółkę, Sahny. - Jestem Sahny Johnson, miło cię poznać, Tyreza, jak się czujesz? - Trochę za dużo tu ludzi i jakby za gorąco... - Ja też doskonale. Jak masz na nazwisko? Nie możesz przeliterować? Houuuu... nie, tego się wprost nie da wymówić. Czy to francuskie? Ach, tak. Gdzie leży ten kraj? No, no. Kto by powiedział. Czy studiujesz u nas? - Nie wyglądam chyba na studentkę. Ja... - Racja, racja, nigdy nie ma złej pory na zdobycie wykształcenia. Nasza stanowa uczelnia jest znakomita, prawda? - Skończyłam już studia. Jestem tu z mężem i dziećmi. No i właśnie... - To wspaniale. Czy dzieci chodzą do szkoły? Nasze szkolnictwo jest znakomite. Jak ci się podoba kraj? - Są oczywiście duże różnice. Na przykład... - Tak, to jasne. Do wielu rzeczy trzeba się przyzwyczaić. - Nie ma życia bez zmian (przypominam sobie tytuł szkolnej czytanki) - Nie ma, właśnie. Miło cię było poznać. Mam nadzieję, że znów się zobaczymy. - Cześć, nazywam się Brendan. A ty? - Tyreza Holuka. Jak się masz, Brendan. - Mam się świetnie. Ta szynka jest przerażająco dobra, prawda? - Przerażająco. - Czy studiujesz? Skąd jesteś? - Przyjechałam z Polski, z mężem i dziećmi, on jest na wymianie, one chodzą do szkoły. Wasza szkoła jest znakomita, chociaż... - Nie przeżyłaś szoku kulturowego? - Szoku, to nie, w końcu... - Ja właśnie piszę o tym rozprawę. Każdy tu znajdzie, co chce: Włoch swoją pizzę, Meksykanin taco, Chińczyk pędy bambusa. Ty też będziesz miała tę swoją... jak to się nazywa... no... kielbasy. Jako gospodyni domowa pewnie lepiej się na tym znasz ode mnie, prawda? - Niespecjalnie, ja... - Masz jakieś hobby? Czym wypełniasz sobie czas? - Właściwie niczym szczególnym. Głównie się przyglądam, bo mam wrażenie, że... - Coś sobie znajdziesz. Trzeba mieć jakiś pomysł na życie. Czy pozwolisz, że zadzwonię do ciebie któregoś dnia w sprawie polskiej kuchni? Miło mi było. Do zobaczenia! - Cześć, mam na imię Rosie, jestem żoną Brendana. - Cześć, mam na imię Tyreza, przyjechałam tu z mężem i dziećmi. Ta szynka jest przerażająca. - Przerażająca. Bez szynki nie ma dobrego przyjęcia. Co jest twoim hobby? - Nie nazwałabym tego "hobby". Próbuje... - No, to ja zaraz cię w coś wciągnę. A skąd znasz angielski? Czy chodziłaś na kursy YMCA? Prawda, jak wspaniale uczą? Parę miesięcy i zaczynasz mówić. - Angielskiego nauczyłam się w kraju, z którego przyjechałam. - Niesłychane! To wy uczycie się języków obcych? W szkole? - Tak. Ja akurat uczyłam się angielskiego na kursach. W szkole mieliśmy rosyjski i... - Hej, Vivian! Tu jest Tyreza, która zna rosyjski! Pierwszy raz widzę kogoś, kto zna rosyjski. To musi być ekscytujące, prawda? Czy bardzo podobny do angielskiego? Poznaj Vivian, ona jest prezeską Stowarzyszenia Ambitnych Pań Domu. - Jak się masz, Tyreza. Na imię mi Vivian. - Mam się świetnie i szukam jakiegoś zajęcia. Na przykład znam rosyjski... - Proszę cię bardzo. Mamy dla ciebie kursy układania bukietów, hodowli roślin doniczkowych, ekonomii gospodarstwa domowego, pierwszej pomocy medycznej. Wpłaty dokonujesz do Zjednoczonego Kredytowego, numer konta... - Nie zrozumiałaś mnie. Ja szukam jakiegoś płatnego zajęcia. - W naszym biurze pośrednictwa pracy są bardzo życzliwi i ofiarni ludzie. To jest na rogu Trzeciej Zachodniej i Dwunastej Północnej. Ta sałatka jest przerażająca. Muszę zapytać Lindę, jak się ją robi. Mam nadzieję, że się znów spotkamy. - Na imię mi Ella. Rosie mówiła właśnie, że znasz rosyjski. Czy mogłabyś mi w przyszłym roku udzielić paru lekcji? Chcemy wybrać się z mężem na Węgry, no i właśnie szukamy taniego nauczyciela, bo... - W przyszłym roku wracamy już do Polski. Niestety, nie będę

mogła. - Wracacie? Do Polski? Do tej Polski, co to o niej tyle ostatnio mówili w telewizji? Hej, Judy, tu jest Tyreza, przyjechała z Polski i chce wracać! - Na imię mi Judy. Jestem wykwalifikowanym psychoterapeutą. W czym mogę ci pomóc? - Mnie? W niczym. Czuję się świetnie. - Przeżywasz normalne kłopoty z adaptacją. Ale możemy je razem przezwyciężyć. Prowadzę specjalną grupę dla cudzoziemców i osiągamy wspaniałe wyniki. Uwierz tylko we własne siły. Tu masz mój numer telefonu. Jak się zdecydujesz, możesz dzwonić codziennie między piątą a ósmą. Jeżeli nie stać cię na opłatę jednorazową, możemy rozłożyć na raty. Na początek... - Dziękuję ci bardzo, ale nie skorzystam. Powiedz mi jednak, jak to robisz? Przecież są to ludzie o tak różnym zapleczu... - Stosuję najnowocześniejsze metody. Czy byłeś już we Wschodnim Pasażu Handlowym? Znakomite sklepy, prawda? - Znakomite. No, mam nadzieję, że się znów zobaczymy. - Cześć, nazywam się Keith. Trochę za ciepło jak na kwiecień, prawda? - Nazywam się Tyreza. Rzeczywiście za ciepło. - Czy byłeś już na ostatnim meczu naszych? Wspaniałe chłopaki! - Nie byłam, ale z pewnością wspaniałe chłopaki. Wygrali? - Albo wygrywasz, albo przegrywasz. Innego wyjścia nie ma. - Nie ma. Studiujesz, Keith, czy pracujesz? - Pracuję w sklepie Eisnera. Wyciągam na razie rocznie osiem patyków, ale za parę miesięcy spodziewam się podwyżki. Mam też splecony domek przy Czwartej Południowej. Linda wspaniale gotuje, prawda? - Wspaniale, ta szynka jest... - Ja bardziej lubię spaghetti, a ty? - Chyba smażone kurczęta. - Też mogą być dobre, jak je porządnie przypiec. Jakie jest twoje hobby? - Przyglądanie się ludziom, a twoje? - Znaczący, fotografujesz. A jakiego sprzętu używasz? - Całkiem zwyczajnego. Uśmiełabyś się, gdybym ci powiedziała. - Masz rację, zwyczajne jest najlepsze. No a śmiech to zdrowie! Ta szynka jest przerażająca. Na imię mi Stan, a tobie? - Tyreza. Jak się masz, Stan. Czy studiujesz? - Nie, zrobiłem już doktorat i teraz biorę udział w specjalnym projekcie federalnym, za dwa miesiące kończymy. Fantastycznie! A ty co porabiasz? - Jestem tu z mężem, on uczy na uniwersytecie. Moje hobby to socjologia stosowana. - O! Czy chodzisz na pogawędki? - Nie, raczej bawię się we własne obserwacje. - O! I nie wzięłaś żadnego kursu? - Kursów to ja miałam w życiu aż nadto. Raczej, jak by to powiedzieć... - Mmmmm.... a tego, jak ci się tu podoba? - Zachwycona jestem. Mmmmm... a tego, a jak ci smakuje to ciasto? - Fantastyczne. A tobie? - Fantastyczne. - Słuchaj, a tego... o, już wiem, czy ty jesteś z Ameryki Południowej? Masz przecież katalońskie imię. Skąd wiem? No, wiem. Święta Teresa z Avila i święta Teresa od Dzieciątka Jezus. Która jest twoją patronką? Skąd przyjechałem, pytasz? Z Polski, to kraj w Europie. Rany boskie, czemu od razu nie mówisz? Staszek jestem. Cholera, jak tu nudno. Żarcie niejadalne. Żadnego przytomnego alkoholu. Ta cała Linda, to proszę cię, nimfomanka. Ten facet pod regałem, jest jej aktualnym, siedemnaście lat dopiero, kazała mu zapuścić brodę. Moja szefowa w Krakowie też robiła podobne numery. Ten projekt? Pic na wodę, dobrze płacą i tyle. Jak leci? Obleci. - Obleci. Żeby tylko człowiek nie musiał chodzić na te cholerne parties. - Święte słowa, dziewczyno. Głowa boli od ich gładzenia. Oboje czuliśmy się jak ktoś, kto wreszcie zdjął przyciasne lakiery i z ulgą wpakował stopy w stare, rozczłapane kaptcie. NO widokach zwykłych Ni niezwykłych oraz ich interpretacji Midwest jest raczej brzydki i monotony. Zamieszkują go ludzie średnio zamożni; nie ma tu ani malowniczej nędzy, ani architektonicznych ekstrawagancji milionerów i artystów, przyrodę zaś już dawno rozparcelowano. Oko pasażera samochodu spoczywa najczęściej na ciągnących się milami skupiskach parterowych domków z drewna, pomalowanych na biało, tkwiących w sterylnej pustce. Każdy ma żwirowany podjazd i śmieszoną skrzynkę pocztową na słupku, czasem żelazna huśtawka dla dzieci, wsparta na drążkach i na tym koniec. Bez płotu (odgradzanie się od sąsiadów uchodzi za antyspołeczne), bez furtki, ogródka, drzew, psiej budy, sadzawki, dzikiego wina, czegokolwiek, co zdołałoby przykuć wzrok. Dzieci pytają: a gdzie tu jest wieś? Bo jeśli nie spostrzec położonych z dala od drogi pastwisk i łąk kukurydzy, nic nie świadczy o tym, że wjeżdżamy w okolicę rolniczą. Te same domki, te same centra handlowe i gastronomiczne, stacje benzynowe, płaskie kościoły i urzędy. Zabudowania gospodarcze gdzieś w polu. Ni sadu, ni kota czy kury wąłesającej się przy drodze, ni ludzi w gumiakach, fartuchach, kufajkach, zgiętych nad ziemią lub odpoczywających na przyzbach. No tak, mechanizacja robi swoje. Po co komu kufaja i zgięty grzbiet. Zapachów też trudno oczekiwać, skoro chudoba - licząca się na stada, a nie na sztuki - przebywa gdzieś hen od ludzkich siedzib. Kury pracują pilnie w fabrykach

jaj, kota zastąpił preparat na gryzonie, zamiast psa ma się strzelbę i telefon, pod którym czuwają chłopcy szeryfa. Ale dlaczego brak w tym pejzażu ogrodów i sadów? - Właśnie - podpytuję znajomych, którzy kończą podlewać za garażem pomidory - jesteście pierwszymi ludźmi, u których widzę koło domu coś więcej niż trawnik. Wszyscy narzekacie, że jarzyny z supermarketu są sztucznie pędzone, racja, ja tam z zamkniętymi oczami nie umiem zgadnąć, co jem, ogórek czy marchew, czy cukinię. Dlaczego nie hodujecie własnych? Klimat wspaniały, ziemia tłusta, długi okres wegetacji, toż nawet w październiku słońce pięknie przygrzewa, tylko siać i zbierać. No i dlaczego trzymacie te pomidory za garażem? - One właściwie nie są pędzone - odpowiadają - tylko uprawiane hydroponicznie. Uprawiane przemysłowo. Rozpina się olbrzymią siatkę, zanurzoną w wodzie, nakrywa dachem, żeby zabezpieczyć plantację przed ryzykiem ulewy, gradu, wichury. Na siatce wyrastają z nasion piwniczne warzywa, bez smaku, zapachu, bez witamin. To dlatego musimy zażywać tyle pastylek. Ale co zrobić? Nie ma powrotu do dawnych, dobrych czasów, do żywności wartościowej, lecz drogiej. A my sami? Przecież nie ma kiedy. Jesteśmy dobrze po szóstej w domu. Weekendy? No jak to, przecież zakupy i odpocząć trzeba, człowiek, który nie odpoczywa, zaczyna chorować i może stracić pracę, i wreszcie jakieś życie towarzyskie, musi je mieć, inaczej się dziwaczeje. A poza tym na ogrodnictwie trzeba się dobrze znać. Jean sadi pomidory, bo jej tato zrobił pieniądze na pomidorach. A że z tyłu? No wiesz, jakby to wyglądało? Pomidory na front yard? O kwiaty już nie pytam. Tutejsi kochają je na sukienkach, pocztówkach, podkoszulkach, a nawet na krawatach i papierze toaletowym, ale w naszym mieście nie ma ani jednej kwaciarni. Kto idzie z wizytą do chorego w szpitalu, kupuje kilka hydroponicznych róż w supermarkecie. Przemijająca, krucha uroda kwiatów z grządki najwyraźniej do nikogo nie przemawia. Co innego - na obrazku lub plastikowe. Nie śmieć, nie trzeba zmieniać wody. Jeśli już coś w doniczce (lekarze właśnie odkryli, że rośliny pokojowe zmniejszają zużycie układu krwionośnego), nabywa się trzykrotnie lub "żelazne liście". Coś niewymagającego. Kwiaty zaś na trawniku - to chwasty, to intruzy kalające wypieszczoną starannie zieleń. Oglądamy w gronie rodaków dziennik. Między morderstwem na dyskotecce a relacją meczu hokejowego (wiadomości z zagranicy podaje się na samym końcu), wyskakuje nowa reklama: drewniany, biały domek, a przed nim soczysta, wiosenna murawa, poprętykana pąkami jaskrów, kaczeńców, stokrotek i fiołków. - Ty - szturcham Zosię - popatrz, skąd oni wzięli taki widoczek? Widziałas kiedy, żeby na ich trawniku cokolwiek rośło? - Pewnie - zgaduje Lidka - zaraz się na tym kobiercu rozłoży blondyna i rozsmaruje sobie po cielsku balsam "Łąka". Zamiast oczekiwanej blondyny zębaty gość w farmerkach. Spryskuje trawnik jakby gaśnicą. Kwiaty zwieszają główki, liście zwijają się w spiralę, łodygi wiotczeją. I głos z ekranu: "Co za skuteczność! Co za wybiórczość! Nowy preparat Szmaragd firmy Mac Dusky likwiduje chwasty w dwie minuty nie uszkodzając trawy! Jedno z dzieci uderza w bek. Co oni robią kwiatkom? Andrzej wzdycha i robi się liryczny: a u nas na Stegnach to sychacz wyrównuje. ale ludziska zaraz coś sieją pod oknami na parterze. I na balkonach. A jak wieczorem pachnie maciejką! Wszyscy wzdychają. Wzdycham i ja, gdy w pół roku później Ann karze mi przejechać kosiarką po trawie. Ann przyjechała z Kalifornii, jest naturalistką. Za duże pieniądze kupiła starą farmę, żeby - jak powiada - zacząć żyć inaczej niż te "cholerne świnie". Kocha wolność (nie zdecydowałaby się nigdy zamieszkać z kimś na stałe), kocha zwierzęta, rośliny i proste bytowanie. Zaczyna od poszukiwania w sąsiedztwie kogoś, kto pomógłby uporać się z terenem: powyrywał krzaki jeżyn, skopał porządnie nie ruszaną od paru lat ziemię, rozwalił do końca murszejący garaż, wywiózł kamienie. No i żeby znał się na ogrodnictwie, bo Ann dotychczas była pielęgniarką na reanimacji. Uczynna dusza doradzi: jest tu jedna cudzoziemka, nie dostała pozwolenia na pracę. Będiesz jej mogła zapłacić mniej, nawet poniżej minimum. Ona mówi, że u nich wszyscy znają się na ogrodnictwie. U mnie zresztą przycinała krzaki. Nie, nie bój się. Sąsiadom powiesz, że to twoja kuzynka, ja też tak zrobiłam (zakaz nielegalnego zatrudniania dotyczy - rzecz jasna - także prac dorywczych.) Pierwszego dnia Ann marszczy się przeraźliwie. Pracowała na uczelni, co to za robotnik z takiej będzie? Czy można zaufać osobie, która przyjechała od Czerwonych? Jeszcze zagada do sąsiadki i wyda się, że mówi z akcentem. I w ogóle lepiej mieć się na baczności. Koło południa Ann się odprężyła. Obca kopie sprawnie, nie przysiada. Może nawet nie trzeba będzie

pożyczać traktora. Chłopakowi stąd trzeba by dać co najmniej piątkę za godzinę, ta się zgodziła na trzy. I proszę, nawet lunch ze sobą wzięła. Ciekawe, co Czerwoni jedzą? Właściwie to ci i my, sandwich z sałatą. Nie, nie dziękuję ci, Tyreza. Nie jadamy szynki. Z powodów etnicznych. Tłuczenie niewinnych zwierząt po to tylko, by dogadzać swemu podniebieniu, jest taką samą zbrodnią jak wywoływanie wojen. Czy ty wiesz, co robią ludzie w rzeźni? Ja nawet skórzanych pasków nie noszę. Na lunch przychodzą do towarzystwa cztery koty. Jedzą "Purinę" - wysokokaloryczny, witaminizowany preparat z soi. - Dlaczego one są takie spasione? - pytam. - Czy nigdzie nie chodzą, nie polują? - Oszalałaś? - wybuchła Ann - ja miałabym pozwolić, żeby koło mego domu odbywały się morderstwa? A grube są, no bo dałam je wykastrować. Wszyscy tak robią. Inaczej w kółko miałabym z którymś problem. To jedyna rada na rozmnażanie. Ja sama też dałam sobie podwiązać jajowody. Dlaczego? No jak to dlaczego, nie wiesz o tym, że wtedy komórka jajowa nie zagnieżdża się w macicy? U nas co druga kobieta w moim wieku jest po takim zabiegu. Nie rozumiem, czemu tego nie wprowadzą w tych wszystkich biednych krajach, przecież to jedyne wyjście. Stuprocentowa gwarancja. Co mówisz? Nie bardzo rozumiem. Że jedynym bogactwem biednego człowieka są jego dzieci? To pewnie jakaś metafora. Trzeba mieć praktyczne podejście do życia. Po kilku tygodniach jest już kilka gotowych gałązek. Sieję za domem kalafiory, melony i białą rzepę (najwięcej mikroelementów), zaczynają wschodzić. Konewka, wąż gumowy? - No coś ty, Tyreza. Ja nie mam czasu podlewać, przecież pracuję. Natura sama sobie poradzi, deszcze padają. Główna rzecz to nie zakłócać rytmów przyrody. W roślinach nie powstają wtedy żadne szkodliwe substancje. Gdybyś jeszcze na zakończenie mogła zrobić na front yard, żeby było inaczej niż wszędzie. Niedługo chcę zaprosić na garden party moich przyjaciół ze szpitala, dobrze byłoby mieć do tej pory na przykład... no ten, wiesz, taki staroświecki klomb, widziałam to w magazynie "Przyjaciel roślin". Wertuję więc katalog nasion i sporządzam szkic (tu nasturcja, tam balsamina, na obrzeżach szałwia, w środku groszek pachnący i petunie) wraz z kosztorysem. Ann ze złością zgniata papier w kulkę: za drogi! Piętnaście dolarów za same nasiona, co ty sobie wyobrażasz? I ile problemu - w kółko pielnić, przesadzać, doglądać, podlewać! Wysłała zamówienie na rozchodnik ("sam się krzewi, dobrze znosi suszę, niekłopotliwy w uprawie") i kilka wiecznie zielonych krzewów. - I nie zapomnij Tyreza, wystrzyc dziś trawnika, znów podrósł i do poniedziałku zrobi się z nim nie wiadomo co. Robi mi się żal stokrotek i koniczyny. Nie wytrzymuję. - Słuchaj, Ann. Przecież lubisz kwiaty. A te tutaj same rosną. Co jest ładnego w wystrzyżonym trawniku? Przecież tak jest zgodnie z naturą. I bardziej kolorowo. I inaczej niż u wszystkich. - Tak - mówi Ann powoli - widziałam to kiedyś, jak byłam we Włoszech. I może rzeczywiście tak byłoby ładniej. Ale przecież ja zapłacę mandat! No, jak za co? Za to, że narażam sąsiadów na przeniesienie się chwastów na ich teren. Takie są przepisy. A co o nich myślę? A co można myśleć o przepisach? Są i musimy ich przestrzegać. Opatrując wieczorem bąble uprzytomniam sobie, że podejście tubylców do kwestii trawnika jest rzadkim przypadkiem przedkładania swoiście pojętej estetyki nad wygodę: idealny, zielony dywan, wymaga cotygodniowych zabiegów, które potrafią pochłonać panom domu całe sobotnie przedpołudnie. Ileż to widoków szkokuje przybysza ze stron, gdzie względy pozautylitarne odgrywają znaczniejszą niż tu rolę. Starcy ma Midweście paradują w szortach, obnażając nieapetyczne uda i obwisłe pośladki - trzeba maskować wiek, jasne, ale przecież nie wtedy, gdy jest ciepło i ciało powinno swobodnie "transpirować". Dzieci i nastolatki noszą metalowe koronki ortodontyczne - pewnie, że mało komu w nich do twarzy, lecz zgryz ulega w ten sposób szybszej korekcji niż w tradycyjnych aparatach zakładanych na noc. Zakłady fryzjerskie są zwykle obupłciowe i żony robią sobie "trwałę" tuż obok warbujących wasy mężów - idą razem, razem wracają, płacą jednym czekiem. Nawet mania odchudzania wpływa raczej z przesłanek medyczno-ekonomicznych niż z respektu dla przyjętych kanonów urody i elegancji. - Kto by tam - wyprowadzają mnie z błędu koleżdy w instytucie - umartwiał się tylko po to, żeby wyglądać jak gwiazda filmowa? To dobre dla dorastających panienek. Poczytaj sobie, co mówią lekarze, czy doprawdy nigdy o tym nie słyszałaś? Każdy kilogram nadwagi to zwiększone prawdopodobieństwo cukrzycy, artretyzmu, dyskopatii, to łatwe męczenie się i gorsza sprawność fizyczna. Jedz sobie tak dalej jedz (buła z kotлетem, ciachem i osłodzoną kawą wywołując grozę), zobaczysz za parę lat, jak ci podskoczy stawka



ubezpieczeniowa! W takim razie skąd tu tyłu grubasów? A właściwie nie grubasów, lecz potworów męskich, żeńskich i dziecięcych: przewalających się tołubów o zapuchniętych twarzach i potężnych zadach, o rozdętych brzuchach i nogach grubości czterech normalnych kończyn. Tułobów rzucających się w oczy na tle populacji, w której osoby w średnim wieku mają młodzieńcze figury, niemowlaki są drobne, żwawe i "niemordziaste", a najczęściej spotykany damski rozmiar odpowiada naszej czwórce. Chorzy na tarczycę? - Chorzy, chorzy, ale na biedę - tłumaczy zacierając ręce lewicowiec Hal (zaraz jej tu pokażę, jakie mamy olbrzymie problemy socjalne). - Żremy wszyscy, żremy w nocy i w dzień, trzeba mieć masę harty ducha, żeby nie żreć, żarcie jest wszędzie, nie ma nawet zebrań parafialnych bez małej zakąski. Wiesz, po czym najłatwiej poznać cudzoziemca? To taki, co idzie pasażem handlowym albo siedzi w kinie i nie rusza bez przerwy głową. To taki, co jak pojedzie do lasu, nie zaczyna od rozstawiania rusztu i wyciągania przenośnej lodówki. Żremy wszyscy, kochana, tylko nie wszyscy to samo. Bogatsi żrą białko zwierzęce, jarzyny, soki, owoce, biedni żrą junky food, zapchaj głowę, te wszystkie batoniki, prażynki, sałatki, zapiekanki, gazowane orenżady, tanie, puste kalorie. Przejdź się kiedy do Zachodniej Dzielnicy, w każdym domu znajdziesz parę grubasów i trójkę albo czwórkę grubasiątek. Albo zajrzyj do sklepów z używaną odzieżą - jest tam ich na pęczki. Nie dlatego, że szukają odpowiednich rozmiarów, są przecież specjalne magazyny dla otyłych. Oni szukają po prostu czegośkolwiek na grzbiet. Nasza nędza nie jest szara i chuda, jest spasiona i pstra. Jeśli żyjesz z zasiłku albo jesteś dozorcą albo pakowniczym, musisz obsprawać się tym, co popadnie - bierzesz seledynowe spodnie, pomarańczowy kapelusz, koszulę w kwiaty i na wierzch błyszczący płaszcz przeciwdeszczowy. Wszystko z jakiegoś "Zakątka Okazji" czy składu Armii Zbawienia. Pewnie, że moglibyśmy tych paskudztw jeść mniej. Ale czy ty sama - jak masz problemy - nie cwałujesz zaraz do kuchni? I nie wyciągasz czegoś słodkiego? Czym niby ma się pocieszyć biedny człowiek, jeśli nie jedzeniem? Papierosy, alkohol, narkotyki nie na jego kieszeń. Włącza więc TV i co widzi? Co dziesięć minut reklama. A na co drugiej reklamie ktoś opycha się mrożonym syropem na patyku. Albo makaronikami o smaku orzechowym. Albo jakimś biszkoptem z kremem. To są produkty za grosze - syrop z saharyny, makaroniki z jakiś wytlóków, a krem z Bóg wie czego, lepiej nie pytać. No to wali biedny człowiek do spiżarki - i wyciąga swój syrop na patyku, i choć przez chwilę przestaje myśleć o tym, czym będzie jeździł na pośredniaka, jak mu się rozsypie stary Buik... Przybysz ze stron, gdzie samochód nie jest jeszcze dobrem powszechnym, dziwi się z początku owym rozłożystym Buickom, Dodge'om i Fordom, zaparkowanym przy barakowozach i ruderach przeznaczonych do szybkiej rozbiórki. Ale tylko z początku. Za parę tygodni sam kupuje jakąś landarę z lat pięćdziesiątych, która pochłania masę paliwa i wymaga wiecznych napraw, i dlatego właśnie jest do nabycia już za kilkaset dolarów. Bo samochód na Midweście musi się mieć. Można mieszkać byle jak i byle gdzie. Można chodzić w gumowych japonkach oraz w wdzianku z ręcznika i zjadać junky food, można nie leczyć się i zrezygnować z posiadania potomstwa (sterylizacja - tłumaczy Nancy - kosztuje w końcu połowę tego co opieka nad ciężarną i poród). Byle tylko mieć własny środek lokomocji. Dążenie wszystkich do jednorodzinnej domku z trawnikiem - tej oazy indywidualnej wolności - sprawia, że z wyjątkiem wielkomiejskich centrów dominuje budowa parterowa. Mieszkańcy tutejszej Białej Podlaski czy Wałcza zajmują w związku z tym powierzchnię, na której pomieściłyby się bliki z półmilionem ludzi. Chodzenie na piechotę nie wchodzi więc w grę - do najbliższego sklepu, kościoła, banku, apteki jest zwykle ładne parę mil. Transport publiczny zaś (jeśli w ogóle istnieje) ogranicza się do paru linii, po których autobusy kursują wprawdzie co do minuty, ale nie częściej niż raz na pół godziny; w święta i weekendy komunikacja zostaje zawieszona. Gdyby się bardzo uprzeć, można by żyć bez wozu - wynająć lokum gdzieś blisko miejsca pracy, a sobotnie zakupy i życie towarzyskie załatwiać za pomocą taksówek, które są zawsze na telefonicznym podorzędziu i używane na skromną skalę nie rujnują przeciętnego portfela. Jednak już posiadanie rodziny sprawę mocno komplikuje. Jak tu na przykład skazać nie pracującą żonę na wieczne zamknięcie w czterech ścianach? Czym dowozić dziecko do przedszkola i na kinderbale? Jakim sposobem wyeliminować z rodzinnego bytowania element niespodzianki - konieczność nagłego zakupu, chorobę (lekarze nie jeżdżą do pacjentów nawet w przypadku wysokiej gorączki), zwołaną znienacka zbiórkę skautów, przyjazd

teściowej na lotnisko, wyczerpanie się książeczki czekowej, awarię telewizora (trzeba odwieźć do naprawy), rozpadnięcie się świeżo zakupionej pary butów lub plamę ze smaru na wyjściowym garniturze (pralnie chemiczne nie świadczą usług w domu klienta). Brak czterech kółek w garażu - gdy organizacja codzienności zakłada je jako coś oczywistego - prowadzi w praktyce do masochizmu. A jeżeli się jest biednym - do całkowitej bezradności. Najtańsze supermarkety plasują się zawsze na najtańszych gruntach: na odległych peryferiach miast i osiedli. Tamże można znaleźć lombardy, korzystające z dotacji stanowych przychodnie lekarskie, bezpłatne punkty opieki nad małymi dziećmi, szkoły i kursy dla dorosłych, niemrawe banki, które nie stawiają klientom żadnych warunków i których konta rzadko miewają cztery cyfry. A także różnorakie placówki charytatywne, wypożyczalnie używanego sprzętu i inne instytucje, z jakimi musi się nieuchronnie zetknąć ktoś, komu podwinęła się noga. A powija się dużo łatwiej niż gdziekolwiek i wtedy - o ile nie chce się pójść na samo dno - trzeba dać popis nie lada ruchliwości. - Muszę znów zaciągnąć pożyczkę - mruczy gniewnie Lois, sekretarka medyczna - i kupić samochód. Nie cierpię tej stery żelastwa, ale właściciele mojej kliniki dorobili się wreszcie i chcą wszystko skomputeryzować. Wiadomo, takie jak ja odejdą pierwsze. Znów trzeba się będzie tłuc od szpitala do szpitala, od domu starców do zakładu dla upośledzonych, po całej okolicy, i to w dobrym tempie, żeby wyprzedzić innych, co też szukają roboty. Jak nie wyjdzie - a może i nie wyjść, prawie każda dziewczyna zostaje u nas sekretarką - trzeba będzie zmienić zawód. Podobno Stowarzyszenie Emerytowanych Nauczycieli ma zorganizować tani kurs dla tych, którzy chcieliby uczyć żony Arabów angielskiego. Pomysł dobry, Arabów z roku na rok coraz więcej, tyle, że to daleko, bo aż w Północnej Dzielnicy. Albo przeniosę się do sąsiedniego hrabstwa, przyjaciółka mówiła mi, że w Nashville budują gigantyczny hotel dla narciarzy. Czy ty sobie wyobrażasz, co ja się najeżdżę po garage sales, zanim się w tym Nashville jakoś urządzę. Bez żelastwa ani rusz... - Gdzie też oni wszyscy gnają? - daję upust irytacji w długim ogonie przed skrzyżowaniem. - Przecież w tę stronę nic nie ma. Ani stadionu, ani lasu, ani jeziora. Może gdzieś tu będzie jakiś festyn ludowy? - Ciepło, ciepło - poucza mąż. - Pomyśl jeszcze chwilę. Pogoda piękna, gdzie mają ludziska walić, jak nie na garage sales? - Tutaj? - nie ustępuję. - Chyba zwariowałeś! Przecież to dzielnica bogaczy, bankierów, lekarzy, właścicieli sklepów. Po markach wozów sądząc, walą nie ludziska, tylko upper class. Wyprzedaże w garażach (w istocie odbywają się zwykle na trawnikach przed domem) u bogaczy dla bogaczy? To jest przecież instytucja dla takich wędrowców jak Lois, poszukujących pracy lub lepszych zarobków. Zanim Lois ruszy do Nashville, z pewnością wyłoży swój skromny dobytek przed dom - transport jest bardzo drogi i kłopotów po prostu nie opłaca się brać. Część z nich znajdzie nabywców (zawsze trafi się ktoś, komu przyda się używana patelnia za pół dolara albo lekko porysowany stolik za dwa dolary), reszta powędruje na śmietnik. W Nashville Lois skombinuje sobie nowe kłamoty; na wyprzedażach u innych wędrowców. Lecz po co pędzą na wyprzedaże ci, którzy prowadzą życie osiadłe, mieszkają w domach wybudowanych przez ojców, wśród przedmiotów zakupionych z namysłem i ze smakiem? I co mogą wystawiać przed dom bogacze? Komplet mebli, który się opatrzył? Niemodne futro? Kinkiet nie pasujący do salonu? Jeśli tak, to może rzeczywiście zajrzyjmy... Nie, tranty przed domami takie same jak wszędzie. Stosy spranych dziecięcych podkoszulków. Połamane zabawki. Krzeselka ogrodowe bez nóg. Kapelusze z lat czterdziestych, porysowane płyty. Tu parasolka przeciwsłoneczna bez szprychy, tam obłupany mikser. Jakieś zaczytane na śmierć komiksy, talerze z różnych kompletów. Po godzinie myszkowania wśród trawników wyławiam mało sfilcowany męski golf i parę nieznacznie sfastrygowanych łyżew, za dwa lata będą w sam raz na Marysię. Cwierć dolara, no, no! - A widzisz - chichocze któryś z rodaków - już połknęłaś bakcyła! To nic, że swetrem pewnie zaczniesz kurze ścierać, a łyżwy powędrują na dno szafy. Ważne jest poczucie, że zrobiłaś interes, że złapałaś okazję. Rodzi się nadzieja - ta zawsze matką głupich - że jeżdżąc wytrwale po garage sales zaoszczędzisz swojej rodzinie masę pieniędzy. W następną sobotę zaczniesz dzień od lektury ogłoszeń o wyprzedażach, a potem... potem już się od tego nie opędzisz, jak od narkotyku. - No dobrze, ja to ja. Tych studentów też rozumiem, kompletują gospodarstwo. Ale tamto towarzystwo z Cadillaców czego tu szuka? Trawią całe przedpołudnie na szperaniu w szmatach i trantach zamiast jeździć na nartach wodnych

albo opalać się na leżakach. Czy taki babus w łachach od Gucciego naprawdę potrzebuje bluzki z flaneli za dziesięć centów? - Babus - poucza rodak - chce pewnie kupić podkoszulki dla swojego dziecka, które wszystko drze i ze wszystkiego wyrasta. A bluzką z flaneli też nie pogardzi - przyda się do sprzątanía, a nawet jak się nie przyda, jest dowodem, ba, symbolem zgoła, zapobiegliwości babusa. Zrozum, tu każdemu od pieluszek kładzie się do głowy: ziarnko do ziarnka. I to jest święta prawda - czy widziałas kiedyś kogoś, kto by się dorobił nie ciułając? W realnym życiu, nie na filmie. Jeżeli kładziesz się na leżaku wiedząc dobrze, że niedaleko można coś tanio nabyć, po prostu grzeszysz. Babusy walą na garage sales, bo inaczej miałyby potworne poczucie winy. - No, a sprzedający? Przecież i tak trzy czwarte tych trantów wyląduje w śmietniku. Albo zawiozą je do Armii Zbawienia czy schroniska dla ubogich. Co za sens marnować cały dzień i rozwałać pół domu po to tylko, żeby zarobić pół dolara? I że też nie wstyd eksponować takie barachło... - Wstyd byłby - słyszę znów - przekreślać z góry szansę, nawet bardzo znikomą, odzyskania jakiejś części pieniędzy, które się niegdyś w te tranty włożyło. Człowiek pozbywający się lekką ręką czegoś, co inni, być może, zechcą kupić, daje świadectwo najstraszniejszej z przywar: rozrzutność. Daje dowód, że jest konikiem polnym, istotą, która nie kalkuluje, mamonę waży sobie lekce i nie chce jej pomnażać. A nie pomnażać, to trwonić. Zapamiętaj - żadne dziwactwo obyczajowe, żadna dewocja moralna nie gorszy ich w tym stopniu, co być nieoszczędnym! Przenikliwy rodak ma rację. Bo jeśli miarą zgorszenia tubylców jest nagła, lodowata cisza, to w instytucie profesora S zapadła ona nie wtedy, gdy wstąpiła do pracy w stanie nieważkości (któż mógł przypuszczać, że koktail na czczo działa nie gorzej od dwustu gram?). I nie wtedy, gdy zaczęłam buntować główną sekretarkę przeciw feudalnym - jak mi się zdawało - zapędom bossa ("Powiedz mu, żeby cię pocałował wiesz gdzie. Nie jesteś jego niewolnicą, tylko pracownikiem"), które wnet okazały się powszechnie tu przyjętym sposobem traktowania personelu. I nie wtedy nawet, gdy nie chcąc wdawać się w zawile wyjaśnienia (przecież oni nigdy nie rozumieją, co to spółdzielnia mieszkaniowa, twarda waluta i paszport służbowy), oświadczyłam ciekawskim, że zostawiłam na drugiej półkuli męża z parą drobnych dzieci dlatego po prostu, że tak mi się spodobało. Nie, cisza zapadła innego dnia. Mark chciał wiedzieć, czemu nie chodzę wraz z wszystkimi na lunch do meksykańskiej garkuchni. Przecież tam jest o wiele taniej. - Czy jadasz jakieś specjalne potrawy, wy katolicy, podobno powinniście? - Jadam w pobliżu, bo nie chce mi się w upały ganiać taki kawał po to tylko, żeby zaoszczędzić dwadzieścia centów... Przestali odtąd pytać o cokolwiek i już di końca się nie uśmiechali. Albo kiedyż to właściwie obraziła się Fanny, sąsiadka z poprzedniej kwatery? W geście przyjaźni Fanny przyniosła garść "kuponów" - druczków uprawniających do kupowania z rabatem różnych (zwykle mało chodliwych) dóbr sklepowych. Każda porządna pani domu pracowicie je gromadzi" czasem wycina z gazet, czasem otrzymuje pocztą wraz z reklamami, czasem wydobywa z opakowania po użyciu zawartości. Nie używasz tego, Tyreza? Naprawdę? A dlaczego? Kupujesz więc bez kuponów? I twój mąż ci na to pozwala? Słuchaj, a może wy nie wiecie, czemu one służą? Dowiedziawszy się, że szkoda mi zawracać sobie głowy groszowymi zabiegami, pomilczała chwilę. I nigdy już więcej nie przyszła. Później opowiadała w pralni o Polakach. - Oni wcale nie są tacy głupi jak w Polish jokes, tylko kompletnie nieodpowiedzialni. I krótkowzroczni. Mojej sąsiadce - pomyśleć tylko - szkoda czasu na zbieranie kuponów! W drugi dzień Christmas pojechaliśmy całą rodziną na łyżwy. Tłumaczę im, że właśnie zaczyna się największa w całym roku wyprzedaż, że mogą sobie kupić za pół ceny tyle wspaniałych rzeczy - zabawki na choinkę, kartki z życzeniami, brytfannę do indyka, wszystko, czego przecież będą potrzebować na następne Boże Narodzenie. Więc niech lepiej wybiorą się z nami do pasażu. A oni na to, że ich to nie interesuje. W ogóle - jedzą nożem i widelcem, a dzieci wychować nie potrafią: postrojone na codzien, jakby szły do konfirmacji. I wyobraźcie sobie: kupują ciągle książki. Mówią, że po to, żeby mieć. Kobiety w pralni musiały być bardzo poruszone. Bo zgodnie z tutejszą - wyznawaną niezależnie od warstwy społecznej - hierarchią wartości, najpierw materialne bezpieczeństwo, wygoda i zdrowie, potem ozdóbki. Ktoś, kto mieszka w wynajętych pokojach, ktoś bez domowego lekarza, porządnego wozu, oprocentowanego konta, winien zakasać rękawy i porządnie się zwijać. Tak jak Fanny (skądinąd history sztuki). Jeździć do pracy o godzinę wcześniej, razem z

mężem, żeby niepotrzebnie nie palić benzyny. Nosić starą kurtkę wuja Eliasza i getry nie do pary; ubiór przecież nie jest najważniejszy. W niedzielę pilnować za pieniądze bliźniaków szefowej, w piątki pomagać w sklepie kolonialnym razem ze starszą córką (niech się uczy życia). I odkładać, odkładać, odkładać. I za parę lat dobić się tego, co mieć się musi. Siedziby, solidnych mebli, dwóch wehikułów, stałej opieki medycznej, szacunku w okienku bankowym. Wtedy będzie można pomyśleć o głupstwach. O rzeczach niekoniecznych. Książki wszakże są mniej niż niekonieczne. Przestronne wnętrza białych domczków na Midweście (trzy sypialnie, duża kuchnia, garderoba, łazienka i olbrzymi living room) wypełnia się różnymi przedmiotami. Jedni kolekcjonują muszle morskie i kamienie, inni puszki po piwie i pseudoniemieckie kufle. Jeszcze inni - wypchane ptaki, stare zegary, hafty, bombonierki, narzędzia rolnicze. Nikt nie kolekcjonuje książek. W pokoju dziecinnym poniewierają się jakieś komiksy. Pani domu ma zwykle "Kuchnię włoską", "Twojego kota" i magazyny kobiece. W salonie leży na kominku kilka albumów. No i jeszcze podręczny, wąskospecjalistyczny księgozbiór pana domu, o ile para się on pracą umysłową. Nigdzie jednak - chyba u świeżych emigrantów - biblioteki z prawdziwego zdarzenia. - Gdybyś żył w moim kraju - podpuszczam Geoffa, literaturoznawcę - to miałbyś półki aż pod sam sufit, a na nich wszystkich klasyków, nie tylko tę twoją Jane Austen. I po trochu z każdej przyległej dziedziny - z socjologii, historii, semiotyki, językoznawstwa. I jeszcze najświeższe pozycje, o których się myśli, że powinien je znać każdy humanista; pozycje, które uchodzą za wydarzenie. Przyjaciele pędziliby najpierw zobaczyć, co masz. Niejeden zaraz by coś pożyczył. Wiesz, u naszych jajogłowych półki z książkami to główna ozdoba salonu, a... raczej czegoś (salon w M-4?), co pełni podobne funkcje. - Po co? - w oczach Geoffa bezbrzeżne zdumienie - przecież jeśli się potrzebuje jakiegoś cytatu, można zrobić odfitkę. Jeśli musi się przeczytać jakąś pracę, sprowadza się ją przez bibliotekę. Nie ma przecież sensu kupować wszystkiego, co powinno się znać. Nie mówiąc już o tym, że książki straszliwie gromadzą kurz. - No, a jak przychodzi ci ochota poczytać sobie, ot tak, dla przyjemności? Ja na przykład biorę wtedy Flannery O'Connor. Tak by pewnie pisała współczesna Jane Austen. Wiesz, dziwię się bardzo, że tu nikt jej nie zna. Przecież to amerykańska pisarka... - Oszałałaś, kiedy ja miałbym mieć czas na czytanie dla przyjemności? Bez publikacji nie przedłużą mi kontraktu. I w ogóle, czy ty sobie wyobrażasz ile godzin dziennie przygotowuję się do zajęć? Jak studenci przestaną mi chodzić na wykład, pojedę do jakiegoś Kokomo albo innej pięciorzędnej uczelni. Albo mając trzydzieści pięć lat będę się musiał wziąć do komiwojażerki. Ja nawet w niedzielę zasuwas. - Słuchaj - zaczynam w parę dni później z Donną - ty przecież nie zabierasz żadnej roboty do domu? No, to co właściwie robisz popołudniami? Mówiałaś, że nie znosisz telewizji. Dlaczego nie czytasz książek? Dlaczego tu u was łatwiej znaleźć w salonie oswojoną małą niż cokolwiek drukowanego? - Moi rodzice jeszcze czytali. A nas już wychowano na komiksach. Czytać... to zbyt męczące po całym dniu pracy. Trochę szydełkuję. Czasem wychodzę z kimś do restauracji albo sama robię coś smacznego. Człowiek musi się zrelaksować, to bardzo ważne dla zdrowia. A literatura przecież nie jest relaksem. Po co mi jeszcze cudze problemy? I zresztą książki są tak obłędnie drogie... Brak czasu i drożyzną wymieniają wszyscy nagabywani. Istotnie, książki kosztują, choć... są przecież miejsca na świecie, gdzie na przykład nabywa się je kosztem obiadów. Tu chyba cena jest względem przeważającym, myślę, obserwując duży ruch w bibliotece publicznej. Ciekawe: pożyczają nie emeryci i nie młodzież szkolna, lecz mocno zaferowane jednostki w sile wieku. Wszyscy gromadzą się najpierw wokół komputera, wskazującego sygnaturę; wystarczy znać tylko tytuł (nawet niedokładnie) lub tylko nazwisko autora, maszynka sama wydrukuje resztę danych. Na życzenie, za dodatkową opłatą, ekran rozbłyska pełną biografią na dowolny temat. I czegoż tu nie mają! Podręczniki freneologii, architektura Bliskiego Wschodu, inżynieria genetyczna, gramatyki wszelkich możliwych języków świata. Dostęp do półek wolny: w w grzbiecie każdej książki tkwi jakiś cud technologii, który uniemożliwia wyniesienie jej ukradkiem - jeśli nie zostanie "odczarowana" przez dyżurnego bibliotekarza, włącza się hałaśliwa syrena przy wyjściu. Nikt jednak nie wystaje pod regałami. Nie przewraca, nie szpera, nie odczytuje. Sięgają po wybraną pozycję, podają ją siwowłosek damie za kontuarem, która wpycha wolumin do urządzenia odczarowującego, i śpiesznym krokiem oddala się ze zdobyczą. Co pewien czas

sprawny korowód pożyczających przystaje na chwilę: to zabrakło czegoś na półce. Inny komputer błyskawicznie ustala, kto ma książkę, i drukuje monit; interesant zaś podaje swój numer telefonu - za parę dni książka będzie do jego dyspozycji. Przedstawiam się siwowłosej jako socjolog piszący pracę z czytelnictwa porównawczego. Spróbujmy zagadnąć, co stanowi tu osłode szarzyzny. Kto jest tutejszą Rodziewiczówną, Kraszewskim, Sienkiewiczem? - Pewnie - zagajam ostrożnie - dużą popularnością cieszy się "Przeminęło z wiatrem"? Coraz to pojawia się w TV, no a przecież ekranizacja... - Chodzi pani o tę powieść Margaret Mitchell? Zaraz pani powiem. Ostatnio wypożyczyliśmy ją osiem lat temu. - No, a na przykład "Na wschód od Edenu"? - To, zdaje się, Steinbecka? Chwileczkę. Tak, w zeszłym roku. Pożyczali członkowie kółka dramatycznego, w wersji scenicznej. I zresztą zgubili oba egzemplarze. - To czy jest jakaś powieść, którą można by nazwać... no, przebojem wszystkich sezonów? - Nie bardzo rozumiem, co pani ma na myśli. Listę aktualnych bestsellerów podaje zawsze Time. Niech pani zadzwoni do redakcji, na pewno ktoś panią wyczerpująco poinformuje. - Chodzi mi o statystykę biblioteczną. Które powieści są w stałym ruchu? - Doprawdy, trudno mi powiedzieć. Przecież to nie jest biblioteka uniwersytecka. Ani szkolna. Literaturę piękną mamy, oczywiście, ale... właściwie mało kto z niej korzysta. Ludziom brak na to czasu, tempo życia jest zawrotnie szybkie i... powiedzmy sobie szczerze, kogo stać, by zajmował się rzeczami zupełnie fikcyjnymi? - No, ale ludzie starsi, chorzy przykuci do łóżek i foteli, bo ja wiem, bezdietne panie domu. Zdarzają się też urlopy z deszczem non stop, jakieś dalsze podróże... - Ach, rozumiem panią, chodzi pani o książki dla zabicia czasu. No więc w tym, miesiącu mieliśmy dużo chętnych na "Zakop mnie głęboko" i "Wszystko, czego o niej nie wiedziałem" Jamesa Scharde, wie pani, tego, co prowadzi audycję "Detektyw amator". Ale w zasadzie takie rzeczy kupuje się w drugistorze. Dwa- trzy dolary, a jak się tego trochę w domu uzbiera, sprzedaje się za jednym zamachem handlarzowi czy na jakiejś garage sale, sama tak robię. - W takim razie co właściwie ci wszyscy ludzie wypożyczają? - Głównie poradniki. Proszę, tu ma pani listę pozycji najczęściej cyrkulujących: " Jak wyremontować dom", "Postaw sobie horoskop", "Co robić z dzieckiem chorowitym", "Proste naprawy w łazience i kuchni", "Biodynamiczne uwalnianie się od stresów", "Podatki, które może płacisz niepotrzebnie..." Nie ma podobno zjawisk jednoczynnikowych. Więc po pierwsze, zwykła, tylekroć komentowana przez smutnych socjologów przegrana druku z gadającym obrazkiem. Ciekawe tylko, że aż tak doszczętna. Po drugie, tu powstałe i stąd na świat promieniujące traktowanie wszelkiej sztuki jako rozrywki. Puste kina wypełniają się w każdy sobotni wieczór: po pięciu dniach człowiekowi należy się jakiś film - chodzą dla odprężenia. Jeśli więc zamiast zapowiadanych "Wszystkich ludzi prezydenta" (zginęła kopia) wyświetlony zostaje romans baseballowy, nikt nie protestuje, nie zawraca do domu ani nie ma rozczarowanej miny. Z pewnością natomiast wybuchłaby awantura, gdyby właściciel kina nie przewidział w zamian czegoś innego - każdy ma niepodważalne prawo do uregulowanego trybu życia, którego stałym punktem jest zasłużona przyjemność podczas weekendu. Jeżeli trafiliśmy na jeden z filmów nakręconych przez facetów, którzy lubią problemy - nie ma sprawy, zawsze znajdzie się coś, z czego można się pośmiać (stąd szokujące przybyszów wybuchy śmiechu w najbardziej dramatycznych momentach) albo coś, czego można się porządnie przestraszyć (widownia reaguje na trupy, gwałty i zmory entuzjastycznym przytupywaniem: na dialogi natomiast, pejzaże i sceny, w których nic się nie dzieje - zniecierpliwionym syczeniem) Podobnie w miejscowym teatrze, muzeum, sali koncertowej; nawiedzane na codzień wyłącznie przez profesjonalistów, zaczynają kipieć życiem w ostatni dzień tygodnia bez względu na repertuar. W środę zespół z Broadwayu gra "Amadeusza" Schaffera przy dwu rzędach krzesel (to studenci teatrologii), w sobotę nie sposób dopchać się na "Kopciuszką" w wykonaniu amatorskiej trupy z sąsiedniego hrabstwa. Charakterystyczny szczegół: w placówkach świadczących usługi kulturalne nie ma zwykle szatni; siedzi się wraz z okryciem i "przekąską", tj. prażoną kukurydzą i kubkiem coli. Nic z klimatu misterium. Choć nie ma tu instytucji zbiorowych wycieczek, organizowanych przez szkoły i zakłady pracy, trudno nieraz zorientować się czy jesteśmy w filharmonii, czy na wiecu przedwyborczym. Nie da się zaprzeczyć, że beletrystyka w małym stopniu wychodzi naprzeciw tym zapotrzebowaniom. I wreszcie po trzecie, człowiek z Midwestu zdaje się nie mieć żadnej skłonności do refleksji. Zwłaszcza

nad własną dolą - nad tym, co go spotkało, co mogło spotkać, i co nie spotka nigdy. Człowiek z Midwestu nie jest istotą medytująco-przeżywającą. Bezustannie działa, nawet w wolnym czasie. Jeśli wyjeżdża na piknik, przygotowuje posiłek, gra z dziećmi w kometkę, uprawia jogging. Na basenie wskakuje nie oglądając się na nikogo do wody, przepływa zaleconą przez lekarza porcję i wzięwszy prysznic udaje się natychmiast do domu. W czasie podróży koleją czy samolotem czyta dwudolarowe horrory; w poczekalniach wertuje magazyny, szydełkuje, czyści paznokcie, oblicza coś, robi porządek w teczce lub torbie. Na przyjęciach konwersuje lub załatwia interesy. Kiedy spotykamy kogoś, kto spaceruje bez celu albo siedzi gapiąc się w wodę, albo milcząc obserwuje otoczenie - jest prawie pewne, że to cudzoziemiec lub emigrant z pierwszej generacji. Człowiek z Midwestu chyba... boi się zostać ze swymi myślami. I chyba boi się także, by inni go do tego nie nakłonili. Unika tak cenionych gdzie indziej "ogólnych rozmów o życiu", ilustrowanych osobistymi przykładami. A czy literatura piękna nie jest właściwie taką "romową o życiu?" Rozbitkowie Rozbitka Numer Dwa potrafiłam w bibliotece uniwersyteckiej w przejściu między regałami. Przeprosił, poprawiając przy tym krawat. Dopiero po chwili olśnienie: zaraz, zaraz, przecież oni tu nie poprawiają krawatów na widok kobiety. I wyraźnie się uklonił, połową tułowia. Nie widziałam go od dwóch lat. No i garnitur. Tubylcy wkładają go tylko do ślubu i trumny, a tak dżinsy, sweterek, flanelowa koszula, im dalej w lata tym bardziej musowo, byle nie odstać od młodych. I jeszcze włosy: ani na jeża, ani wyleniały Paderewski (po którym rozpoznaje się jajogłowych). Średniej długości, zaczesane do tyłu. Nie ma cudów, jakiś swojak. Za kilka dni szedł sobie nieśpiesznym krokiem wokół ratusza, gapiąc się na chmury i wróble w kałużach. Widok tu równie niestychany, jak gospodyni domowa uprawiająca jogging w Bodzentynie czy Trzciance. Uchylił kapelusza, swojak, tylko kto on, jak tu zagadać: Węgier, Czech, Bałt, Polak, a może Austriak? Zagadnął sam po angielsku, prędko przeszedł na polski. - Pani też spaceruje, od razu poznałem, że to ktoś od nas. A wczoraj się pani zarumieniła. One się tu nie rumienia. Powinniśmy pójść teraz na dworzec. No, jak to, nie pamięta pani Erenburga? Jak to Aleksiej Spirydonowicz zaciągnął wszystkich do pustego wagonu, żeby im opowiedzieć swoje życie, bo w wielkiej literaturze robi się to zawsze w pociągu. Albo w dyliżansie. A tu ani dworca, ani kawiarni, ani parku z ławeczkami - stare, europejskie wynalazki. My wszyscy stamtąd lubimy życie swoje opowiadać. Jak by to powiedzieć... wierzymy gorąco, liczymy na to, że za którymś razem sens wyskoczy sam z naszych perypetii, jak diabeł z pudełka. Bo dla nas życie jest niepojęte, mamy wrażenie, że tkwi w nim jakaś tajemnica, którą kiedyś wreszcie rozszyfrujemy. Tak, ja też pracowałem w tej bibliotece, a teraz na emeryturze. Czego to się przedtem nie robiło! I dozorca nocny! I fabryka konserw, i malowanie rur. Co to dla nich magisterium z jakiegoś Jana Kazimierza we Lwowie. Dzieci dwoje i żona jak raz na raka zachorowała. Tom poszedł do cerkwi Bogu modlić się, żeby z niej to cierpienie zdjął i na mnie położył. I patrz pani - wyszedłem z cerkwi na ulicę, w Detroit to było, buch, samochód nadjechał, obie nogi połamało. A jej zrobili operację i wyzdrowiała. I tak szło przez dziesięć może lat. Dopiero jeden taki mówi: wykształcenie to sam. Maksym, wiesz, że tu niewiele znaczy. Ale znasz języki, to jest coś warte. I faktycznie: niech pani powie, niby biorą tu sobie po college'ach francuskich albo hiszpańskich, a potem ani be, ani me, nawet gazety nie potrafią przeczytać czy afisza w Paryżu. Myślenie mocarstwowe zabija motywację do nauki cudzej mowy. No a u mnie przecież niemiecki i rosyjski, i francuski, i ta łacina z greką... no nie, ja jestem Ukraińcem, ale po polsku sama pani widzi, biegle mówię, z pisaniem tylko gorzej. U nas w Stanisławowie to jednej mowy by nie starczyło, kto zresztą zna tylko jedną mowę, ma tylko jedną duszę, a tak dusz jest kilka naraz, każda w inną stronę ciągnie, czasem kłopot, człowiek nie wie, co począć. Ot, matka moja, pamiętam, zawsze na katolicką wigilię obiadu nie gotowała, nam pościć kazała, siadała w kącie i do nas: kto tam wie, kto ma rację, Polacy czy my? Może, my, a może rzymski papa? Więc ten jeden wtedy powiada do mnie: idź do biblioteki przy jakimś uniwersytecie, biblioteka to zawsze przechowalnia dla humanistów, przydadzą się, Maksym, twoje języki. Pokiwali w bibliotece głowami, ale że oni tu nie wierzą, że gdzieś indziej też istnieje normalne szkolnictwo, wysłali najpierw na dwuletni kurs, no co pani, pewnie że płatny. Za własne pieniądze wysłuchiwał człowiek oczywistości: a to, że w Europie znaczą periodyki - nie wiedzieć czemu - rzymskimi cyframi i że cyfry te trzeba

wykuć na pamięć. A to, że na świecie używa się różnych alfabetów, co prawda mniej funkcjonalnych niż nasz (wynaleźli go czy jak, u licha?). A to, że niektóre książki mają geografie i że Azja nie leży za Atlantykiem. A to, że niektóre książki mają więcej niż dwieście lat i trzeba się nimi delikatnie obchodzić. No i tak szło, rano do fabryki, wieczorem kurs, żona zmarła w końcu, chłopaki na ulicy. Jak skończyłem, wysłali tu. Najpierw roznosiłem książki, tak jak pani, a potem... - ...Jak on został kierownikiem działu słowiańskiego - mówił Rozbitek Numer Trzy - to i mnie tu ściągnął. Aż z Michigan, w rzeźni tam stoły myłem. Zrobiliśmy razem porządek, katalogi, biografie i zaczęliśmy gromadzić zbiory. A przed wojną? No, w Przemyślu, w gimnazjum historii uczyłem. Po waszemu uczyłem: Chmielnicki drań, kozactwo czerń. Inaczej byście mi uczyć nie dali. I tak inspektor nieraz do porządku przywoływał. A za różne takie. Zresztą wyście nawet Litwinów za naród nie uważali. Im się też własny uniwersytet z własnym językiem we Wilnie należał. Może jakbyśmy i my mieli, i oni, to wszystko by się inaczej potoczyło? Pan Bóg nie tylko ludziom, ale i całym narodom rozum odbiera, jak chce pokarać. Mamy teraz wszyscy za swoje. Pewnie jeszcze nieraz sobie wzajem krwi utoczymy, nim będzie spokój. Tylko... wie pani, co? Nieraz myślę, jaki to będzie w tym przyszłym świecie spokój. Żeby nie postrach cmentarza. Takiego jak tutaj: grób żaden wyróżniać się nie może, kubek w kubek mają być, i równo z ziemią. Też miele się odrębności, tylko innymi metodami. Patrz pani: póki my z Maksymem wschodnią Europą się zajmowali, listy pisało się do każdego w odpowiednim języku - do wydawnictwa w Pradze po czesku, do "Russkovo Słowa" po rosyjsku, do Wilniusa po litwesku. A teraz co? Stara maszyna z cyrylicą w magazynie leży, a ten nowy kierownik działu, choć po czeskiej filologii i żonaty z Czeszką, wali do wszystkich po angielsku, nawet jak do uniwersytetu Jana Karola pisze. Znaczący się niby: do diabła z różnorodnością, tylko przez nią kłopoty. Na pewno sama pani nieraz słyszała, jak te Janeksy narzekają, że jak się pojedzie do Europy, to co sto mil inny język, inna kuchnia, inne zwyczaje. I że co gorsza, co sto mil upierają się przy swoim. Prawdę mówiąc, i wyście byli lepsi. A i teraz... No, niech pani powie - czytała pani coś Szewczenki? A my wszyscy znamy Mickiewicza. I czy jakiś uczeń w waszej szkole to wie chociaż, dlaczego ten ksiądz w "Dziadach" jest wdowcem i ma potomstwo? Czy mu wasz nauczyciel co o unitach powie? To przecież zwykły wstyd. My tu mamy dobre szkolnictwo, i podstawowe i średnie, tylko coraz ciężiej nauczycieli znaleźć, uczą dziadki, babki, bo młodzież się wypiera, daje się zemleć, a nowa nie dopływa. Więc Szkolna Rada Ukraińska w Toronto wydrukowała we wszystkich waszych gazetach ogłoszenie: tak i tak, nauczycieli potrzebujemy, zapewniamy pracę dobrze płatną, prosimy o zgłoszenia na kurs języka, kultury i historii ukraińskiej, z utrzymaniem i mieszkaniem. I co? Nie zgłosiła się ani jedna osoba. A przecież tylu waszych zostało tu po grudniu. Biedują, żebrzą, a do pobratymca nie pójdą. Choćby z czystej ciekawości. Pani pracuje w naszej bibliotece. No to na pewno pani wie, że było w niej - i jeszcze w jakimś stopniu jest nadal - takie lobby węgiersko-bałtycko-ukraińskie. Kto pani pomógł dostać pracę, czy nie ktoś z naszych? No a gdyby tu było lobby polskie, to jak pani myśli, czy ktoś by pomyślał o takim na przykład Łotyszu? Rizbitek Numer Jeden, Łotyszka, podeszła pod uniwersyteckim pośrednikiem. Właśnie wychodziłam strapiona, że od ośmiu miesięcy to samo: bardzo nam przykro, ale do sprzątnięcia kampusu przyjmujemy tylko naszych studentów. A w biurach to trzeba szybko pisać na maszynie. Jakby coś było, zadzwonimy. I nagle miły głos: skąd pani jest, bo widzę z wszystkiego, że nietutejsza. - Moje dziecko, pewnie nawet nie wiesz, jak u nich trzeba wypełniać formularze. Przepraszam, ja nie znam polskiego, mówmy więc po angielsku i chodźmy do mnie do domu, bo tak stać na ulicy to bardzo niegrzecznie. - ...Patrzysz, dziecko, na te stare fotografie. To dom moich dziadków nad zatoką, a tu się urodziłam. A to z ekspedycji. Zanim wojna zaczęła się przez świat przelewać, byłam folklorystką, badałam zwyczaje pogrzebowe, u was też, na Polesiu zwłaszcza, tylko tam stawiali świece nie w głowach, a w nogach zmarłego. Niech pani sobie nie żartuje, gdzie bym to miała robić, w domu pogrzebowym Allena? Dzieci nie mieliśmy, to i wnuków też nie, przecież pani chyba rozumie, że nie sposób mieć je tam, gdzie się samemu nigdy nie zapanuje korzeni, a patrzeć na to, jak się nas wstydzą, to zbyt bolesne... .. Ale do rzeczy. Przede wszystkim: to wiedza oznacza zupełnie coś innego niż u nas. Nie pisz nigdy, moje dziecko, w rubryce "kwalifikacje" swoich tytułów naukowych; im one nic nie mówią. Trzeba pisać: znajomość wielu języków obcych. Znać niemiecki

tutaj to nie - jak u nas - mówić biegle po niemiecku, tylko zrozumieć coś z tekstu piąte przez dziesiąte. Tłumaczy oni nie potrzebują - każdy przecież musi znać angielski, a jak nie zna, niech głowy nie zawraca. A teraz wyszczególnimy: rosyjski miała pani w szkole podstawowej i średniej. Piszmy więc: siedmioletni kurs rosyjskiego, oni tu mają najwyżej dwuletni. I co jeszcze było w liceum? Piszmy więc: cztery lata łaciny, może być pani pewna, że drugiej takiej nie znajdą. A na studiach? Dwa lata francuskiego? I lektorat z greki? Jeszcze lepiej. Czy przeczyta pani z jakim takim zrozumieniem po czesku, ukraińsku? Dodajmy i to. Oraz pewne obeznanie z niemieckim. I oczywiście polski. A na koniec, nie pani pisze, duża praktyka przy książkach i księgozbiorach z racji poprzedniego zawodu. Znajomość kultury, historii i geografii europejskiej. Tak, kochanie, tu człowiek, który wie, jak się nazywa teraz Dorpat, gdzie leży Wersal i co napisał Goethe, to człowiek na wagę złota. Akurat są trzy wolne miejsca w naszej bibliotece, w dziale czasopism. Niech pani nie będzie naiwna. Ogłaszają w gazecie, że jest praca do wzięcia, żeby ich ktoś nie zaskarżył do sądu, że uniemożliwiają wolną konkurencję. Ale zanim ogłoszą, mają już swego kandydata i te interviews z pozostałymi to czysta fikcja. Przyjmą panią na pewno. Szefowa działu ma głowę na karku i woli zawsze cudzoziemca niż tutejszego niedouka. Tylko muszę panią uprzedzić. Na początku będzie pani murzynem. Bo tu trzeba na pracowników zrobić jakiś interes. W pani przypadku interes sam się prosi - pani nie ma pozwolenia na pracę i obywatelstwa, a więc żadnych praw. I niech mnie pani odwiedza, siedzę na piątym piętrze, w drukach zwartych, i już bardzo dawno nie widziałem kogoś z moich stron. Zauważyła pani - jak bardzo się tu "nasze strony" rozciągają? Szefowa działu miała głowę na karku. Odchodził właśnie na emeryturę tubylec katalogujący słowiańskie periodyki. Wziąć nowego tubylca - specjalistę, trzeba będzie mu płacić osiemset miesięcznie. Znacznie lepiej wziąć niby-studentkę. Każdy student może starać się o "work-study-position" - zatrudnienie na terenie uczelni, zgodnie z kierunkiem studiów. Przyszły biolog zmywa probówki, historyk pomaga w archiwum, rusycysta rozkłada na półkach książki i gazety słowiańskie. Zabiera to piętnaście godzin tygodniowo. Dostaje około stu dolarów miesięcznie - równowartość opłaty za wspólny pokój w akademiku. Polka jest specjalistką eo ipso, da sobie radę z katalogowaniem szybciej niż tubylec... na przykład w piętnaście godzin tygodniowo. I jeszcze porozkłada na półkach. Dostanie tyle co student (kto tam sprawdzi, czy studiuje), etat przy katalogu zlikwiduje się po prostu. Dział zaoszczędzi w ten sposób siedemset miesięcznie, zaś w skali rocznej... Cóż to będzie za doping dla Charlesa, głównego sławisty w czasopismach - będzie musiał się związać, żeby Polka nie okazała się lepsza. A za parę lat może się rzeczywiście Charlesa wymieni... Charles odegrał komedię do końca. Mając już przydzieloną "studentkę", wywiesił ogłoszenie na kampusie i odbywał interviews z kandydatami do "work-study-position". Tylko dwa lata rosyjskiego, wielka szkoda, zadzwonimy do pana. Zna pani chorwacki i co jeszcze? Ach, tak, no, niestety, my tu mamy rzeczy głównie rosyjskie i polskie, zadzwonimy do pani. Niech pan przetranskrybuje z cyrylicy... no, zabrało to panu aż trzy minuty, tu jest biblioteka, liczy się szybkość, zadzwonimy. Podobnie musiało być w każdym dziale: sekcją arabską zawiaduje Betty, "studentką" jest Mahnaz, prawniczka z Iranu. W dalekowschodniej Ron i "studentka" Kim, bezrobotna muzykolożka. Tylko w romańskiej siedzi rodowity Francuz i on jeden nie boi się, że jak "student" zdobędzie obywatelstwo czy choćby prawo jazdy, to trzeba będzie pójść na zieloną trawkę. Podobnie jest w wielu instytucjach. Staszek w swoim szpitalu na wschodnim wybrzeżu sprząta laboratoria, ale skomplikowane przypadki konsultuje, rzecz jasna - nieodpłatnie. Marianna rysuje projekty domów; ktoś tam przedstawia je jako własne, póki Mariannie nie nostryfikują dyplomu, a pewnie i długo potem. Erzsébet pisze profesorowi L. referaty o współczesnej literaturze węgierskiej, dostaje dwa dolary od strony, mniej niż wykwalifikowana miejscowa maszynistka. Lepiej murzynować, powiada - niż gdyby w ogóle miało być o nas głucho. Jirik karmi psy w schronisku, a w wolnych chwilach sporządza analizy rynku dla doradcy ekonomicznego Ważnej Firmy. Ciekawe, ile potencjału technologicznego i intelektualnego zawdzięcza ten kraj nie tyle importowi głośnych sprawdzonych mózgow, co bezimiennej pracy rozbitków. - Musisz się od razu dobrze ustawić - peroruje Mahnaz z sekcji arabskiej, - Jak Charles się zorientuje, że umiesz więcej od niego, polecą do szefowej. I powie na przykład, że nie znasz dość dobrze angielskiego albo dziesiątego systemu katalogowania. Albo że



rozmawiasz ze swojakami w czytelni słowiańskiej. Moja Betty to idiotka. Nawet nie próbuję jej tłumaczyć, że Persowie nie są Arabami. Udaję głupszą niż jestem. Ale co mam zrobić? Mój mąż zbija skrzynki na owoce, w poprzednim życiu był poetą. Sypia tu z jedną starą babą, daje mu prezenty pieniężne. Przecież nie wrócę do Iranu. Nie zniosłabym tego, że straż rewolucyjna sprawdzała, czy aby człowiek, z którym idę ulicą, jest moim ojcem, mężem, bratem. Te sto dolarów starcza mi na komorne, mieszkam z dwiema dziewczynami. A na resztę wyciągam sprzątaniami. U Charlesa też. Niestety, Charlesowi podpadłam już po dwóch tygodniach. Żona Charlesa rodzi przedwcześnie bliźnięta, na biurku rosną stopy "nie odprawionych" woluminów. Wróci niedospany, skołowany - co mi szkodzi, machnę to za niego! Po powrocie z trzydniowego urlopu Charles robi awanturę: to nie twój biznes, jak śmiałaś! Mahnaz wyjaśnia: - Przecież to tak, jakbyś na głos powiedziała: ludzie, a ja bez żadnych kursów doszkalających potrafię zrobić to wszystko co specjalista! Zrozum, dziewczyno - tu nikt ci nie wierzy, że naprawdę wracasz do siebie za dziesięć miesięcy, że nie czyhasz wcale na stołek tego bubka. Oni nie pojmują zupełnie powodów, dla których ludzie nie chcą żyć tam, gdzie się urodzili. Ale tak samo nie pojmują, jak można z własnej, nieprzymuszonej woli chcieć opuścić Ziemię Obiecana. Jakże to - wracać do jakiegoś małego kraju, gdzie jest bieda, gdzie nie ma tylu wspaniałych rzeczy, gdzie wojna wisi nad karkiem, gdzie nigdy nie zreformowali religii, gdzie musi się mieszkać i jeździć do pracy w tłoku? Tubylczy personel nie pojmuje też, jak można wdawać się w rozmowy z nawiedzonymi. Rozbitek Numer Dwa często nie może się doczekać, aż na półkach pojawi się najświeższe "Vil'ne Słowo", "Svoboda" i "Suczasnit". Zagląda przez drzwi, dopytuje, pomaga nieść. - On jest kompletnie crazy - surowo nadmienia personalna - i możemy ci, Tyreza, pomóc, bo przecież nie ma powodu, żeby cię tu ciągle nachodził. - Wyobraź sobie - dodaje Charles - w starym katalogu ten facet pozaznaczał przy autorach, który hrabia, który książę, który duchowny, a teraz - ha, ha - pisze jakieś dzieło. Pewnie z biochemii albo z heraldyki. W ogóle to całe towarzystwo, co przesiaduje w czytelni czasopism, to istny dom wariatów. Czekają od rana na swoją porcję gazet, jakby od tego zależały losy świata. Całe szczęście, że są już na emeryturze. Czy ty sobie wyobrazasz, co myśmy tu z nimi mieli, dopóki pracowali? Ciągłe się kłócili o jakichś generałów, o jakieś przedpotopowe sprawy. Pouczali czytelników. Nie umieli rozwiązać żadnego konfliktu z podwładnymi. I zamiast robić swoje, wpychali nos w książki. W czasie godzin służbowych! - Czekamy na gazety od rana - mówił Rozbitek Numer Cztery - bo niby co mamy ze sobą począć. Andrij pisze biografię wołyńską, ja artykuł o Sołowiowie na sympozjum w Paryżu. Nie pojedę tam zresztą, bo nie mam za co. Na sympozja to stać profesorów. Ktoś tam za mnie tego Sołowiowa przeczyta. Takich jednak zajęć na cały dzień nie wystarczy. Tu nie ma nic dla ducha poza biblioteką. A rezerwy są tylko dla Indian. I tak nie można narzekać, o, tam pod oknem, widzi pani, to nasz Żydek z Leningradu. Syn go ściągnął dwa lata temu. Ten dopiero miejsca nie może sobie znaleźć, wszystko mu dziwne, nawet synagoga. W domu nie może się z nikim dogadać - powiada. Synowa woła: "Zakrojtie windowuszki, a to czildreniata zasykujut", po jakimś to, pyta mnie. Rozumie pani, zamknijcie okna, bo dzieci zachorują, wasi też pewnie mówią takim koszmarnym żargonem, pół po swojemu, pół po angielsku. Płacze, no ale wrócić nie może. A tamten obok to Hungar - widzi pani, i mnie to nie omija - z żoną Słowaczką, córki im uciekły do Kaliforni, do takiej sekty, scjentologia się nazywa. Oni piszą traktat o odrestaurowaniu monarchii habsburskiej. Coś jednak w tym jest. Czy nie uważa pani, że w naszych stronach było to jednak historycznie najlepsze rozwiązanie? I tak życie biegnie. Kościół? Raz w miesiącu przyjeżdża pop ze stolicy stanu, to mamy nabożeństwa u Karola Boromeusza. Swoją drogą, jakie to dziwne - jak byłem mały, chodziłem tłuc szyby katolikom. Przejechałem tyle kilometrów i teraz się u nich modłę. Jak pani myśli, czy te różnice doktrynalne są nieważne? Czy może tylko tutaj wszystko wydaje się nieważne? Z rozbitekami można o wszystkim. O Habsburgach i Romanowych, o narkotykach i alkoholu, o ostatnim przemówieniu Regana i wpływach jezuitów na szkolnictwo. Żadnej "small talk", nawet jeśli kontakt trwa parę minut. Niegasnąca ciekawość świata i uparte poszukiwanie w nim sensu, stąd tak irytująca tubylców skłonność do uogólnień: - Słyszałam, że studiowała pani w Vassar College? - Taaa, studiowałam. Jednakże zimno dziś, prawda? - I jakie pani odniosła wrażenia? - W porządku. - Ale to przecież dość niezwykła uczelnia? - Taaa, tak

mówią. Czy próbował pan nowej restauracji koreańskiej? - Czy naprawdę ekskluzywna? Czym się różniła - od naszej na przykład? - Nie wiem, przecież tu nie studiowałam. - Wie pani, stopień rozziwu między szkołą przeciętną a elitarną jest miarą demokracji, dlatego mnie to interesuje. - To pan jest socjologiem, politologiem? - Nie, biochemikiem. Ale... - Acha, rozumiem, takie hobby. Prześlę panu kiedyś biuletyn Vassar. Czy nie uważa pan, że w tym drinku jest za dużo cytryny? - Zawsze się zastanawiam, dlaczego wy, Amerykanie, nie umiecie niczego opowiedzieć. Czy to może wpływ telewizji, czy... - Bardzo przepraszam, ale mój mąż już wychodzi. Proszę pójść do Instytutu Rozwoju Mowy, mają tam dobrych specjalistów i ktoś zapewne panu to wyjaśni... -Syn Rozbitka Piątego irytuje się wraz z absolwentką Vassar. Ojciec zawsze tak się kogoś uczepli. Trzeba wreszcie umieć się dostosować, no ale on nie potrafi. Matka też. - Czy ty wiesz, co inni robią całymi nocami? Prowadzą dyskusje. O polityce. I kłóć się. Co za bzdury! Ich świat przeminął i nie wróci, powinni to w końcu zrozumieć. Co to ma za znaczenie, z kim należało trzymać i przeciw komu? I mnie, i mojemu rodzeństwu wszystko jedno, czy to Witold był bohaterem, a Władysław zdrajcą, czy odwrotnie, i czy to wy, Polacy, nas wynarodowiliście, czy my sami żeśmy się wynarodowili. Albo ta heca z kapeluszem kardynalskim - jest się czym ekscytować? Czysty gest, no a liczą się przecież fakty. No jasne, oni też tak mówią - że starych drzew się nie przesadza. To wymyślił jakiś niewolnik dla innych niewolników. Powinni się cieszyć, że znaleźli się w miejscu, gdzie możesz wszystko, gdzie nic i nikt nie może ci powiedzieć: dotąd tak, a dalej nie. Że co? Dostosowanie jako forma niewolnictwa? Nie rozumiem. To jakieś abstrakcje, jak, wiesz, lekarz jestem i znam się tylko na sprawach konkretnych. Nie, moich dzieci litewskiego nie uczyłem, nie chcę, żeby miały garba, wystarczy, że ja miałem... Na warszawski bruk spadają dwa listy bożonarodzeniowe. Od syna Rozbitków barwna pocztówka z ostrokrzewem i powielony arkusik: Drogi przyjacielu rodziny Bradunasów. Składamy ci serdeczne życzenia Wesołych Świąt i donosimy, co zdarzyło się w ciągu minionego roku. Jurys zakończył staż specjalizacyjny i rozpoczął pracę w nowo otwartej klinice geriatrycznej. Na wiosnę wygłaszał swój referat na kongresie w Szwajcarii, co pozwoliło mu na krótki odpoczynek i jazdę na nartach. Ponieważ George poszedł już do szkoły, Maryte próbuje swych sił (z wielkim powodzeniem) jako dziennikarka, nie zrzucając jednak starych zajęć: dwa razy w tygodniu prowadzi drużynę skautek. Linda bardzo wyrosła. Wybrano ją w szkole Dziewczyną Roku. Za pieniądze zebrane w ciągu lata wyjeżdża wkrótce na obóz do Madaine. Na zakończenie informujemy, że od lipca przeprowadziliśmy się do nowej siedziby. W następnym liście przekażemy fotografię. Nasz obecny adres... Od ojca - Rozbitka wcale nie obszerniej. Ale inaczej: Droga Pani. Ludzki komputer czasem migawką przesunie znajome postaci minionego czasu. Czasem wyłapię taką migawkę, na której widzę Panią. W moim osobistym życiu nic nie zaszło. Czytam teraz reportaże z procesu w Toruniu. Pamiętam to miasto z 39 roku. Na fortach stał starszy sierżant i głośno wołał: poszliśmy na całym froncie naprzód! Kiedy spytałem, dlaczego tak dużo niemieckich samolotów w powietrzu, powiedział: zbombardowaliśmy wszystkie niemieckie lotniska i nie mają gdzie usiąść. Ciężko mi pisać po polsku. Pewnie dostałby dwojaka z ortografii. Z okazji Bożego Narodzenia życzę waszej rodzinie wszelkich błogosławieństw. A Jagiełło Władysław jednak zdrajcą był. Niech Pani to jeszcze raz przemyśli, obiektywnie i nie czyta opracowania Wielhorskiego. Po owocach ich poznacie je, napisano w Biblii. Inaczej myślimy ahistorycznie. Odrabianie lekcji Stanowa uczelnia w naszym mieście przyciąga sporo przybyszów z Trzeciego Świata, znęconych nie wygórowanymi opłatami i nie najgorszą marką. Przed upadkiem szacha widziało się głównie Persów; od paru lat przeważa Arabia Saudyjska. Egzotyczne postacie lądują w zarządzanych przez uniwersytet wieżowcach "dla rodzin". Otwiera się dla nich "Centrum Islamu" i dba o pełną integrację. Podśłuchane w recepcji: - ...tak, tak, doskonale państwa rozumiem. Zapachy z ich kuchni są rzeczywiście dość osobliwe. I te tabuny dzieci na korytarzach, i nocny tryb życia. Proszę jednak pamiętać, że dla nich dzień zaczyna się po zachodzie słońca... Nie nie mogę dać państwu mieszkania na innym piętrze, przepisy nie pozwalają, byłaby to dyskryminacja rasowa, miałabym przykrości... Przybyszom wręcza się olbrzymią broszurę z planem kampusu, spisem ważniejszych organizacji i krótkim wykładem "o odmienności kultur". Jeżeli kobieta w windzie patrzy ci prosto w oczy, nie znaczy to wcale, że ma ochotę na nawiązanie bliższych stosunków.

Pieczeniu mięsa służą grille, ustawione na trawniku przed budynkiem; kuchenki elektryczne w mieszkaniach przeznaczone są do gotowania w naczyniach. Jeśli twoja żona ma kilkanaście lat, nie zapisuj jej do szkoły razem z dziećmi starszej żony - lecz na specjalne zajęcia dla dorosłych, organizowane przez Stowarzyszenie Cór Rewolucji. Obnażone ręce i nogi nie mają wymowy erotycznej: jest to przyjęty w tym kraju sposób dostosowywania się do wysokiej temperatury w lecie. W USA nie ma panującego wyznania; wszystkie religie na mocy konstytucji cieszą się równouprawnieniem. Ponieważ stwierdzono naukowo, że robactwo roznosi niektóre choroby, mieszkanie twoje odwiedzi raz na trzy miesiące fumigator, który bezpłatnie wytruje karaluchy. Czyszczenie zębów patyczkiem uchodzi tu za nieestetyczne - byłoby dobrze, gdybyś robił to przed wyjściem na wykłady. Z myślą o przybyszach miejscowa "ćwiczeniówka" angażuje stałego nauczyciela angielskiego "jako drugiego języka". Ale choć w hallu szkoły wisi wielka mapa świata, na której chorągiewki reprezentują uczniów zrodzonych gdzie indziej, personel - rzadko wyścibiający nos poza granice stanu - coraz to potyka się o "odmienność kultur" w praktyce. Chłopak odmawia siedzenia w jednej ławce z dziewczynkami. Matka piątklasistki nie chce zezwolić na badanie lekarskie i upiera się, by mała nosiła zawój na głowie nawet wówczas, gdy ma odśpiewać solową partię w szkolnym przedstawieniu "Olivera Twista". Trzeba rozwiązać klasę przygotowawczą: liczebna dominacja Bliskiego Wschodu doprowadza do tego, że tubylcze maluchy zaczynają na przerwach szwargotać po arabsku. A Mahmud z Hassanem pobili znów Mojżesza Rosenkrantza... - Gdyby nie było przynajmniej tej przymieszki jeszcze z innych stron - zwierza się koleżance pani od geografii - człowiek wiedziałby jasno, czego się trzymać. Część uczniów myje od początku ręce, poprawnie korzysta z ubikacji, używa normalnego alfabetu, tylko czyta go jakoś inaczej, a nawet wie, kto to jest prezydent. Ale właśnie te dzieci robią rzeczy, o których nie wiadomo, co myśleć. Rene'e wstaje wciąż na baczność, gdy wchodzi do klasy, czy oni tam nie mają demokracji? Dwie dziewczynki zapisują datę jakimiś dziwnymi znakami: dyrektor sprawdzał w encyklopedii, to stara, średniowieczna numeracja, może one chodziły do szkoły zakonnej? - To posłuchaj tylko - przerywa koleżanka - co miałam w czwartej. Jakiś mały, imienia nie sposób wymówić, nie chciał pokroić świnki morskiej. Tłumaczę, jakie to ważne, żeby zobaczyć, na czym polega krążenie krwi, a on mi na to, że widział w atlasie, który ma w domu. Nie i nie. Wołam matkę, ta też nie. Pytam, czy to z powodów religijnych. Nie, są agnostykami. Ale dlaczego nie użyjemy modelu albo przeźroczy. Więc wyjaśniam, jak bardzo istotna jest pogłębienie w nauczaniu. A ona macha mi ręką przed nosem. I jak tu uczyć, gdy ludzie mają takie przesady? A przecież ta matka wiedziała na przykład, co to są testy i iloraz inteligencji. Nic z tego nie kapuję. Kłopoty personelu narastają wraz z opanowywaniem języka przez "cywilizowanych" uczniów. Zaczynają opowiadać o krajach bez czeków, miastach, gdzie do sklepu chodzi się piechotą, z własną torbą albo koszykiem, o programach telewizyjnych, których nie przerywają co chwila reklamy, o wynalazkach, których nie dokonali Amerykanie. O domach, w których mieszka się razem z babcią i dziadkiem, i językach bez rodzajników. Personel zaczyna zbiorowo czytać "Kłamstwa i fantazje dziecięce" doktora Spocka. To reakcja obronna, mówią, gdy Andreas urządza scenę w stanowym muzeum historycznym: ależ lipa! Pęta dla koni, żelazka na węgiel, kolekcja siekier. Zaprowadźcie mnie do prawdziwego muzeum, takiego jak było u nas, w Starym Kraju! Gdzie są korony królewskie, wykopaliska? Dlaczego nie macie nic po Indianach? Acha, bo to wyście ich wyróżnili. Albo gdy Dagmara rezygnuje z kursu "Rozwijanie słownictwa": u nas tak samo się pisało, tylko inaczej wymawiało, mnie to niepotrzebne. I zresztą te wyrazy wymyślono dawno temu, w Europie, jak was jeszcze nie było, tatuś mi mówił. A matematykę tośmy mieli w Starym Kraju na wyższym poziomie... Jeżeli jednak Stary Kraj leżał w Innej Europie, szkoła na Midweście zdaje się wytchnieniem dla ucznia i dla rodzica. Nie trzeba wreszcie szukać kapci, juniorek, dresów, fartuchów, podkoszulków w rozmiarach, o których z góry wiadomo, że ich akurat nie ma. Strój całkowicie dowolny, byle luźny, bo służy zarazem do ćwiczeń gimnastycznych. Kult podłóg nie znany. Nie znany też bydlęcy tłok, pięciokilogramowy tornister i przymus spędzania siedmiu godzin w bezruchu. W ogromnych klasach każdy ma swoją półkę, na której trzyma wszelkie przybory i pomoce - zeszyty zresztą praktycznie nie istnieją; pisze się ołówkiem w podręczniku lub rozwiązuje testy na powielonych arkusikach. Uczeń może siedzieć, ale może też stać,

chodzić, a nawet położyć się na materacu, gdy czuje się zmęczony. Nie trzeba też głowić się, jak tu wyjść do pracy, gdy jedno na dziewiątą trzydzieści, a drugie na jedenastą czterdzieści pięć, ani drzeć, jak one tam dadzą sobie radę z kluczem, skrzyżowaniem i gazem na kuchence. Lekcje trwają codziennie od ósmej do piętnastej, z przerwą na gorący lunch (5 dolarów miesięcznie), po którym nawet największy głodomór wytrwa do obiadu w rodzinnym gronie. A na skrzyżowaniu czuwa dwa razy dziennie para dziarskich emerytów (opłacanych przez władze municypalne), w pomarańczowych kamizelkach - olbrzymim lizakiem wstrzymują ruch na szosie; dzieci z dalszych osiedli dowożone są szkolnym autobusem. Nie trzeba wreszcie - co najważniejsze - pomagać pani w "trudnościach wychowawczych" ani w "realizacji programu": biegać za drutem miedzianym na zetpete, kleić sześcianów z zapalek, tłumaczyć tego, czego nie zdołano wytłumaczyć w książce. Poprawiać błędów ortograficznych w poleceniu spisany na tablicy, myśleć ciężko, co by tu zrobić, żeby dziecko nasze mniej gadało na lekcjach. Tutejsza pani jest zawsze osobą kompetentną i samorządną. Prócz studiów musi mieć licencję nauczycielską: dwa lata praktyki w zawodzie pod okiem doświadczonych pedagogów oraz egzamin, całkiem nieteoretyczny. Jill to dziecko pasywne i nieśmiałe, Karen ma zdolności przywódcze. Czy posadzisz je w jednej ławce? Uzasadnij odpowiedź. Kevin jąka się, gdy odpowiada ustnie. Zakreśl najlepsze rozwiązanie: a) Kevin będzie odpowiadał pisemnie, b) kontaktuję się z psychologiem, c) staram się, by Kevin objął jakąś funkcję w klasie. Połowa uczniów dostała niedostateczne. Co robisz: a) stawiam niedostateczny samej sobie, b) daję więcej zadań tego samego typu, c) zastanawiam się, jak im to jeszcze wytłumaczyć. Pani czuje się więc właściwą osobą na właściwym miejscu. I choć zapewne nieraz zadaje sobie pytanie, czy jest to sprawiedliwe, że zarabia połowę tego co sekretarka w pierwszej lepszej firmie handlowej, nie zazdrości sekretarce ani nie opowiada na lewo i prawo, jak ciężko tyra za tak marne pieniądze. Do rodziców zwraca się wyłącznie z informacjami; lamentsy nad niesfornością wychowanków czy brakiem postępów w nauce świadczyłyby o tym, że nie da rady - że być może powinna poszukać posady gdzie indziej. Toteż ilekroć zaglądam dzieciom przez ramię do odrabiania lekcji, czynię to z czystej ciekawości. Czytanka na klasę trzecią nazywa się "Rozwijanie pojęć". Krótkie testy, po każdym z nich kilka pytań kontrolnych. Na dziś zadano "Głosowanie": wiecie, dzieci, że dorośli głosują. Głosują na ludzi, którzy rządzą naszym krajem. Ale czy wiecie, że wy też możecie głosować? I że wasz głos jest bardzo ważny? Idziesz z mamą do sklepu. Mama kładzie na wózek paczkę płatków śniadaniowych. Nie, nie te - wołasz. Głosujesz na inne płatki. Jeżeli wiele dzieci robi tak samo, ten rodzaj płatków idzie źle. Producent przestaje je robić. To właśnie sprawił twój głos. Kupujesz zabawkę. Ale w domu przestaje ci się podobać. Mówisz o tym kolegom. I oni już tej zabawki nie kupią. Producent musi robić inną zabawkę, taką, jaka ci się spodoba. Jesteś ważną osobą. Możesz głosować. I pytanie kontrolne: co jest główną ideą czytanki? a) producent robi rzeczy, których dzieci nie chcą mieć, b) producent nie myśli o dzieciach, c) producent stara się robić to co lubicie. Młodsze namyśla się długo, po czym zakreśla punkt b. Są to jeszcze nietutejsze uogólnienia czy też uświadomiło sobie już potęgę reklamy? W czytankach dla klasy czwartej chodzi o zilustrowanie tezy - jak piszą autorzy we wstępie - że "zmiana jest solą życia". Ale nie żadne tam panta rhei. Każda zmiana to oczywiście zmiana na lepsze. Starsze sylabizuje: kiedy jesteś chory, idziesz do lekarza. Kiedy boli cię ząb, idziesz do dentysty. A czy wiesz, jak dawniej leczono choroby? Kiedy dziecku dokuczalo gardło, przywiązywano mu do szyi torebkę z żywymi chrząszczami. Jeśli miało kaszel, łykało tłuszcz z pieprzem. A gdy chciało pozbyć się kurzajek, musiało zakopać w ziemi wszystkie ścierki mamusi. Mleczne zęby wyrываło się nie u dentysty, tylko w lesie. Dziecko przywiązywało je sobie sznurkiem do naprężonej gałęzi. Starsza ma wątpliwości. - A ty nam zęby przywiązujesz do klamki. I sama mówiłaś, że na kurzajki najlepsze jest jaskółcze ziele. Stawiasz bańki i poisz nas mlekiem z czosnkiem. To co właściwie mam zakreślić? - Zakreśl, że ludzie chwyтали się kiedyś najdziwniejszych rzeczy dla ratowania zdrowia. I jedźmy dalej. Dawno temu, w czasach pionierów, szkoła była zupełnie inna niż dziś. Dzieci siedziały na długich ławkach, osobno chłopcy, osobno dziewczynki. Kto nie słuchał nauczyciela, nosił oślą czapkę albo był stawiany do kąta, twarzą do ściany. Nie było papieru do pisania, tylko tabliczki z rysikami. A nauczyciel często mieszkał z rodziną kóregoś z uczniów i żył z tego, co mu

podarowano. - No, no - znów ma problem Starsze. - Mnie też pani w Warszawie raz postawiła do kąta. A Thikra to chodziła do szkoły w namiocie. To co mam zakreślić? Że dzisiejsza szkoła jest lepsza czy że przyjemniej byłoby popisać rysikiem, czy że kiedyś trzeba było nosić ośłą czapkę? - A co sam myślisz? - Wolałbym rysik. - Ale tu nie pytają o to, co ty myślisz, tylko o to, co powinieneś myśleć po przeczytaniu takiej historyjki. I oni myślą, że powinieneś myśleć, że dzisiejsza szkoła jest lepsza. Dalej, jazda, bo już późno. Dawno temu żyli sobie Rzymianie, którzy mówili po łacinie. Ale Rzymianie nie siedzieli w miejscu. Jeździli po różnych krajach. I tak łacina zaczęła się zmieniać, w każdym kraju na inny sposób. Jedne słowa zaczęto niedokładnie wymawiać. Inne zaczęły mieć inny sens. Jeszcze inne wypadły z użycia. I tak z łaciny powstały na świecie różne języki. Główna idea czytanki polega na tym, że a) Rzymianie mówili po łacinie, b) każdy umie mówić po łacinie, c) łacina dała początek różnym językom. - Zakreśl synku c, inaczej dostaniesz minus. Ale to nie jest prawda. Są języki, które z łaciną nie mają nic wspólnego. - To co, mamuś, oni tak piszą, bo muszą? Geografię i historię załatwiamy błyskawicznie przy pomocy życzliwego tubylca pod telefonem. Który z prezydentów nie ukończył nigdy college'u? Którego nazywano "Wuj Jumbo"? Który pracował dwa lata w lodziarni? Który dostał się na studia jako stypendysta drużyny baseballowej? Którą szosą jedzie się z naszego miasta do stolicy stanu? Który z parków narodowych otacza ze wszystkich stron woda? W którym roku zbudowano najdłuższy most w naszym hrabstwie? Przy matematyce przysypiamy. Żadne tam zbiory i równania. Gigantyczne słupki (w klasie rozwiązywane na czas, wygrywa ten, kto podliczy pierwszy) oraz zadania, w których straszą nie baseny napełniane wodą ani pociągi wyjeżdżające z dwóch miejscowości, lecz pieniądze, pieniądze, pieniądze i jeszcze raz pieniądze. Sue kupiła dziesięć ciasteczek po "niklu" (5 centów) za sztukę i cztery pączki po "ćwiartce" (25 centów). Dostała resztę z trzech dolarów. Ile jeszcze pączków mogłaby kupić? Ryan pożyczył Bobowi 10 dolarów na 3 procent miesięcznie. Ile Bobo będzie musiał oddać po 4 miesiącach? Liza rozmieniła w kasie... I tak dalej. Nie ma ogromnego globu, choćby gdzieś w tle, jest tylko pięćdziesiąt stanów. Nie ma dziejów, w których coś może się powtarzać i coś kończyć źle, jest wspaniała teraźniejszość i jeszcze wspanialsza przyszłość. Są różne zabawne zwyczaje i folklory, ale nie tkwi w nich nic, czym warto byłoby zaprzętać sobie głowę - ot, dziwactwa nieoświeconych. Są różne rozstrzygalne w skończonej liczbie kroków problemy - i na tym kończą się wszelkie pytania wobec rzeczywistości. Po dwóch latach odrabiania lekcji z dziećmi przestają się dziwić: dziennik studenckiemu, w którym zapowiadają podróż stypendystów do Europy oraz Kuwejtu, Indii i Szwecji wraz z Finlandią. Szeroko otwartym oczom Roseanny, która nie może uwierzyć, że spowijanie niemowląt nie jest ostatnim odkryciem pediatrów z Kalifornii, lecz praktyką stosowaną tu i ówdzie od niepamiętnych czasów. Niechęci nawet najtęższych głów w amerykańskiej humanistyce do szerokich syntez. Temu, że filozofia pragmatyzmu - prawdziwe to co użyteczne - powstała właśnie na tej ziemi. Relacjom Antoniego o doktorantach z wydziału matematyki, którzy nie mogą przebrnąć przez kurs, jaki zwykł był przerabiać we Wrocławiu z pierwszym rokiem. Nieuchronności, z jaką konwersację na przyjęciach zmierzają ku restauracjom i zarobkom. I wielu innym zjawiskom dookolnym. Skorupka nasiąka przecież w szkołach elementarnych. Z nich wynosi się podstawową wizję świata, prymarne odruchy wobec jego przypadłości. Mimo kompetentnych pań nauczycielek, bezsterowej organizacji i mocno wpisanej w tutejszą oświatę zasady "nauka ma być przyjemnością", na linii dom-szkoła coraz to dochodzi do zgrzytów. Na przykład w związku z pieniędzmi. Można przywyknąć do pakowania honorariów prosto w wyciągniętą dłoń. Do skrupulatnego sprawdzania rachunków w obecności całkiem tym nie speszonej kasjerki. Do otwartych pytań o roczne dochody. Ale upór wobec jak najwcześniejszego wyrabia w dzieciach zdolności tezauryzatorskich nie jest chyba oporem tylko obyczajowym. Po trzech tygodniach przynależności Starszego i Młodszego do skautingu wychodzi na jaw, że sednem ich działalności ma być ciułanie. Chłopcy kupują kukurydzę, sami ją prażą i roznoszą po domach, o centa taniej niż w supermarkecie. Dziewczynki wypiekają mdłe ciasteczka albo sporządzają ozdoby na choinkę, także na sprzedaż. Wygrywa zastęp, który zgromadzi najwięcej środków. Na nowy sztandar. Albo na modne zawlecзки do wiązania chust. Owszem, zbierało się kiedyś samemu makulaturę, złom i butelki. Kopało ziemniaki i zrywało jabłka, mając na widoku biwak w Sudetach czy nową

parę "pionierek". Tu jednak czym innym pachnie - cel gromadzenia jest zwykłą ozdobą retoryczną. Idzie o to, by się wykazać. Wykazać najważniejszą w tym społeczeństwie umiejętność. Przejść inicjację w istotu bytu - Zarobek, a jeśli się da, zabłysnąć: znaleźć się w zastępie "Najzaradniejszych" i może nawet pewnego dnia trafić na pierwszą stronę miejskiej popołudniówki. Brawa dla Chucka von Clarena! Wpadł na znakomity sposób. Wczoraj, gdy temperatura w cieniu przekraczała trzydzieści stopni, wystawił przed sklep swojego ojca przy Ulicy Głównej kadź ze sporządzoną w domu lemoniadą. Przez cztery godziny zebrał aż sześć i pół dolara! Chuck należy do "Orłów", prowadzonych przez szeroko znanego w naszym hrabstwie druha Braiana McClisky. "Orły" mogą być dumne z Chucka! Ani Starsze, ani Młodsze nie pali się zbyt do kukurydzy z ciasteczkami. Zapewne roily sobie podchody na prawdziwych indiańskich szlakach. Albo wyobrażały sobie, że Chuck zabawi się w "Niewidzialną Rękę" i wystawi kadź anonimowo. A może to refleks z nadwiślańskiej czytanki dla klasy trzeciej, gdzie w opowiadaniu Dąbrowskiej Olek odmawia zapłaty za przyniesiony chrust: "Ja nie spekulant!" Gdyż skorupka nasiąkła w szkołach elementarnych. Idę więc dzieci "wyreklamować". I co właściwie - dumam - kryje się na dnie tej rodzicielskiej solidarności? Czy to (podobno szlachecki) etos, w którym pieniądź jest czymś nieczystym, czymś, od czego trzeba się trzymać z daleka, jeśli kontaktu nie wymusza samo życie? Czy też ów wyśmiewany przez psychologów wzorzec odsuwania potomstwa jak najdłużej od trudów i prozy życia? Wnet okazuje się, że i ja powinnam popisać się zaradnością, jeśli mam być porządną matką amerykańskiego dziecka. Ze szkoły przychodzi powiadomienie: Droga matko naszego ucznia. Sala gimnastyczna wymaga pilnego remontu, a fundusze stanowe wyczerpały się. Dyrekcja postanawia zorganizować Kolację Dożynkową, z której dochód przeznaczony zostanie na wymianę podłogi. Każda mama przyrządza potrawę. Zadeklaruj, co przyniesiesz ze sobą: sałatkę jarzynową, sałatkę owocową, spaghetti, hot-dogi, biszkopt, ciasteczka miętowe. Jeśli żadne z tych, opisz rodzaj i ilość potrawy. Mile widziane przysmaki regionalne. Mama, której wyroby cieszyć się będą największym powodzeniem, zdobędzie tytuł Mamy Roku! Czy nie prościej byłoby zebrać - powiedzmy - po dolarze od łebka i nie zawracać ludziom głowy kolacją na tysiąc osób? - Nic nie rozumiesz - złości się bardziej zadowolony Przybysz. Po pierwsze, rzecz w tym, żeby to było przedsięwzięcie społeczne, aby każda baba czuła się pożyteczna, że niby ona sama przyczynia się pokrojonym melonem z pomarańczą do trwania szkoły, do ogólnego dobrobytu. Po drugie, tu żebrania jest czymś równie bezwstydnym, jak gdzie indziej popisywanie się forszą. Popatrz sobie na sklepy Armii Zbawienia: nic za darmo, nawet najmarniejsza szmata a dziurami na wylot ma metkę z ceną, choćby to nawet miały być dwa centy. Dyrektor szkoły, który żebrze o pieniądze u rodziców, nie nadaje się na dyrektora. Nie idę na kolację i nie gotuję spaghetti. Nie biorę również udziału w wielkiej, wiosennej wyprzedaży "niepotrzebnych kreacji" na zakup książek do szkolnej biblioteki ani w wakacyjnym "festynie pomysłów", bez którego nie doszłoby do skutku kolejna wymiana podłóg. Nie odpowiadam na wysyłane wciąż ankiety, zachęcające do różnych form tak lubianej przez panie domu działalności namiastkowej: Może grasz na pianinie? Nauczycielka muzyki poszukuje asystentki-wolnotariuszki. Niektóre dzieci mają kłopoty z adaptacją. Czy jesteś osobą łatwo nawiązującą kontakt, ciepłą, energiczną? Zgłoś się do nas, znajdziesz wielu małych przyjaciół. Istotą życia jest aktywność. Jeżeli masz uzdolnienia manualne, nie pozwól im uschnąć. Przydasz się do rozruszania naszych uczniów w czasie przerwy. Co gorsza, stanowczo odmawiam zbierania nalepek z puszkowanych zup firmy Campbell. Firma ma kłopoty ze zbytem. Dofinansuje szkołę w zamian za trzy tysiące nalepek do kwietnia. - Ja też nie lubię tych zup, mam, ale wszyscy je teraz kupują. Pani pochwaliła wczoraj Boba, przyniósł dwanaście. - To niekonstytucyjne - pienie się w pokoju nauczycielskim - zmuszać nas do kupowania czegoś, na co wcale nie mamy ochoty! Żeby nie zostać Aspołeczną Mamą Roku, zgłaszam się na "badania terenowe" z piątoklasistami. Autobus szkolny wwozi nas na rozległą posiadłość jednej z nauczycielek (najbliższy las nieprywatny mieści się aż przy samej granicy hrabstwa). Dzieciaki dzierżą plastikowe pudełka i olbrzymie torby z jedzeniem. Jedna grupa będzie szukać płazów, inna gadów, jeszcze inna minerałów. Ja z siódmką na owady. Skóra lekko cierpie mi na plecach. Każdemu cierpie, kto miał bezpośrednio doczynienia z owocami amerykańskiej permissywnej pedagogii. Bo a nuż człowiek

poniesie, jak parę dni temu w windzie, bezlitośnie katowanej przez gromadę sześciolatków. W bloku na Bielanych też katują. Ale nigdy na oczach dorosłego. Kto to napisał: jest ogromna różnica antropologiczna pomiędzy wspólnotą, której członkowie uważają, że coś jest złe, nawet jeśli zakaz często łamią, a wspólnotą, w której coś zostaje uznane za normalne. W razie czego co ja z nimi zrobię, do jakich pojęć mam się odwoływać? Przecież to są dzikusy. Tak, dzikusy. Stworzenia, które nigdy nie zetknęły się z musem. Które chłoną zewsząd przesłanie o absurdalności wszelkich zakazów (to wolny kraj) i autorytetów, o ile autorytety te roszczą sobie prawo do posłuchu na mocy czegoś tak irracjonalnego jak na przykład starszeństwo. Gromada owadoznawców jest nieludzko brudna. Globtroterka zawsze mówiła, że amerykańskim bachorom przydałoby się porządne lanie i umycie. Największy nosi na podkoszulku ślady porannej jajecznicy. Rudzielców bliźniaków wyprawiono do domu w portkach, które pralki nie widziały od miesiący, Utyłana czekoladą dziewczynka targa wysokiej klasy aparat fotograficzny. - NIE, to nie jest owad, tylko ślimak. Skąd wiem? Zobacz sobie, o tu w atlasie, skoro mi nie wierzysz, i nie kładź mu tego do ucha. A to jest stonoga, nie rozdeptuj... Jeżeli możesz zrobić ładne, kolorowe zdjęcie, to nie łap, motyl ma przecież bardzo delikatne skrzydła. Gdyby ciebie ktoś... Gdzie idziecie? Nie rozumiem. Nudno wam? Popatrzcie, za tym kamieniem leży salamandra. Nie rozchodźcie się, bo przecież musimy wrócić na ogólną zbiórkę, jeżeli mi się pogubicie... Rudzielcy odparowują: - To twój problem, jeśli się pogubimy, nie nasz. Ustawiam w rządęk, prowadzę za rękę. Na polanie sterty pudełek z jaszczurkami, żabami, ślimakami. Trzy panienki przytaszczyły stadko ślepych, wilgotnych jeszcze królicząt. Będziemy je karmić sałatą i jabłkami. Pani, specjalistka od nauk przyrodniczych, zjada lunch w towarzystwie matek. Nagle - pod sosnami coś znajomego. Maślaki, i to w maju! Pytam, czy wolno mi je zebrać. I, rzecz jasna, zaczyna się. Przecież to są trujące grzyby! A skąd wiem, przecież nie jestem biologiem. A czy zdaję sobie sprawę z tego, że substancje zawarte w grzybach grożą śmiercią. Jak sobie chcę. Tu jest adres i telefon Stanowego Centrum Trucizn Roślinnych. Rudzielec z dziewczynką od zdjęć (obcykuje zgromadzonych) szepczą kolegom: to cudzoziemka, wariatka. Nie pozwala łapać motyli. Nie pozwala swobodnie chodzić. To matka Tomka. Czarownica. Schowała do koszyka trujące grzyby. Smarują kleistym błotem pieńki, na którym siedzę. Ręka sama wyciąga się w stronę ucha. Pani interweniuje natychmiast: przeproście zaraz! Pokażcie, że amerykańskie dzieci potrafią się zachować! I dalej donośnym basem: Ray i Jack mają teraz trudny okres. Przeżywają rozwód rodziców. Podobnie jak Cindy. U nas na szczęście małżeństwo nie jest nierozzerwalne, no ale dziecko potrzebuje zawsze trochę czasu, żeby się do zmienionej sytuacji zaadoptować. - Zmiana jest solą życia - wypalam. - No, proszę. Jak to dobrze, że mamy wspólny punkt widzenia. Prosimy tu, do nas. Gdzie pani uczyła się angielskiego? Ach, tak. A jakie ma pani dalsze plany? Zakończyła już pani edukację? No ale przecież zawsze jest coś, czego można się nauczyć, i w ogóle, trzeba mieć jakiś pomysł na życie, tak nie można, mąż posuwa się do przodu, a pani, moja droga, zostaje w tyle, prawda? Tu otwierają się przed panią możliwości - kursy ceramiki, joga, medycyna transcendentna, służymy informatorem. I chętnie widzielibyśmy panią w szkole. Na przykład... Na szczęście kierowca trąbi strzemiennego. Dzieci zgarniają do autobusu wszystkie znaleźiska. Czy w szkole jest terrarium? Nie, każde znalazło dla siebie. A co z tym dalej będzie? No, jak to, wezmą do domu. Żaby skaczą po podłodze. Piegowaty grubas ma ich dwanaście pod koszulą. Rudzielcy puszczają ślimaki po szybie. Fotografka robi sobie z motyla zakładkę do książki. Tylko jakieś cichutkie stworzonko z Ameryki Południowej siedzi z pustymi rękami. Pani omawia w tyle autobusu ostatni odcinek serialu "Dynastia". Wieczorem Młodsze wpada do domu z nowiną: na śmietniku leży wąż pocięty w dzwonka. - I wiesz, Michael mówi, że wąż - jak dżdżownica - może żyć w kawałkach. Pewno Michael też wrócił z "badań terenowych". - Nie krzycz na nią - mityguję męża. - Ona przeżywa trudny okres. Nie dosyć, że matkę nazwano czarownicą, to jeszcze ta historia ze świadectwem. Wytłumacz jej spokojnie. Bo się zapłacze. Dzieci przybyszów spotykają się w szkole z życzliwością - rosną nowi obywatele, już całkiem inni niż rodzice. Ale nie z taryfą ulgową. Młodszemu wręczono cenzurę, sporządzoną przez komputer. Krajowa średnia wyników oznaczona jest grubą czerwoną kreską. Młodsze rozumie, że w większości rubryk - słownictwo, czytanie, literowanie, interpunkcja, użycie języka, struktury gramatyczne,

badania społeczne(?), kompozycja, korzystanie z encyklopedii, opisy wizualne - uplasowało się znacznie poniżej kreski. Tylko w ilorazie inteligencji niewerbalnej i działaniach matematycznych wyrosło ponad. Idioci - frustrować dzieciaka po pół roku nauki w kompletnie obcym języku! Komputer jednak tak to krzepiącą interpretuje: choć Maryshia osiągnęła wyniki znacznie poniżej przeciętnej, nie znaczy to wcale, że nie może ich poprawić, jeśli będzie się tylko lepiej starać i spotka się z pomocą rodziców. - Ciekawe - zamyśliłam się na głos - co by ten komputer wydrukował, gdyby się okazało, że dzieciak i iloraz inteligencji ma całkiem do kitu. Pewnie tę samą formułkę. - No pewnie, że tę samą - wtrąca swoje trzy grosze zasiedziały Meksykanin z naszego piętra. - Przecież jesteśmy w kraju, w którym stwarza się permanentnie iluzję nieograniczonych perspektyw. Pesymizm w prognozach to straszliwe faux pas. Ot, zwykłe myślenie magiczne. Co nie ubrane w słowa, nie istnieje. Wypadki losowe? Jak najprędzej je obłaskawiają. Uznają za zwykłą kolej rzeczy. Przyklepują. Pewnie, że ludzie robią tak wszędzie, odkąd świat istnieje. Ale nigdzie w tak groteskowy, strusi sposób. Młodsze biedzi się właśnie nad jakimś listem. Do kogo? Do pani doktor, która przyszła do szkoły i wytłumaczyła sprawę Holly. Bo Holly wyskoczyła taka gula, może tam się nie myła, a może coś zjadła. Taka sama gula jak naszej prababci, zanim umarła, no ale Holly wyleczą, bo Holly jest przecież mała. Pani doktor pokazywała nam film o szpitalu, gdzie Holly robili operację. I mówiła o leczeniu. Ona chodzi do szkoły, tylko nic nie robi na lekcjach, bo jest ciągle bardzo zmęczona. Dlaczego właściwie każą jej chodzić, przecież jest chora? Te dzieci w szpitalu były bardzo wesołe i miały dużo zabawek, ale Holly nie ma siły. Na gimnastyce ciągle siada, dlaczego każą jej ćwiczyć? Pani doktor mówiła też coś o komórkach i że Holly będą teraz wypadać włosy, bo trzeba ją co parę dni czymś podgrzewać. No i teraz mamy wszyscy napisać listy do tej pani doktor, żeby jej podziękować za informacje. Meksykanin uśmiecha się pod nosem. - Widzicie sami. To są, proszę was, rzeczy, o jakich nie napiszą wam w broszurkach specjaliści od "odmienności kultur". Tu choroby nie są tematem do konwersacji, najwyżej do naukowego wykładu, podczas gdy seks z mężem - tak. Tu człowiek nie może czuć się źle. Musi być zawsze fine. Nawet jeśli samochód rozjedzie mu syna, rozpacza tylko chwilę. Bo rozpacz to kapitulacja, to zgoda na tę stronę ludzkiej kondycji, której oni tu cały czas starają się zaprzeczyć. Nie istnieją tragedie, są tylko problemy. A jeśli problem nie daje się rozwiązać, to go po prostu nie ma. Ma rację. Ta z naprzeciwka nie dalej jak tydzień temu żaliła się: - Nie rozumiem, o co chodzi mojemu wujowi. Dostał przecież jasną diagnozę i zapewnienie fachowców, że pożyje jeszcze co najmniej rok. Ma dobrą opiekę. Ma gwarancję, że gdy będzie trzeba, zastosują najskuteczniejsze środki. Załatwił wszystkie swoje sprawy. Odwiedzam go codziennie i płacę psychoterapeucie. Więc gdzie tu problem? No ale wuj przyjechał prosto z Korei, a ona urodziła się już w Connecticut. Nauki nie idą w las. Gdy Starsze zapada na ciężką anginę, dzwonię do szkoły: "Lekkie przeziębienie. Do jutra będzie na nogach". Niełatwo jednak nadażyć za sytuacjami. Wszystkie dzieci nie chcą różnić się od otoczenia w momencie, gdy nie rodzice, lecz grupa rówieśnicza staje się dla nich najwyższą wyrocznią. - Dlaczego mam ciągle chodzić w spodniach? To tylko w Warszawie myślą, że tu się w kółko nosi dzinsy. Chcę mieć lakierki i bluzkę z falbanami. Różową, przezroczystą, tak jak inne dziewczęta. - Jedziemy znów na badanie terenowe. Jak chcesz jechać, to jedź, tylko nie wygłupiaj się i nie zacznij znów zbierać jakichś jagód albo ziół, albo grzybów. No i tego... może byś tak zakreśliła włosy? - My wolimy, żeby tata chodził na wywiadówki. On mówi bez akcentu i nie zadaje dziwnych pytań. - Nie chcę czytać tego twojego Prusa. To strasznie nudne, to wszystko było w jakichś dawnych czasach. Ani Mickiewicza. Pani Stucky wszystko nam wytłumaczyła. Skąd się brała wiara w duchy. I kup mi "Człowieka-Pajaka". Tylko ja jeszcze nie ma. - Ależ tak, i Samantha ma trwałą, i Sue. Dlaczego mam ciągle nosić te wstrętne, proste włosy? I dlaczego nie chcesz mi kupić zestawu kosmetyków? Będę grała Królową Karmelkową na przedstawieniu. Pani powiedziała, że wszystkie musimy się umalować, bo będzie telewizja. - Ja myślę, że chłopcy mnie nie chcą nigdy odwiedzać w domu, bo my mieszkamy pod złym adresem. Każdy wie, że w "Półksiężycu", razem z Arabami. Mama Dossa powiedziała, że boi się go tu puścić. - Mamy zbierać kupony, bo instalacja elektryczna wymaga renowacji. Kupony do sklepu technicznego są w niedzielnym wydaniu gazet. Pani powiedziała przy wszystkich, żebyśmy ci powtórzyły, że



takie jest zalecenie dyrektora. Wyjeżdżając stąd mam wrażenie, że wolę jednak szukać junierek i rozwiązywać zadania ze zreformowanej matematyki. Podobno zawsze woli się kłopoty, do jakich się przywykło. Dlaczego do tutejszych przywyknąć się nie da? Syndrom przesadzonego starego drzewa? Nie, wewnętrzna niezgoda na "główne idee", na przesłanki, z których wynikają krajane świnki morskie, ondulacje dziewczynek, cenzury sporządzane przez komputer oraz adresy dobre i złe. NW co będziemy Nbawić się po szkole? Skoro skauting odpada, czym wypełniać dzieciakom wolny czas? A jest go pod dostatkiem: prócz trzech miesięcy letnich wakacji są jeszcze ferie bożonarodzeniowe i "wiosenne" (Wielkanoc stała się tu świętem ściśle liturgicznym - nie towarzyszą jej żadne ogromne sprzątania, rytualne potrawy i symbole, a w Lany Poniedziałek idzie się do pracy). Ponadto w każdym miesiącu średnio pięć-sześć dni wolnych (nie licząc weekendów) z różnego tytułu. A to ślizgawica, a to ulewny deszcz lub zapowiedź silnej wichury - trzeba odwołać lekcje (przez radio), bo to odpowiedzialność za ewentualne nieszczęście i odszkodowania spadnie na szkołę. A to Dzień Weterana lub przygotowanie do zjazdu absolwentów; rada pedagogiczna lub dezynsekcja. Toteż choć nie istnieje tu nauka na "trzy zmiany", i szkoła funkcjonuje w tym samym rytmie co zakłady pracy, dzieciętej Amerykance niełatwo wyrwać się z domu. Baby-sitting kosztuje swojego dolara za godzinę, dziadkowie zaś mieszkają na drugim końcu kontynentu bądź więź międzypokoleniowa jest tak słaba, że o prośbę o opiekę nad wnukiem wywołałoby tylko konsternację. Jakże ja mam wrócić do szpitala - lamentuje Christine - co u licha zrobię z tymi przekłętymi wakacjami? A Julie dodaje: w Spencer kobiety pracujące zażądały od dyrektora szkoły zrekompensowania ich zarobków, utraconych wskutek dodatkowego dnia wolnego w październiku. Czym wypełniać czas wolny? Na pozór nie ma sprawy. Dziecko to znakomity biznes. Połowa reklam w TV wciąga mniejsze i większe w zaczarowany, kolorowy świat przedmiotów stworzonych wyłącznie dla ich rozrywki. Od lalek, które potrafią dosłownie wszystko, po miniatury wszelkich możliwych pojazdów, znakomity sprzęt sportowy i przybory umożliwiające własnoręczne odegranie "Gwiezdných wojen" w odcinkach. Lecz, jak wiadomo (producentom zwłaszcza), im doskonalsza, bardziej wypracowana zabawka, tym silniejsza chęć na coś nowego. - Nudzę się okropnie... - No to uczesz swoją Barbie w kok albo kucyki. - Już dawno uczesałam. Zresztą od tego wypadają jej włosy. - To weź igłę z nitką i uszyj jej z tego kawałka sukienkę. - Ale ja bym chciała mieć dla niej prawdziwą sukienkę balową, ze złotymi gwiazdkami, pelerynką z tiulu i pantoflami na obcasach, taką, jak właśnie pokazują. - No to pomóż mi przy obiedzie. - Po co mam ci pomagać? Robisz obiad w piętnaście minut, same puszki. Kup Barbie sukienkę balową proszę! Za kilka dni: - Barbi ma dość ubranek, ale nie ma męża. - Jakiego znów męża? - No, Kena, takiego, jak pokazują codziennie po kreskówkach. I nie ma domku z trawnikiem, w którym mogliby razem zamieszkać... - To zrób jej domek z pudełka po butach, a trawnik z ... - Po co mam sama robić, jak wszystko jest gotowe? Tylko dwa dolary... Po dwóch tygodniach: - O, patrz, patrz! To są właśnie te laleczki, które widziałam w katalogu! I Wisienka, i Truskaweczka, i Morelka, i Ciasteczko Miodowe, wszystkie pachnące! Proszę! - A co z Barbie, Kenem i ich dziećmi? - Są przecież stare i nudne! - Urządź im szkołę i ucz je matematyki. - Jak mam się bawić w szkołę bez tablicy, zeszytów, książek? Kup mi to, widziałam w "Pałacu Dziecięcym", jest nawet dzwonek i mała sala gimnastyczna, i... Starsze zalicza w tym czasie kolejne postacie i rekwizyty z "Supermana". Ciekawe - nigdy nie było tu mody na "Lego" ani na kostkę Rubika. Żeby nie dać się zwariować, przystopowujemy pewnego dnia sterowane przez szklane pudło szaleństwo i nabywamy skakanek oraz piłkę do baseballa. Lecz niestety. Skakanka i piłka wymagają nie istniejącej na Midweście instytucji: podwórka. Są, owszem, dość licznie rozsiane skwerki z huśtawkami, przy których kierowców obowiązuje zmniejszona szybkość (egzekwuje ją policja lub sprytnie wyłobione na jezdni "schodki" - dlaczego nikt nie robi tego na warszawskich osiedlach?) Ale skwerki te świecą pustkami. A przecież podwórko to nie tyle przestrzeń - bawić się można i na klatce schodowej - co towarzystwo rówieśników, wspólne pomysły, choćby nawet prowadziły do wojny dwóch band ze sobą lub z dozorcą. Tu nic z tych rzeczy. Każde dziecko bawi się pojedynczo, a rzadkie kontakty dotyczą na ogół konfliktów na tle "praw terytorialnych" i nigdy nie przeradzają się w pójście na lody czy w wymianę doświadczeń. No a ile godzin można samotnie podrzucać piłkę lub skakać,

gdy w pobliżu nie ma nikogo, kogo by to obchodziło? - A czy dorośli - pyta znajoma Węgierka (póki co, rozładowuje paki w supermarkecie) - mają tu coś, co można by naprawdę nazwać życiem towarzyskim? Czemu się dziwisz, że dzieci nie mają podwórka? Składa się na to wiele rzeczy. Najpierw to ciągle ich wędrowanie z miejsca na miejsce. W poszukiwaniu lepszych zarobków, bardziej atrakcyjnej pracy. Nigdzie nie zagrzewasz miejsca, z nikim się nie zżywasz, bo i po co? Jedna trzecia tych maluchów wyruszy późną wiosną na zachód, na południe czy zgoła na drugi koniec świata. Dziś tu, jutro tam, jedyny constans w tym kalejdoskopie to rodzice, jeśli mamie nie przyjdzie do głowy poszukać sobie nowego męża. Po drugie, na pewno czytałaś słynny podręcznik Spocka o pielęgnacji niemowląt? No to chyba rzuciło ci się w oczy, że o jednej rzeczy nie było mowy - o spacerach. Czy widziałaś tu choć raz wózek wystawiony do ogródka albo kobietę pchającą go przed sobą? Albo parę malców bawiących się na takim skwerku pod okiem matek? Dzieciaki hoduje się w domu, bo tak jest najwygodniej. Amerykanki nie chcą słyszeć o tym, że dziecko wymaga jednak pewnych poświęceń. Żywią je paskudztwami z puszek, ciągną w nosidle - żeby nawet miało dopiero dwa tygodnie - na party, do kina i w podróż. Jak zacznie się samodzielnie poruszać, wpychają je w te przemysłne zagrody, stojaki i majtki zawieszane pod sufitem na szelkach, żeby nie trzeba było pilnować. Jak zacznie mówić, sadzają przed telewizorem albo obkładają "rozwijającymi" zabawkami, żeby nie trzeba było odpowiadać na pytania, rysować zwierzątek, uczyć życia. Czasem myślę sobie, że to ich permissywne podejście powstało wyłącznie dla wygody. Wpajać dobre maniery (nie mogę patrzeć na siedmiolatki jedzące palcami!), sadzać na nocnik, ograniczyć niszczycielskie zapędy i tak dalej - tp przecież potwornie męczące! A to, że niby okalecza się inaczej osobowość, frustruje - to tylko ich racjonalizacja, posunięta przez fachowców. To samo z wyprowadzaniem na dwór. No a gdzie, proszę cię, człowiek ma się nauczyć spontanicznego obcowania z innymi, jak nie w piaskownicy! I trzecia sprawa. W tej kulturze jednostki trzymają się od siebie na dystans, jeżeli nie istnieje jasny, konkretny powód, dla którego miałyby być razem. Kiedy dostaniesz zaproszenie na party - z dwutygodniowym minimum wyprzedzeniem - wiesz od razu, o co chodzi, bo masz to napisane na zaproszeniu: o celebrację jakiegoś święta, o poznanie przyjaciela domu, który właśnie wrócił z Afryki, o spożycie baraniny po arabsku, o oblanie nowej komody czy tapicerki w salonie. Ale wpaść do kogoś ot tak, z czystej przyjaźni? Zachowanie absurdałne, bo niby właściwie w jakim celu? Pewno nieraz zagadnęła cię jakaś kobieta w sklepie albo pod szkołą. Ale zawsze kończyło się na "small talk", prawda? Fajna pogoda, jakie smaczne te hot-dogi, wspaniała ta nasza szkoła. Gdybyś zaprosiła ją na kontynuowanie pogawędki przy kawie, pomyślałaby, że m do czynienia z wariatką. Bo o co może chodzić? To samo z dziećmi. Gdyby tu nagle przyszedł ktoś i powiedział: organizujemy drużynę baseballową w naszym wieżowcu, żeby wziąć udział w turnieju, to te maluchy zaraz zebrałyby się do kupy. Ale same z siebie nigdy nie wpadną na pomysł, że przyjemnie jest po prostu coś razem robić, coś razem przeżywać. No i po czwarte, zauważ jednak, że w slamsach istnieje rzecz, którą obie nazywamy "podwórkiem". Biedota oczywiście nie trzyma się na dystans - ciężkie życie wymaga pewnej kooperacji na co dzień. Ale oprócz tego tam nie jest tak obłudnie pusto i schludnie. Wyobraź sobie, że masz pięć lat. Wychodzisz ze standartowego domeczku dla klasy średniej i co widzisz? Równiuteńko przystrzyżona trawa. Rząd wiecznie zielonych, ustawionych w szyku krzewów. Gdzieś może jakieś drzewko, starannie przycięte, żeby miało ładny kształt i nie groziło nikomu zwałeniem gałęzi na głowę. Żadnych badyli, patyków, sznurków, chaszczy, wykopów, śmieci, kamieni, błota. piachu, zeschniętych liści. Żadnego płotu, za którym może się dziać coś dziwnego - oni nie odgradzają się od siebie, ale spróbuj tylko wejść komuś na jego "posiadłość"! Żadnego włóczącego się psa, kota czy koguta, żadnych cudzych owoców, wraka samochodu czy starej puszki. Wreszcie żadnego człowieka w pobliżu, który by robił coś interesującego. Co robisz? Wracasz do domu i zanudzasz matkę albo włączasz TV. No, tak. Przystajemy wypędzać na dwór nawet przy hollywoodzkiej pogodzie. Skakanka i piłka wędrują na pawlaczu, skoro koleżeństwo urywa się w momencie opuszczenia budynku. Teraz już nie wydaje się nam dziwne, że urodzinowe kinderbale odbywają się często w barach Macdonalda (pół sali wydzielone różową kokardką, mamy sączą colę, a maluchy smarują błaty lodami i koktajlem mlecznym). No bo istotnie, jeśli chodzi tylko o odbycie

urodzin, a rytualne słodkości, to po co sprawiać sobie kłopot w domu? Jak jednak odgonić od telewizji, w którą dzieciaki zaczynają patrzeć po osiem godzin dziennie, non-stop? Od telewizji, w której rzadkim rodzynkiem jest "Domek na prerii" - jedyna wartościowa pozycja dla dzieci. Nie ma w niej zupełnie: sztuk teatralnych, programów popularno-naukowych, transmisji z koncertów, audycji dla szkół, filmów dokumentalnych, a nawet dobranocki (jedynie o dziesiątej dyżurny spiker przypomina: "Już późno. Rodzice, czy wiecie, gdzie są wasze dzieci?") Może raz na miesiąc trafi się jakiś film podróżniczy, program historyczny, rozmowa z ciekawym człowiekiem. Raz na pół roku pokażą film nieamerykański, reportaż, ważną dyskusję, kącik dla hobbystów. Charakterystyczne zresztą, że to, co chciałoby się obejrzeć, emitowane jest z reguły bardzo późną nocą. Bo TV ma bawić, a nie uczyć. Na sporadyczne protesty tych widzów, którzy mieliby ochotę zobaczyć wykopaliska z Peru albo wywiad z kandydatem na prezydenta, ale nie kosztem własnego snu, odpowiada się w środkach masowego przekazu: analiza recepcji programów, przeprowadzona przez Instytut Taki a Taki, wykazuje, że ich rozkład pozostaje w zgodzie z życzeniami przytłaczającej większości naszych klientów. Czego życzy sobie - jeśli rzeczywiście życzy sobie - "przytłaczająca większość"? Kreskówki, seriali i dreszczowców. Pierwsze wypełniają czas od trzeciej do szóstej po południu. Te animowane komiksy jedynie grafiką przypominają nieodżałowanego Walta Disneya, Fabuła sprowadza się do nieustannej, chaotycznej gonitwy: myszy ścigają kota, dzieciół napada na gołębie, indyk próbuje zaprowadzić porządek na farmie, stado wilków umyka przed sennym kundlem. Stworzonka przygniatają się drzwiami, rozplaszczają walcem drogowym, przytrząskują klapą od śmietnika, walą po mordzie na odlew, topią. Wszystko to odbywa się w świecie, w którym zawieszono zostały normalne prawa fizyczne - rzucony naleśnik ląduje na chmurce, przecięty na pół kocur wstaje i kłania się górną połową tułowia, złote rybki prowadzą samolot, wieloryb żyje sobie pogodnie w ogrodowej sadzawce. Jak nietrudno spostrzec w kinach i teatrach, głównym składnikiem poczucia humoru tubylców jest żywe reagowanie na nieprawdopodobieństwo. Specjaliści (z zasady świeżo upieczeni emigranci) twierdzą, że to produkt kresówek oglądanych w dzieciństwie i że niedługo już nikt nie będzie umiał dostrzec komizmu w sytuacjach codziennych. Są i bardziej bezpośrednie efekty: w sąsiednim stanie czterolatek, zamknięty w mieszkaniu, wyskoczył z szóstego piętra przez okno. Sądził, że odbije się od ziemi, tak jak Struś Pędziwiatr i wyląduje na balkonie przyjaciela. Seriale ciągną się całymi latami. Aby widz nie stracił orientacji, gazety podają streszczenia ostatnich odcinków: "Moje dzieci" (kanał 11). Greg przyłapuje Martina w szopie Raya. Bryn zostaje rozerwana na kawałki, gdy próbuje rozbroić bombę dowiedziawszy się, że Joe wrócił z Teksasu. Silver dziwi się, że Kent kazał Eryce zdementować plotki o ich narzeczeństwie. Bob sfotografował Donnę w hotelu i dziwi się, co w jej pokoju robili Allan ze Stevem. Greg klóci się z Eryką o to, że wyciąga z domu Toma, by Lou mogła spotykać się z Cloffem. "Tak toczy się świat" (kanał 4). Margaux zrywa z Tomem, gdy ten godzi się być obrońcą Alice w procesie o zamordowanie Opal. Henry i Johann giną w strzelaninie. Alice angażuje innego adwokata, a jej dziwny mąż zjawia się nagle w towarzystwie szofera, który pamięta Alice z Kalifornii. Ada i Quinn starają się, aby Tom nie dowiedział się o tym, że to Margaux finansowała jego interesy. Lilia podejrzewa, że Craig chce się ożenić z Bobsie dla niepoznaki. Ben nie aprobejuje powtórnego małżeństwa Ady. "Kapitol" (kanał 2) Maryna próbuje odkupić taśmę nagranych przez Phila od Dona, który szatażuje nią Franka. Brenda jest zazdrosna, że Wally flirtuje z jej przyjaciółką Elizą. Kurt wygrywa na loterii i zapewnia Kelly, że Phil nie mógł jej rozpoznać. Larry kradnie zdjęcia Wally'ego ze Sloanem. Mark wyrzuca z pracy Julię, bo chce się od niej uniezależnić. Julia boi się oskarżyć Danny'ego, bo nie wie, skąd wziąć pieniądze na kurację Gladys. Ian prosi Ravena, żeby nie zadawał się z Evitą, inaczej będzie go musiał szpiegować. "Szpital" (kanał 8). Monika natyka się na rannego w wypadku Holta, który twierdzi, że jest nieślubnym synem Edwarda. Noah i Bonnie wpadają w pułapkę. Bryn podejrzewa, że Tom zepsuł przyjęcie Holly po to tylko, żeby zdyskredytować jej badania. Kathie udaje się namówić Luke'a na pogrzeb ojca, ale nie wyjaśnia ona całej sprawy Jimmy'emu, który zniecka wyjeżdża na narty. Tony płaci Irene za śledzenie i zamordowanie Alison. Również Heather zostaje wynajęta przez Eda, by donosiła mu o wszystkich posunięciach na chirurgii. Luke udaje komisarza policji i pożycza od Jasona pieniądze na otwarcie

sklepu. "Jest tylko jedno życie" (kanał 5). Ruby ze swym współnikiem z Chuckiem porywają Larsa jako zakładnika. Ale Lars ucieka z Chuckiem i zostaje ranny w przypadkowej strzelaninie. Kit kryje się w domu swojego trzeciego męża. Matt zbliża się do Uny, ale spostrzega, że jest ona zakochana z wzajemnością w Delii. Clint i Vicky ostrzegają matkę Larsa, żeby nie mieszała się do spraw firmy. Bat orientuje się, że Asa była utrzymywana przez Clint'a i płaci mu za milczenie. Fabułę dreszczowców układają ponoć komputery. Ostatnio eksploatuje się trzy paradygmaty: oszalałego zwierzęcia, dziecka jako wcielenia zła oraz telekinety. W różnych kombinacjach, z różnymi przystawkami i z coraz to mocniejszą dawką zwykłej brechty. Już od rana uprzedza się nas co parę minut w szklanym okienku, że po głównym wydaniu dziennika odbędzie się "światowa prapremiera" filmu "Nigdy nie wiesz". Po rekinie, gigantycznych pszczołach, zmartwychwstałym pterodaktylu - przyszła kolej na krokodyla. Mąż kupuje go żonie w pierwszą rocznicę ślubu, obiecując gorąco, że gdy tylko parocentymetrowy stworek wyrośnie z terrarium, zainstaluje mu przy domu basen i inne elementy naturalnego środowiska. Żona, spodziewająca się raczej czegoś z biżuterii, wyrzuca prezent do ubikacji. Po jakimś czasie w miejskiej kanalizacji zaczyna się coś dziać. Gina hydraulicy i monterzy, w rurach ryczy dniem i w nocy, awaria goni awarię. Monstrum wydostaje się na powierzchnię. Obgryza kończyny całej ekspedycji badawczej, zawiadywanej - rzecz jasna - przez niefortunnego męża. Pohulawszy sobie wśród miejskich ogródków zaczyna zagrażać magistratowi i przedszkolu, do którego chodzi siostrzenica żony... Nie doczekawszy się typowanego przez Starsze "obgryzionego zadka", przełączamy na kanał trzeci. Tu znów (chyba po raz czwarty w tym miesiącu) nakręcone ładne parę lat temu "Carrie" z Sissy Spacek w roli głównej. Carrie jest brzydkim podlotkiem zahukanym przez matkę - religijną fanatyczkę. Dostaje pierwszej menstruacji pod szkolnym natryskiem i wpada w histerię. Sprawa robi się głośna w całym miasteczku. Carrie stopniowo odkrywa, że gdy się złości, może pruszać przedmioty, a nawet nadać im kierunek. Zbliża się bal maturalny. Koleżanki oblewają ją od stóp do głów wiadrzem świńskiej krwi. Jako że znany już epilog (Carrie ukrzyżowuje matkę latającymi nożami i załatwia całą szkołę, nie wyłączając ukochanej nauczycielki od gimnastyki), próbujemy jeszcze raz. Na kanale trzynastym "Danny", jak reklamują, klasyczna historyjka o duchach. W sypialni ośmioletniego chłopczyka pojawia się regularnie fantom brata bliźniaka, ofiary wypadku samochodowego. Dzieci frają razem w loteryjkę, oglądają TV, rozprawiają o wakacjach. Zmora jest uśmiechnięta i przyjazna. W miarę jednak nawiedzin zaczyna płać figle. To przesunie akwarium, tam rzuci na głowę nie lubianej sąsiadki doniczkę lub schowa starszej siostrze kolekcję egzotycznych przypraw, Fagle robią się coraz bardziej nachalne i nieprzyjemne. Dlaczego? Bo wszyscy o Danny'm zapomnieli, choć zmarł zaledwie miesiąc temu. Matka wyrzuciła nawet fotografie, ojciec jest wiecznie zajęty, siostra umawia się na randki i nie ma głowy do niczego. Braciszek podziela oburzenie Danny'ego i prosi go, by mu przekazał swoją nadprzyrodzoną moc. Zaczyna działać na własną rękę. Siedząc w kinie wrzuca tatusiowi na odległym przedmieściu gorący piecyk elektryczny do kąpieli. A mamusię szlachtuje wędrującym krajakiem do pizzy. Przerażona siostra sprowadza egzorcystę, znanego kapucyna z Alaski (?). Ten jednak niczego "nie wyczuwa". Więc może psychoanalityk? Po nitce do kłębka problem się wyjaśnia. To nieprawda, że wszyscy zapomnieli o Danny'm. Wszyscy tylko próbowali wyprzeć go z pamięci. Nie mogli się pogodzić ze stratą. Bo Danny był ukochaniem całej rodziny - o ileż wdzięczniejszy, inteligentniejszy, czulszy od ponurego brata bliźniaka. A zginął w wypadku, bo brat, doprowadzony zazdrością do rozpacz, związał mu w czasie podróży samochodem stopy sznurowadłami, wy wysiadając z wozu nabił sobie potężnego guza. Aliści samochód miał czołowe zderzenie. Wszyscy zdołali opuścić płonący wrak. Tylko nie Danny. To jego obraz, szamocącego się wśród żelastwa, prześladuje bliźniaka dniem i nocą. Reszta to czysta projekcja. Oddychamy z ulgą wraz z siostrą, powierzamy zaburzonego psychicznie malca opiece fachowców, którzy już coś z tym zrobią. Wracamy z nią do pustego domu, kładziemy się do łóżka. U wezglowia staje uśmiechnięta zjawka. Oddaje schowane przyprawy, mruga do siostry okiem... Cat-Mackiewicz uważał, że Anglosasi mają we krwi bezinteresowny sadyzm, co tłumaczy ich upodobanie do horroru. Może nie mylił się tak bardzo. A może życie na Midweście zbyt jest bezpieczne, zbyt nudne? Grozą wieje nawet z dziennika, nadawanego trzy razy dziennie. Doborem informacji rządzi sformuowana

przez speców zasada: "dobre wiadomości - żadne wiadomości". W Martinsville szesnastoletni Gary Pikes i siedemnastoletni Ray Degoun zamordowali piętnastoletnią Lindę Braisky, uczennicę szkoły średniej poz wezwaniem Tadeusza Judy. A o to co sądzi o sprawie oficer śledczy... W barakowozach przy Szesnastej Wschodniej wybuchł pożar. Spaliła się sześćdziesięcioletnia May Kukilenis. Córka ofiary powiada, że... Rada Powiatu Brown debatowała dzisiaj nad plagą much w okolicy, która prawdopodobnie spowodowała już dwa wypadki tyfusu. Przewodniczący Rady za chwilę nam wyjaśni, jakie są przypuszczenia badaczy z Centrum Epidemiologicznego... W akademiku przy stadionie w Muncie nieznany sprawca powkładał igły do jabłek przeznaczonych na deser. Jasnowidząca Millie Rossiter powiedziała naszemu reporterowi, że jest to maniak w średnim wieku, z rudą brodą, i że dokona on następnego wypadu w rejonie College Mall... W jeziorze Griffy utopił się dziś koń ze stajni Cedry Libanu. Trener podaje, że zwierzę od tygodnia zdradzało silny niepokój... I tak w koło Macieju, chyba że prezydent wygłosił właśnie ważne posłanie do narodu albo że gdzieś wybuchła kolejna wojna. Jak na stan wielkości całego kraju europejskiego nie jest tego wiele. Dzieci jednak nie znają się na rozkładach statystycznych i nie chcą zostawać same w domu. Przyznać trzeba, że i nam samym po paru miesiącach raczenia się tutejszą TV robi się czasem nieswojo na widok krajaków od pizzy i facetów z rudymi brodami. Zaczynamy więc bezlitośnie wyłączać gadające pudło tuż po kreskówkach dla najmłodszych, czyniąc wyjątek dla starych filmów z Elvisem Presleyem i nieszkodliwym shows. Łęki wcale nie przechodzą. No więc, czego wy się właściwie boicie? Pożaru. Ale przecież te alarmy w naszym wieżowcu są właśnie po to, żebyście nauczyły się szybko i sprawnie opuszczać budynek. Prawdopodobieństwo tego, że alarm jest prawdziwy... Ale my nie mamy przecież wykrywacza dymu. Jakiego znów wykrywacza? No, takiego, jak pokazują na reklamach. Reklamy zajmują się mniej więcej jedną trzecią globalnej emisji i nie ma dla nich nic świętego: przerywają co dziesięć minut nie tylko seriale, i kreskówki, ale nawet dzienniki, wywiady z gwiazdami i rozgrywki piłkarskie (co wpływa na kompozycję kręconych współcześnie filmów - nietrudno zauważyć, że rozpadają się one na dziesięciominutowe segmenty, z których każdy ma swój "punkt szczytowy"; po nim właśnie następuje reklama). Co proponuje się widzowi? W pierwszym rzędzie napoje orzeźwiające i łakoci, środki do prania i czyszczenia, artykuły kosmetyczne i lekarstwa. Na przykład: do lodziarni o tradycyjnym wystroju wewnątrz wkracza zaafierowana starsza pani. Podsuwa porcję przyniesionych lodów młodzieńcowi za ladą. "Spróbuj, całkiem niezłe..." "Ależ mam, jak możesz. Przecież te lody z supermarketu. Gdyby tak boss zobaczył..." Jest i boss. Podlizuje, podkosztowuje. "Mmmm, całkiem niezłe. Czy to ten nowy gatunek naszego stałego dostawcy?" "NIE, to są Delicje ciotki Deeeeee! Albo dwa identyczne charty afgańskie goniące za brzegiem plaży o zachodzie słońca. Dwa poziomkowe fordysy wspinają się krętą serpentyną. Promienne blond bliźniaczki kręcące "drobną kaszką" i z białozębnymi bliźniaczkami. Przerywają płasy, sięgają po gumę do żucia. I kwartet falsetów: "Podwójna Miętowa, podwójny smak, podwójny zapach, podwójne działanie antybakteryjne". I dalej: rzymski wieśniak w tunice okopuje motyką winorośl. Anonimowy, autorytarny bas zza ekranu tłumaczy, co widzimy: "Człowiek od wzgórz Kalifornii. Wino z Kaliforni to nie wino. To nektar bogów". Pojawia się John Gielgud w stroju kamerdynera, z tacą pełną kieliszków. High life ostrożnie sączy. "Czy to francuskie?" "NIE, sir, to kalifornijskie. To Chablis Blanc. Firmy Treger i Gruber". Po kolejnych dziesięciu minutach seksowna panienska. Rozbiera się rozkosznie ziewając. "Nawet w hotelu lubię czuć się wygodnie i bezpiecznie. KOcham swój stary szlafrok. Swoje pantofle na króliczej skórcie. Swój własny, miękki ręcznik. I swoje podpaski higieniczne, superabsorpcyjne Kotexy". Dla odmiany zwykła pani domu z odkurzaczem w ręce. "Nazywam się Lorna Graham. Mieszkam w Pasadenie. Od dwunastu lat cierpiałam na hemoroidy. Nie macie pojęcia, czego nie próbowałam! Dopóki mój lekarz nie przekonał mnie do Formuły H. To naprawdę działa! Likwiduje ból, zmniejsza swędzenie. Pomaga w wydalaniu. I odświeża! Pamiętajcie. Formuła H. Do nabycia w waszym najbliższym drugstworze." Silne, męskie dłonie zdzierają bibułę ze słomki do napojów gazowanych. Słomka okazuje się rudą pięknoską w skąpym bikini. Na fonii odgłosy, jakie panie wydają z siebie w alkwie. Na wizji ruda zanurza się w olbrzymiej szklance. "Niby-Cola, Niby-Cola! Ochłoda bez ruiny zdrowia! Tylko jedna kaloria w puszcze. Bez cukru, bez kofeiny. Mmm, uuu, aaa! Niby-

Cola!" Jest wreszcie i wykrywacz dymu. Słodko śpiąca para bobasów tuli do buzi misie, kotki i ponadgryzane batoniki. Tymczasem w kuchni zaczyna dymić instalacja. Na wykładzinie pojawiają się drobne, wesołe płomyki. Taca z resztkami jedzenia zwiija się w rulon. Robi się ciemno. Ale rodzice zawiesili na szczęście pod sufitem ostatni cud techniki. W mieszkaniu zaczyna wyc elektryczny alarm. Włącza przystawkę do telefonu, która wykręca numer straży pożarnej. Nagrana taśma podaje strażakom adres, pod którym się pali. Wycie budzi maluchy. Braciszek ciągnie siostrzyczkę. Wypadają oboje w piżamach na próg domu, prosto w ręce nadbiegających strażaków i szeryfa. Krótki fragment "Serenady" Schuberta, adres sklepu i możemy dalej oglądać przygody kota Garfielda... I u nas wyje! Wyje w sąsiednim wieżowcu. Po paru minutach nadjeżdża straż, policja, szeryf i pogotowie. Co się stało? W halu zapalił się kosz na śmieci. Tu już trzeba z grubej rury. Wyjaśniamy Starszemu i Młodszemu, że zawsze może się zdarzyć coś strasznego a nieprzewidywanego. Takie jest życie. Ci tutaj nie chcą tego przyjąć do wiadomości. Starają się ubezpieczyć na wszelkie okoliczności. Jest to zachowanie głupców. I tchórzy. Więc przestańcie się tak samo zachowywać, bo się za was wstydzimy. I koniec z tą durną telewizją! Brać się do książek! Łatwo powiedzieć. Młodsze uderza w bek. Kiedy książki są takie strasznie nudne! Dlaczego nudne? No bo wszystko się w nich tak powoli dzieje. W życiu też się zwykle powoli dzieje. Ale książki nie powinny być o życiu. My chcemy mieć jakiś fun. Należy się nam przyjemność po całym dniu lekcji. Skoro tak, to zapiszemy was na jakieś zajęcia. A póki co, nie marudzić tu i brać się do czegoś pożytecznego. Tabliczkę mnożenia wykułyście? Przeglądamy ogłoszenia drobne i biuletyn wydawany przez szkołę. Rozpytujemy znajomych. Francuski, garncarstwo, haftowanie, komputeryzacja - odpada. Trzeba im znaleźć coś, po czym będą porządnie fizycznie zmęczone! Jest! Piłka nożna dla chłopców i dziewcząt, telefon 335-7681. Trzy razy w tygodniu po pół godziny o ósmej wieczorem na stadionie przy banku. Opłata miesięczna osiemdziesiąt od łebka; sześćdziesiąt, jeśli wykupi się karnet na pół roku z góry. Ha, to jednak nie na naszą kieszeń. Jeszcze droższe jest łyżwiarstwo, koszykówka i gimnastyka artystyczna (bez względu na to, czy organizowane przez szkołę, czy przez firmę nieoświatową). Nieco taniej wypada karate. Więc może jednak? Po dwóch tygodniach kompletna kłapa. - Nie będę tam chodził! - No, no, nie wygłupiaj się! Przecież przepadnie opłata, czy ty myślisz, że dolary na drzewach rosną? - Kiedy to jest zawracanie głowy, a nie karate. Cały czas biegamy truchtem, a ta pani gra na pianinie i nie wygląda na osobę, która by miała pojęcie o chwytach. Dopiero pod koniec zajęć pokazała nam na przezroczach wymach nogą. Nie mamy go nawet kiedy przećwiczyć. Wolę już sam próbować w domu z Maryską. Nie jestem przedszkolakiem! Mam dość rytmiki na całe życie! Pewnego dnia w całym mieście pojawiają się kolorowe plakaty. Centrum Przyrodnicze Hipolit ogłasza zapisy na letnie kursy ogrodnictwa dla dzieci. Każde z nich będzie mieć własną grządkę. Każde może samo wyhodować warzywa i kwiaty. Zaraz, zaraz, ten Hipolit to przecież dwa kroki od naszego wieżowca. Wspaniale, nie będzie trzeba odwozić. No i będą na świeżym powietrzu. U dziadka Romana lubiły kopać i pielić. To jest coś w sam raz dla nich. Wpłacamy panience w falbankach po czterdzieści od każdego (przed pobraniem opłaty nie chce udzielić żadnych konkretnych informacji) i dowiadujemy się że: kurs trwać będzie sześć tygodni. Zajęcia w każdą sobotę, między ósmą a dziewiątą rano. Nie ponosimy odpowiedzialności za wypadki. Nie dostarczamy roboczych ubrań. Zapewniamy fachowych instruktorów i nasiona. W pierwszą sobotę szykuję kąpiel, pewnie wrócą umorusane. Wracają z nosami na kwintę. Co się stał? - Nic, ze względu na złą pogodę siedzieliśmy w dużej sali. Jakaś pani opowiadała o tym, że każda roślina ma korzenie i że czerpie nimi z ziemi wodę i składniki mineralne. I że jak się korzenie uszkodzi, to roślina ginie. A potem jakiś chłopak uczył nas z gitarą piosenki o Centrum Hipolit. Nudy na pudy. Za tydzień mamy przyjść z którymś z rodziców, bo będziemy sadzić. Chyba żeby znów lało to opowiedzą nam o szkodnikach. Sam bym im opowiedział, tylko czy mi ktoś za to zapłaci? W następną sobotę instruktorzy wprowadzają na teren posiadłości niedużego basenu pływakiego. Na każdego kursanta czeka zagonek o rozmiarach blatu biurka. Rozdają małe torebki i do dzieła; teren został skopany mechanicznie. Trzeba zrobić dołki na cał głębokie i wpakować w nie nasiona. Potem przyklepać ziemię, osadzić tabliczkę z nazwą rośliny, zalać wodą i posypać nawozem. Nawóz jest to substancja sztuczna lub naturalna, która uzupełnia składniki zawarte z glebie. Znajduje się w dużym pojemniku

pod drzewem (jedynym zresztą na całym terenie). I raz, pociągamy sznur przez całą długość pola. W pierwszym rzędku siejemy sałatę, znajduje się w torebce koloru zielonego. I raz, przeciągamy wszyscy sznur o dziesięć cali! Robimy cztery dołki, do każdego wkładamy dwa ziarenka, nasionka dyni znajdują się w torebce koloru pomarańczowego. Lepiej, by nasionka wkładali rodzice, w ziemi znajdują się różne bakterie, no a dzieci nie zawsze dokładnie myją ręce. I raz, znów o dziesięć cali. Siejemy astry, są w torebce koloru... Na dzisiaj koniec. Za tydzień zobaczycie, jak z nasion wyrosną białe kiełki. A za dwa tygodnie poobserwujecie małe roślinki. A teraz zapraszamy wszystkich na orzeźwienie naszym własnym napojem, pięć centów rodzice, dwa centy dzieci. Pamiątkowe emblematy naszego Centrum i specjalne podkoszulki sprzedawane będą w niedzielę na kiermaszu. Tamże nabyć można będzie książki ogrodnicze, modele jarzyn i broszurę o naszej działalności. - To... to nie będzie pielienia, podlewania, gracowania? - pytam instruktora. - Te czynności zarezerwowane są dla starszych członków naszego Centrum, którzy ukończyli już kurs pierwszego stopnia. - To czy nie można by mojej dwójki przenieść do tamtej grupy? Miały już doczynienia z ogrodnictwem i... - Niestety, bardzo mi przykro, wyczerpaliśmy limit miejsc w grupie zaawansowanej. To przepraszam, ale jaki jest sens takiego kursu? Przecież te dzieci nawet nie zobaczą swoich kwiatków i jarzyn, no, może z wyjątkiem sałaty. Przez sześć tygodni mało co urośnie. Byłoby przyjemnie, gdyby mogły pokosztować własnej dyni. - Nie zrozumiała pani. Plony w Centrum należą do Centrum. A sens kursu polega na obserwowaniu roślinności. No jasne - monologuję - sprzedadzą dynie i pomidory, i astry na kiermaszu jesiennym. Coś ty sobie myślała? Że tu może być jakieś przedsięwzięcie niedochodowe? Tu forsa leży naprawdę na ziemi. Gdyby tylko mieć na początek i na reklamę. Że też te jolopy tak się na to nabierają... Kiedy więc Stowarzyszenie Przyjaciół Lasu ogłasza zapisy na letni obóz (jazda konna, pływanie, wycieczki i inne atrakcje), przezornie podpytuję najpierw zasiedziałą rodaczkę. - Rozumiesz sama, te upały, one już świra dostają w mieszkaniu. Zwłaszcza jak przyjdzie kartka od kuzynów, którzy siedzą na wczasach w Krynicy Morskiej. Co to za impreza? - Zwykły pic na wodę. Sto trzydzieści zielonych od łebka za dziesięć dni. Zawozisz dzieciaki na zbiórkę po własnym lunchu, o pierwszej, odbierasz przed kolacją. Wywożą je dwadzieścia mil stąd, do ogrodzonego zagajnika z brodzikiem. Wody do pępka. Koń jest tylko jeden, stary kucyk. Najpierw każde czesze go szczoteczką, a potem wolno zrobić na nim kółko po wybiegu. No a "wycieczka", to sama przecież wiesz, że oni tu nazywają zwykłą przechadzkę po zaroślach... - To co robią z dziećmi w lesie? - Biorą ze sobą na dwutygodniowy camping. Niektórych stać na takie obozy. Niektórzy mają matkę i ojca, co godzą się przetrzymać wnuki przez jakiś czas. Przeważnie trzymają je w domu, pod klimatyzacją. Zapisujemy się więc całą rodziną na kryty basen (w sezonie letnim znaczna obniżka). Kupujemy "Monopoly" i karty do brydża. Śledzimy pilnie program koncertów (bezpłatnych!), które odbywają się w miejscowej sławnej szkole muzycznej. Chodzimy na projekcje dyskusyjnego klubu filmowego. Publika co prawda wytrzeszcza oczy, gdy wkraczymy na barokową operę czy jakąś francuską "nową falę", wlokąc za sobą ośmio- i dziewięcioletka. Zapisujemy się do biblioteki publicznej, gdzie z tylnych, zakurzonych półek wydobywamy ramoty napisane w epoce przedkomiksowej. Sprowadzamy przez firmę wysyłkową szarady geometryczne. Nabywamy wielki atlas świata. I przekonujemy się, że istotnie, jest to kraj, w którym znaleźć można wszystko... Ale gdy zasiedziała rodaczka chce wiedzieć, dlaczego właściwie po dwóch latach pakujemy manatki, odpowiadam: - Ja nie umiem wychowywać dzieci bez podwórka, szkolnych lektur, kolonii, "dobranocki", harcerstwa. Za silny wiatr na moją wełnę... U Świętego Pawła Protestanta - pisze Werner Stark - dzieli od katolicka przepaść; przepaść odruchów emocjonalnych i intelektualnych, których nie da się wywieść z realnie istniejących różnic w doktrynach. U jednych - atomistyczna wizja świata i społeczeństwa (każdy sobie rzepkę skrobie), pragmatyzm, ewangeliczna Marta jako wzorzec postępowania. A także brak szacunku dla tych, którym się nie udaje. Optymizm. Silna wiara w niewyczerpane możliwości człowieka. Nieufność wobec wszelkich autorytetów. U drugich zaś - koncepcja organicznej wspólnoty, która jest czymś więcej niż sumą jednostkowych wysiłków. Uduchowiona Maria i cnoty pozautilitarne. Skłonność do mistycyzmu oraz kontemplacji, zwłaszcza przyrody jako niewątpliwego dzieła Boga (cywilizację stworzyły istoty immanentnie

ułamne). A także pełna podziwu bojaźń wobec szalonych i ubogich (res sacra miser), która hamuje zapędy dobroczynne. Przekonanie o przyrodzonej nierówności talentów. I skłonność do ulegania charyzmatycznym przywódcom - nie przypadkiem w porę zreformowano religię. Czy Stark był kiedykolwiek w Midweście? Ciekawe, jak nazwałyby to, czym raczą wiernych tutejsze parafie rzymskie. Sprotestantyzowany katolicyzm? Podkatolizowany protestantyzm? Czy wynika to z entuzjastycznej adaptacji do wskazań przełomowego soboru? Czy też odwrotnie, to sobór wyrósł z nacisku Midwestów? Parafia nasza mieści się w płaskim, niewysokim budynku (skąd to jest - "strzeliste wieże symbolem wzniosłości?") otoczonym potężnym parkingiem. Gdyby nie skromny krzyż nad wejściem, można by go łącznie wziąć za bank, biuro notarialne, czy zarząd spółki akcyjnej. Nosi miano Katolickiego Centrum Świętego Pawła. I rzeczywiście, jest bardziej ośrodkiem ożywionej działalności społecznej niż świątynią. Nie może przecież pozostawać w tyle za metodystami, luteranami, anglikanami, adwentystami Dnia Siódmego, Pierwszym Zjednoczonym Kościołem Chrystusowym. Wspólnotą Agape, Apostolskim Przylądkiem Dusz, baptystami, Wiarą Pięcioksięgu, Drugim Zreformowanym Kościołem Chrystusowym - i kto by tam jeszcze zliczył. Oficjalnie w naszym mieście - dwadzieścia tysięcy mieszkańców zarejestrowano czterdzieści dwa wyznania. Każdej niedzieli wierni zbierają się po mszy przy kawie i pączkach w przestronnej parafialnej świetlicy. Proboszcz z wikarym promenują od grupki do grupki, ściskając ręce, prawiąc żarciki, komplementując, zachęcając. W przyległej sali dzieci grają w bilard i gry elektroniczne. Co chwila przypomina się zgromadzonym o najbliższych imprezach, choć każdy i tak dierży w ręku ulotkę (rozdawaną przy wejściu wraz z programem mszy) o przewidzianych na dany tydzień "aktywnościach". Zebranie Rycerzy Kolumba, wtorek szósta wieczorem. Obiad parafialny sobota wieczór w małej świetlicy. Menu: smażone kurczęta, spaghetti z klopsikami, ciastka orzechowe. Dochód przeznaczony na Stowarzyszenie Prawa Do Życia. Bilety przy wejściu, dorośli 4 dolary, dzieci 1 dolar. Zniżka o połowę, jeżeli dokona się rezerwacji u Kitty Lanfus, telefon 335-2365. Koncert muzyki religijnej w wykonaniu grupy studenckiej Ciało Chrystusa, środa ósma wieczorem. Dochód na stanowy Dom Weteranów, wstęp 2 dolary. Czwartek dziesiąta rano, sprzedaż domowych wypieków na fisharmonię do sali katechetycznej. Czwartek po południu, aukcja odzieży i sprzętu domowego, zapewniamy babysitterów dla najmłodszych. Dochód na wyrównanie inflacji katechetom. Piątek, szósta wieczorem, prelekcja pastora Bowersa o misjach w Zimbabwie. Wspieraj ducha ekumenicznego, zamów bilety już dzisiaj. Zebranie założycielskie zespołu koszykówki, termin do ustalenia. Zadzwonić do Steve'a Evansa telefon 337-5481. Spotkanie Grupy Modlitewnej, sobota, czwarta po południu. Dołącz do nas, dziel z nami prawdziwie chrześcijańską radość. Po modlitwie jednoczymy się przy napojach i biskopie. I jeszcze trzeba wypełnić Kartę Czasu i Uzdolnień. Imię, nazwisko, adres, imiona rodziców, data urodzenia, miejsce pracy, imiona i wiek dzieci, zainteresowania, wykształcenie. Zakreśl odpowiednią rubrykę: chcę być sponsorem kogoś, kto zamierza przystąpić do naszego kościoła. Chcę śpiewać lub grać na instrumencie czasie liturgii. Chcę być łącznikiem między chórem parafialnym a szkołą muzyczną. Chcę być katechetą. Chcę zbierać pieniądze na tacę. Chcę być ministrantem. Chcę pomagać w nadzwyczajnych nabożeństwach. Chcę pomagać w sprawach socjalnych (kawa i pączki). Chcę należeć do Komitetu Sztuki i Dekoracji. Chcę przygotowywać narzeczonych do małżeństwa. Chcę witać wiernych w przedsionku. Chcę pobierać opłaty za parking. Czasem wolnym dysponuję w godzinach..., w każdy... i... Własnoręczny podpis, telefon. Nie inaczej wygląda to w innych parafiach. Jeżeli się czymś święty Paweł wyróżnia, to jakby mniejszą troską o publicity. Rzadko trafia do miejscowej gazety. W sobotnim wydaniu - bite 16 stron - dwie zajmuje "Religia". Poszczególne wyznania zamieszczają tam... obwieszczenie? inseraty? reklamy? Na przykład: Witaj w Pierwszym Zjednoczonym Kościele Chrystusowym! Duch współuczestnictwa. Entuzjastyczne studia nad Biblią. Bezpłatny transport na nabożeństwa. Albo: Baptyści zapraszają do wewnętrznego odrodzenia w świeżo odnowionej kaplicy. Odczyty wielebnego Ryana Bidwella, doktora psychologii z Uniwersytetu Cornell. Może proboszczowi od świętego Pawła celibat stoi na zawadzie? Bo obowiązkowo musi być forografia pastora z pastorową, oboje młodzi, uśmiechnięci, tacy sami jak inni. Czy starsi duchowni pracują tylko po wsiach? Czy może fotografują się tylko wikarzy? Dzieci, przeglądając gazetę,



zapytał raz: a z jakiego to serialu? Bo pani pastorowa była w mocno wydekoltowanej sukni. Czekają się kiedyś na przystanku autobusowym na grupę "zaangażowanego laikatu", jadącego na rekolekcje do podwarszawskich Lasek. Małgorzata powiedziała: To na pewno te kobiety pod wiatą. Zaraz można je rozpoznać. Ta ostentacyjna szarość i schludność ubioru. Ciemne kostiumy i wypucowane półbuciki na płaskim obcasie. Te okulary i proste włosy u panienek, koczki u pań. Te twarze, jakby wyszorowane ługiem, jasne, przejrzyste, bez cienia szminki. Niezawodne znaki. Midwestowy laik, znacznie prężniejszy i liczniejszy - przy mszach asystuje co najmniej kilkunastu świeckich, nie licząc chóru - nosi się bez ascezy. Albo kompletny luz (imperatyw wygody), albo błyszcząca, odświętna barwność. Jedni młodzi ludzie czytają więc lekcje w dresach, inni w koszulkach z żabotem i plisami. Katechetkami są (ostatnią zakonnicę widziano tu dwa lata temu; przyjechała z Marylandu kwestować na zgromadzenie) hoże, trzydziestoparoletnie matki i żony. W dżinsach i flanelowym wdzianku. Albo w tafcie, prunelkach, loczkach. Przed kamerami telewizyjnymi - audycja "Społeczne role kobiety" - prezentują uśmiechy aktorek estrady. Wśród studentów i studentek rozdających komunie zdarzają się szorty z podkoszulkiem. Zdarza się i kwiecista spódnica. Poprzedni pleban, zesłany po trzydziestu latach pracy do małej osady za opór wobec zmian, zwykł podobno jeszcze nosić w świątyni sutannę. Jego następca ojciec Sim, sprawuje Ofiarę w ornacie z bawełny w kratę, spod którego wystają czerwone adidas. To już nie importowany, przesądny Irlandczyk, lecz - jak dowiadujemy się w kazaniu inaguracyjnym - "miejskowy chłopak". Nie ma życia bez tolerancji, jak sami dobrze wiecie. W sprawie seksu przedślubnego, rozwodów i tak dalej różnimy się nieco od naszego biskupa. I nasze Centrum otwarte jest dla wszystkich, którzy zechcą się przyłączyć!. - U świętego Karola Boromeusza i u świętego Jana jest jeszcze bardziej postępowo - informuje szeptem w czasie mszy zaprzyjaźniony Japończyk. W domu otwieramy Miłosa, gdzie smętny cytat z Eatona: "duchowni... wyobrażają sobie, że chrześcijaństwu wolno będzie przetrwać, jeśli okaże się pożyteczne społeczeństwu, to jest, jeżeli będzie wychowywać wiernych na lepszych obywateli, rzetelniejszych podatników, i gotowi są wyrzec się wszystkiego, co trąci zaświatowością, metafizyką i zabobonem". Toteż u świętego Pawła nie mam zabobonów. Procesji, pasterek, nabożeństw różańcowych. Święcenia jajek i gromnic, wianków, obrazków, medalików. Nikt nie posypuje głów popiołem, nie macha z zapałem kadzidłem, nie dzwoni na Anioł Pański. Nie pali świec, nie wywiesza świętych obrazów. Drogę krzyżową zdjęto jeszcze za starego proboszcza; nie pasowała do odnowionych ścian. Duszpasterz zaś odgrywa na zmianę dwie role: już to energiczna menażera swej gromady, już to wykonawcy jednosobowego show. Nie straszy, ni grzmi. Tu dowcip, tam anegdota, ówdzie statystyka, dla okraszenia element autobiograficzny: - W dzisiejszym Słowie Bożym przeczytaliśmy, bracia i siostry: bo któryż większym jest? Ten, co siedzi, czy ten co służy? Wszyscy znamy odpowiedź. Mnie udzielił jej tata, gdy brałem w skórę za wylegiwanie się na kozetce. Można by rzec, odpowiedź na miarę pytającego (salwa śmiechu). Tak, wszyscy wiemy, jaka jest odpowiedź. Ale co z tego? W zeszłym miesiącu Rada Miejska wystosowała apel o ratowanie Śródmieścia. I czy okazaliśmy się gotowi służyć? Gdybym był Radą Miejską, choć na szczęście nie jestem (salwa śmiechu), wziąłbym się na sposób mojego taty (salwa śmiechu). Uszy nasze słyszą, ale serca nie. To dobrze, że mamy nowy, wspaniały pasaż handlowy we Wschodniej Dzielnicy. Cóż jednak powiemy, gdy wokół ratusza zrobi się pusto? Gdy znikną małe sklepiki tych, którzy w naszym mieście osiedlili się najwcześniej? Gdy stare budynki rozwalą spychacz? Trzeba ratować nasze historyczne tradycje. Pomyślmy o tym już teraz, zanim oddamy się zasłużonemu, niedzielnemu lenistwu (salwa śmiechu). Złożmy ofiarę na tacę, zastanówmy się nad projektem jej pomnożenia. Wszelkie pomysły zbierać będzie Ron Schmidt, telefon 334-8929. A teraz módlmy się za naszych braci ze śródmieścia. I za nas samych, byśmy znaleźli siłę do służby. Ciekawe, że nawet te szczątkowe znamiona rzymskokatolickości, jakie ostały się na Midweście, nie mają "dobrej passy". Obecnie papież uchodzi za uosobienie "konserwatyzmu" i "prowincjonalizmu". Coraz to ktoś dziwuje się publicznie - podobno każe wracać do noszenia sutanny! I mycia nóg starcom! Lepiej by rozdawał skarby watykańskie. I założył porządny przytułek. Fanatykiem religijnym w filmach jest zawsze osoba modląca się pod krucyfiksem (protestanckie są krzyże - jak wiadomo - pozbawione postaci Chrystusa). Magazyny kobiece drukują

uparcie żale feministek, złośliwie odsuwanych od kapłaństwa. Proponują one, aby zmienić święte teksty - nie: "Ojcze nasz", lecz "Ojcze lub Matko Nasza"; nie: "Niech będzie pochwalone imię Jego", lecz "imię Jego lub Jej". Niektóre panie same odprawiają msze - módlmy się teraz za nasze siostry, które właśnie przeżywają poród, menstruację i poronienie - i reportaże z tych obrządków w lamusie". Gazety codziennie gustują w opisach samowoli biskupów. Jeden ośmielił się przenieść proboszcza na nową placówkę wbrew opinii wiernych. Inny nakazał parafii, by przyjęła do siebie zgromadzenie zakonne, które nie cieszy się popularnością. Jak gdyby hierarchie istniały tylko u katolików. Co jeszcze ciekawsze, choć to "wolny kraj", nie podaje się nigdy argumentów strony przeciwnej. I nigdy przedmiotem niezyczliwych komentarzy nie są osobliwości innych wyznań, z islamem włącznie. Ostatnim przebojem prasowo-telewizyjnym stała się sprawa zakonnicy, która w społecznikowskim zapale przystąpiła do Charytatywnej Rady Stanowej, dokonującej między innymi podziału funduszy na bezpłatne aborcje. Przełożeni duchowni zażądali od niej zrezygnowania z pełnionej funkcji. Siostra rozwodzi się szeroko nad wolnością sumienia, prawami konstytucyjnymi, sytuacją kobiety. Szczególnie gniewa ją dodatkowy nakaz noszenia habitu. Smażymy z Alicją list do naszej popołudniówki: to zupełnie zrozumiałe, że Iksińska ma ochotę pracować społecznie, że współczuje kobietom, uważa sztuczne poronienie za mniejsze zło, habit za strój średniowieczny i niewygodny, a decyzję przełożonych za oburzającą. Nie rozumiemy tylko jednej rzecz - dlaczego Iksińska ma jednocześnie ochotę być katolicką zakonnica? Listu oczywiście nie drukują. Żłota jesień Ciotka Jadzia, siostra babki, wyprawiła pochówek trzeciemu mężowi w Kalifornii i wsiadła do "Kopernika". Wylądowała u siostrzenicy, w tej samej podbiałostockiej wsi, którą opuściła via Hamburg w parę lat po pierwszej wojnie światowej. Zbiera teraz chrust, rżnie zielsko dla świń i chwali sobie. Rodziną młodzież z pokolenia wnuków, wybierając się na saksy za ocean, obserwuje nie bez pewnego rozbawienia. My tam, a ciocia tu. Dlaczego? Nie wytłumaczę wam, dlaczego, moi drodzy. Sami zobaczycie. Broń Boże spędzać tam stare lata. Po paru miesiącach pobytu na Midweście oglądamy w TV serial "Wiatry wojny". Obecny odcinek dzieje się gdzieś na "peryferiach" Europy. Kowal w łapciach reperuje zepsuty samochód bohatera. Spragnionemu czyjeś ręce podsuwają kubek z mlekiem od krowy; przez chwilę miga na ekranie pomarszczona twarz w chustce. - A gdzie tu w Ameryce są babcie? - pyta Młodsze. Rzeczywiście na Midweście nie mam babć. Są tylko starsze panie, które dotrzymują kroku: spodnium, kunsztowna fryzura, staranny makijaż. Nie prowadzą nigdy nikogo małego za rękę i nikogo o nic nie proszą. Nie widać ich pod szkołą ani pod przedszkolem, ani pod żadnym z kościołów. Podjeżdżają za to masowo wozami pod "Centrum Seniora", gdzie pod kierunkiem instruktora można wprawiać się w "twórczym pisaniu" (każdy może być poetą), w ekonomii, algebrze (na naukę nigdy nie jest za późno), w sztuce, rzemiośle (dochód z kiermaszu wyrobów na cele municypalne), a także w relaksacji, gimnastyce szwedzkiej, grze na pianinie, tańcach ludowych i gotowaniu (poznaj kuchnię libańską). Gdzie znikają po zajęciach? W wieżowcach ani jednej osoby powyżej lat pięćdziesięciu, no lae to są przecież hotele dla wędrowników, dla małych rodzin z nieletnim potomstwem. W znajomych domach jakoś nie mówi się o trzeciej generacji. Zajrzyjmy do nekrologów w gazecie: jedynie jakieś 20 procent tubylców w wieku poprodukcyjnym umiera we "własnej rezydencji". Reszta dożywa swej statystycznej osiemdziesiątki w różnorodnych placówkach opiekuńczych. Na przykład: John Calabrese, urodzony w 1899 roku w Lorraine, Ohio, zmarł w czwartek rano w zakładzie "Przyjazne Serce" w Ellestville. Emeryt U.S Steel Corporation, weteran wojenny. Pożegnanie odbędzie się w poniedziałek o piątej po południu w domu pogrzebowym Harrisa. Celebrować będzie Clive Newton ze Zreformowanego Kościoła Zielonoświątkowców. O czym zawiadamiają synowie Ralph z Ellestville, David z Rain Fall, Idaho, James z Lorraine. Starców nie "wsadza" się tu do przytułku; w stosownej chwili sami decydują się na jakieś "Babie Lato", "Spokojne wytchnienie", "Przystań" czy "Gościnne Ognisko". Bo jeśli wierzyć reklamom, jest to "koniec kłopotów". Bez zmiatania liści i uprzątnięcia śniegu przed domem. Bez schodków i śliskich podłóg. Pełna, kwalifikowana opieka medyczna, psychologiczna. Rozległy teren, możliwość rekreacji fizycznej. Dobrą, domowa kuchnia. Oddzielne pokoje dla samotnych małżeństw". Czemu jednak John Calabrese nie umiera w "rezydencji" syna lub córki? Nancy, sekretarka w

dużej, babskiej instytucji, ma poważne zmartwienie. Musi odesłać ojca z powrotem na Florydę. Podczas dorocznej wizyty rozchorował się, trzeba było operować. Przewiezienie taty karetką na lotnisko (jest dopiero dziesięć dni po zabiegu) to prawie jedna trzecia pensji, a przecież są jeszcze raty za dom, samochód no i babysitter dla małego. Koleżanki współczują, któraś inicjuje natychmiast składkę, dorzucam i ja parę groszy do pudełka po pinezkach. Ile macie pokoi, Nancy? Pięć na troje to przecież sporo... A ojciec ma żonę czy jest wdowcem? Wdowcem? No to właściwie dlaczego nie zostanie u was? - No, coś ty. Przecież każdy wie, że rodzice zawsze, chcąc nie chcąc, psują małżeństwa swoich dzieci. I rozpuszczają wnuki. Czy ty nigdy nie czytałaś nic z psychologii? Rayowi skończyło się stypendium doktorskie. Zabrać się do mycia okien czy sprzątania, to tracić bezcenny czas. Co za pech! Lektury zaliczone, czała koncepcja w głowie, tylko siadać i pisać, a tu nie ma na komorne. Jechać do matki do Iowa? - Z byka spadłaś Tyreza. Co mnie łączy z matką? Absolutnie nic. Ma do mnie pretensje, że nie przyjechałem na pogrzeb dziadka. To był dla mnie kompletnie obcy człowiek. Nawet nie wiem, czy gadałem z nim choć raz, odkąd poszedłem do szkoły. On nigdy nie nauczył się języka, coś tam mamrotał po swojemu pod nosem. Matka prowadzi sklep, a ja chcę pisać książkę. I będzie mnie chciała zdominować. Skąd ja to wiem? No, nie żartuj sobie. Takie są wszystkie matki. Czyście tam w tej Polsce nigdy nie słyszeli o normalnym rozwoju osobowości, o tym, że musi się wyrosnąć z rodziców? Syn rozwódki Ewy idzie do college'u w sąsiednim stanie. Czy nie lepiej żeby studiował tu, na miejscu, przecież wypadaloby taniej? - No wiesz, to by się dopiero z niego śmiali koledzy. Przecież on ma już szesnaście lat! Nie wypada, żeby chłopak w tym wieku trzymał się maminej spódnicy. To u was niańczy się dzieci w nieskończoność? Poczytaj trochę specjalistów, to zrozumiesz, jak bardzo wiele jest to szkodliwe. Nie mówiąc już o tym, że mieszkać z dorosłym synem to krępujące. Bożonarodzeniowy obiad u dyrektora szpitala. Po deserze teściowie zamawiają taksówkę. - Widzi pani, mąż ma jaskrę i nie może już prowadzić, a Gene ma przecież prawo napić się trochę przy takim święcie. I tak płaci za nas jedną trzecią kosztów pobytu. Córka nie pracuje, tak, ale... my jesteśmy w kłopotliwej sytuacji, mąż niedowidzi, a ja choruję na żołądek. Pani nie jest stąd, no tak, widzi pani, u nas nie jest przyjęte mieszkać razem z dziećmi. Niech pani poczyta sobie o potrzebie prywatności, to bardzo ważna potrzeba. Czytajmy więc, co mówią specjaliści. Z rubryki "Serce w rozterce": Droga Anny Landers. Mam problem, który ogromnie mnie stresuje. Skończyłam właśnie osiemnaście lat. Rodzeństwo już dawno wyszło z domu i ja bym też chętnie to zrobiła, ale nie mogę. Wszystko przez ojca. Przestał kochać mamę i szuka emocjonalnego wsparcia u mnie. Próbowalam wszystkiego, żeby czuł się lepiej, i teraz wpadłam w pułapkę. Matka złości się na mnie i uważa, że jestem winna ich złemu położeniu. Poznałam człowieka, który mnie kocha. Ojciec lamentuje i prosi, żebym z nim zerwała, bo czuje się samotny. Upiera się, że mam także jakieś obowiązki wobec niego. Co robić? Droga Ann. Musisz natychmiast wynieść się z domu, żeby to nawet miało oznaczać noclegi na kanapce u znajomych. To, co robi twój ojciec, nazywa się po prostu "szantażem". Potrzebujesz oparcia w swoich problemach. Zajrzyj do książki telefonicznej pod "Zdrowie psychiczne". Albo może twój lekarz wskaże ci kogoś odpowiedniego. W każdym razie pakuj natychmiast manatki. Żadnych pożegnań. Zostaw karteczkę i w drogę! Na sąsiedniej szpalcie doradza doktor Lamb: Drogi doktorze. Oboje z żoną mamy po siedemdziesiąt lat. Pomimo leczenia Dorothy czuje się źle. Cierpi na egzemę, kołatania serca i infekcję pęcherza. Opiekuję się nią sam i nie wiem dokładnie, jak podawać "Imenit". Dorothy uważa, że powinna zażywać go stale, ja zaś nie umiem zdecydować. Drogi panie Hunt. "Imenit" ma działanie bezpośrednie, najsilniejsze po dziesięciu minutach. Wolno go stosować jedynie sporadycznie. Potrzebuje pan pomocy, jest to sytuacja zbyt ciężka, by borykać się z nią w pojedynkę. Radzę porozmawiać z krewnymi i asystentem społecznym. Stan żony wymaga starannej opieki, jaką mogą gwarantować jedynie stosowne instytucje. - "Potrzebować pomocy" znaczy tu: potrzebować fachowca, który zdejmie sprawę z głowy. Zdumiewające, jak doszczętnie zaawansowany podział pracy odebrał tym potomkom pionierów chęć radzenia sobie własnymi siłami. Oto na przykład grupa studentów zamarzyła w górach 600 metrów od hotelu. Dlaczego nie próbowali wrócić? Bo czekali na helikopter. Niemowlę sąsiadów dostaje drgawek wskutek wysokiej gorączki. Dlaczego nie przyłożycie mu chłodnych kompresów? Czekamy, aż

zadzwoń nasz pediatra. Louanna ma pewność, że mąż ją zdradza. Dlaczego milczy? Musi poradzić się swego psychoanalityka, który jeszcze nie wrócił z urlopu. W salonie Nugentów trzeba wymienić meble. Co stoi na przeszkodzie? Zbieramy pieniądze na specjalistę od wewnątrz. Kto z przybyszów nie zorientował się jeszcze, jak ochoczo ceduje się tu nawet najbliższe kwestie na fachowców, i jak dalece coś (co?) wyparło z ludzkich kontaktów zwykle ciepło (być może nawet, że będące gdzie indziej ciepłem zatłoczonej obory), ten obcując z miejscowymi grzęźnie w tasiemcowe qui pro quo: - Nie rozumiem, dlaczego musisz już jechać? - Moja koleżanka Bożena ma kiepski dzień. Nie dostała od dawna listu z domu i niepokoi się bardzo, że coś się tam stało. W dodatku spotkała ją przykrość w pracy. Jak wychodziłam, siedziała z ponurą miną w pokoju... - To jej problem, a nie twój. Czy znasz ją od dawna? - Noo, od miesiąca może. Ona dopiero tu przyjechała. - Więc to nie jest twoja przyjaciółka i nie ma powodu, żebyś przeżywała jej problemy. Higiena psychiczna polega na tym, żeby się wyłączyć. To śmieszne, wiesz, przejmować się cudzą sprawą tylko dlatego, że jest to ktoś tej samej narodowości. - Ale ona naprawdę kiepsko wygląda. Czuję, że powinnam z nią być... - To jadę z tobą. - A po co? - No, jak to po co, przecież jesteś cudzoziemką i nie wiesz na pewno, jak wezwać ambulans, mogę cię za to obciążyć finansowo i ... - Ambulans? Jaki ambulans? - No, do tej Bosheny. - Kiedy ona nie jest chora, tylko smutna, a ja pewnie się źle wyraziłam. - Smutek to też choroba. To depresja. To często się zdarza samotnym kobietom. Przyjdzie lekarz i pomoże jej. Da zastrzyk albo pigułkę. - Bożena nie ma depresji, tylko (mój Boże, jak jest po ichniemu "chandra") tylko ten... no, spleen. Trzeba ją pocieszyć. - No właśnie, spleen to stare określenie depresji. Może popełnić samobójstwo i ty będziesz miała problem. A psychiatra... - To, że coś się nie udało, nie jest powodem, żeby popełniać samobójstwo (dla nich może tak). Jej na pewno wystarczy, jak ja z nią... - Spytaj lekarza, to ci powie, jak często ludzie w desperacji popełniają samobójstwa. Nie można jej tak zostawić, ona potrzebuje pomocy. Jadę z tobą, chodźmy na parking. - Ale ona na pewno nie chce ambulansu. - To właśnie świadczy o tym, jak głęboka jest jej depresja. Trzeba wezwać ambulans! - Nie mogę tego zrobić, bo wiesz... (i tu nachodzi mnie olśnienie) my mamy taki narodowy zwyczaj, że jak ktoś ma depresję, to nie wzywamy lekarza, tylko siedzimy z tym kimś w jednym pokoju. Rada nie rada, Cindy ustępuje natychmiast. Skończyła przecież kurs antropologii kulturowej. Narodowy zwyczaj - rzecz święta. Każdy ma prawo do swych dziwactw, nawet jeśli są szkodliwe. Niech Arabowie mają trzy żony na raz, choć to niesprawiedliwe wobec kobiet, Polacy swoją kiełbasę z kapustą, choć niezdrowa, a Brytyjczycy swoją dziwną wymowę, choć niewygodna. Byleby tylko nie próbowali niczego narzucać tu, gdzie wszystko od początku zostało zorganizowane racjonalnie. Bez przesądów. Mark wykładowca Cindy, oburza się: wartościować poszczególne kultury ze względu na stosunek do słabszych i starszych? Pierwszy raz słyszę! Dla słabszych jest świetna opieka społeczna. A starcy? - Moja droga, myślenie utopijne. W dzisiejszych czasach, gdy doświadczenie życiowe odchodzącej generacji jest generacji wstępującej do niczego niepotrzebne, bo wszystko zmienia się w zawrotnym tempie? Wielopokoleniowa rodzina to antykwariat. Do tego nie ma powrotu. Jest niemobilna. I tłumnie aspiracje członków. Zanim ten wasz europejski sentymentalizm. Oddać Indianom ziemię, niech sobie hasają na koniach. Posadzić dziadka przy kominku, niech prawi wnukom o dawnych, dobrych latach. Czy ty na przykład rozmawiasz ze swoją babką? Stary człowiek potrzebuje pomocy i opieki, zgoda. Ale przecież nie masz do tego kwalifikacji. Nie jesteś geriatrą ani pielęgniarką, ani psychologiem. Nie mówiąc już o tym, że tracisz swój cenny czas na coś, co inni potrafią zrobić sprawniej i szybciej. Masz rację, ciociu Jadziu. Dobrze jest wrócić umrzeć do plemienia, w którym nie wszyscy jeszcze myślą, że życie to tylko ciągły ruch do przodu. Dobrze jest móc założyć chustkę na głowę i nie musieć więcej niczego udawać. Być sobie tym, czym się jest - "starą babą", a nie "seniorką", której każe się w jakiejś "Złotej Jesieni" zażywać witaminy, uprawiać jogę i patrzeć jasno w przyszłość. Źgłoś się do swego doktora Absencja chorobowa jest na Midweście rzadkim ptakiem. Przez siedem miesięcy w instytucji skupiającej około tysiąca osób naliczyłam dwa przypadki: kierowniczkę działu, która wzięła zwolnienie w przeddzień porodu i w dwanaście dni później normalnie funkcjonowała (Ruch Wyzwolenia Kobiet ma dopiero nadzieję wywalczyć urlopy macierzyńskie) oraz gońca, który złapał świnkę i oczywiście nie mógł narażać na nią kolegów. Papierka od lekarza nie wymaga się:

wystarczy ustne oświadczenie pracownika przez telefon. Pracownikowi jednak do tego nie śpieszno i zostaje w łóżku tylko w ostateczności. Choroba wali mocno po kieszeni. Pracodawcy płacą za efektywne dni pracy plus dwa tygodnie urlopu wypoczynkowego. W branżach o dużej sile przebicia istnieją prócz tego umowy zbiorowe, gwarantujące na przykład osiem dni płatnego chorobowego rocznie. Przeważająca statystycznie reszta może otrzymać zasiłek z Ubezpieczeń Społecznych - kwotę rozmaicie wyliczaną i niekoniecznie równą normalnej dniówce. Tu już trzeba mieć "podkładkę", a wizyta u lekarza kosztuje. Nie mówiąc o tym, że nieobecność - jeśli się nie jest wybitnym specjalistą lub zasłużonym fachowcem - oznacza zawsze poważną kreskę u bossa. Nieczynne okienko na poczcie, nieruchoma taśma produkcyjna, a nawet basen zamknięty z powodu braku ratownika - to rzecz nie do pomyślenia. Boss musi znaleźć zastępstwo i środki na dodatkowe wynagrodzenie. Nie ma więc zwyczaju pięścić się z kwękającym podwładnym: daje mu przy pierwszej okazji wymówienie z powodu "redukcji personelu", "modernizacji zakładu" czy co mu tam jeszcze przyjdzie go głowy. Jeśli tedy schorzenie wygląda na banalne, nie grozi czymś nieodwracalnym i nie rozsiewa się (zarażeni mogą wystąpić o odszkodowanie!), człowiek z Midwestu zwyczajnie "przetrzymuje". Zaopatrzwszy się w pobliskim drugstorze w furę pigułek przeciwbólowych, przeciwozapalnych, w inhalator, zestaw witamin i któryś z masowo komunikowanych "wzmacniaczy energii" (opartych na kofeinie), idzie do roboty ze swym czyrakiem, migreną, zwichniętą nogą, podrażnionym woreczkiem, broinchitem. I starannie ukrywa złe samopoczucie. Tak lubiane i celebrowane gdzie indziej rozmowy o dolegliwościach, a także manifestowanie niedyspozycją, budziły jawny niesmak: wieka słabość nie jest tu ani ozdobą, ani usprawiedliwieniem. O tym zresztą, co nieprzyjemne a realne, lepiej milczeć - gadaniem i tak niczego się nie rozwiąże; stękając zaś jedynie psujemy innym humor, a siebie samych demobilizujemy. Mimo poważnych racji ekonomicznych - ciało stanowi podstawowy czynnik w ostrej walce o byt i trzeba weń inwestować - dbałość tubylców o zdrowie przybiera rozmiary, które przybyszom wydają się groteskowe. I vice versa zresztą - stykając się z przywiezionym skądinąd stylem życia, w którym sprawy higieniczno-profilaktyczne nie odgrywają tak znacznej roli, ludzie z Midwestu załamują ręce nad "ciemnotą" i "lekkomyślnością" obcych. - I czemuż wy zjadacie po kilkanaście pigułek dziennie? Nie wyglądacie wcale na chorych - pyta Arabka nauczyciela angielskiego. - To nie są lekarstwa, tylko witaminy i mikroelementy. To takie substancje, które utrzymują organizm w dobrej... - Wiem, co to są witaminy. Ale przecież wystarczy to, co się je, a jecie dobrze. - Nigdy nie ma pewności, czy te substancje nie zostały wygotowane czy w inny sposób zniszczone. Witamina C ulatnia się błyskawicznie, a jej brak może spowodować infekcję, przeziębienie, a nawet skorbut. - No, to przecież można ją zażyć wtedy, gdy zaczyna być coś nie w porządku. - Wtedy jest już za późno, wtedy jesteś już chora. - Co komu pisane i tak go nie ominie, z witaminami czy bez. - Chyba nie zrozumiałaś tego, co ci tłumaczyłem. Witaminy są to substancje, które... - ... - Powiedz mi, Tyreza, czy u was w Polsce są dentyści? - Są, a dlaczego pytasz? - Ile razy spotkałam jakąś Polkę, brak jej połowy zębów, nawet jak ma koło trzydziestki. - Jak by ci to powiedzieć ... ("wybili, panie wybili" - coś jest w tym cytacie z Mroźka) bezpłatni dentyści leczą byle jak, a płatni są za bardzo drodzy, nie każdego na to stać. - Ale przecież te kobiety noszą futra. I kozuchy. Z prawdziwych zwierząt. Czy u was te rzeczy są tanie? - Nie są tanie, wręcz przeciwnie, w stosunku do przeciętnej pensji może nawet droższe niż tu, tylko... jak by ci to powiedzieć... niektórzy myślą, że dla wyglądu ważniejsze jest futro niż zęby. - O! To czy one nie wiedzą, że jak się nieprawidłowo żuje, przewód pokarmowy zaczyna źle funkcjonować, a z dziur rozsiewają się straszne bakterie, które mogą spowodować wiele chorób? Czy wy nie macie lekcji higieny w szkole? - Mamy, tylko... jak by ci to powiedzieć... mało kto się nimi przejmuje... - Słuchaj, czy ty uważasz, że taki lunch jest smaczny: sałata bez soli, niedopieczony kotlet, bezkofeinowa kawa, sacharyna, odtłuszczona śmietanka? U nas, we Francji, takie coś jadłby staruszek, a nie chłop w sile wieku! -Taaa, smaczne to to nie jest, ale co zrobić? Moja matka zmarła na zator wskutek arteriosklerozy, a ojciec miał wysokie ciśnienie. - Każdy ojciec albo matka na coś umarli lub umrą. Przecież nie ma sensu odmawiać sobie z tego powodu przyjemności. Tym bardziej, że ze wszystkiego, co widzę, nikt tu u was nie gustuje w wyrzeczeniach. - Lepiej się czegoś wyrzec, niż umrzeć przedwcześnie. I tak

strasznie ryzykujemy. Czy wiesz ile pyłu spada na nas z elektrowni? Czy wiesz, że w naszym stanie słońce operuje bardzo silnie i rak skóry zdarza się dwa razy częściej niż na północy? Kup sobie specjalny krem do twarzy i rąk, jeśli zostaniesz tu na dłużej. I używaj jodu - jesteśmy z dala od morza, możesz dostać niedoczynności tarczycy. ... - Cześć, nie wiedziałem, że ty też trenujesz rankami. Ale zaraz... w takim stroju to na nic. Musisz kupić sobie specjalny, ciężki dres, wtedy ciało się poci i tracisz więcej na wadze. - Kiedy ja nie po to, żeby się odchudzić... - Ach, chodzi ci o krążenie! W takim razie musisz więcej biegać, co najmniej dwie mile dziennie. Lekarze ustalili właśnie dokładnie, że... - Ja nie z powodu zaleceń lekarza. Lubię biegać. Lubiłem to jako chłopiec i cieszę się, że znalazłem się w kraju, w którym facet w średnim wieku może założyć spodenki gimnastyczne i nikogo to nie bulwersuje. Nie rozumiem tylko jednej rzeczy. Dlaczego wy biegacie skrajami szos? Smród, warkot. A wokół tyle trawników, drzew z ptakami, rosy... - Na trawie grunt jest nierówny i bardzo łatwo można zwichnąć nogę. Jogging nie daje żadnych efektów, jeżeli nie robi się go w szybkim tempie. Najlepiej biegaj razem ze mną, to ci pokażę, jak to ma prawidłowo wyglądać. - Kiedy ja nie oczekuję żadnych efektów. Po prostu lubię trochę poruszać się od czasu do czasu... - Głupstwa mówisz. Każdy człowiek po czterdziestce musi ćwiczyć. Inaczej dostaniemy choroby wieńcowej, różnych schorzeń kręgosłupa, rozedmy. Nie czytałeś statystyk? ... - Co tu się dzieje? Ewakuują nasz wieżowiec? - Nie czytałeś gazety, nie słuchałeś radia? Mamy epidemię odry! - Gdzie? Tu u nas? - W sąsiednim wieżowcu. Zachorowało dziecko Brazylijczyków. Teraz ma się lepiej, ale wczoraj sytuacja była niebezpieczna. Matka powiedziała reporterom, że mogło to przywlec z podwórka. - I kto jeszcze zachorował? - Na razie nikt. Za chwilę będą nas wszystkich szczepić i rozdawać środki dezynfekujące. Zwieź małą windą, im prędzej tym lepiej. I na wszelki wypadek kup pigułki przeciwgorączkowe. Dorośli mają często bardzo silny odczyn poszczepienny, jutro możesz się gorzej czuć. - Zwariowałaś, po co miałbym się szczepić. Chorowałam już na odrę, sophia chyba też. - Chyba czy na pewno? To bardzo ważne! - Nie pamiętam. Przechodziła różne dziecięce choroby z wysypką, kto by się tam w nie zagłębiał... - Ależ to znaczy, że jest nieodporna. Musisz ją natychmiast przyprowadzić. Sama też nie ryzykuj. Czasem nawet... - Jakie tu ryzyko? Tak się trzęsiecie jak przed dżumą. - Ty chyba nie wiesz, co mówisz. Odra może spowodować bardzo groźne powikłania, dwa lata temu, podawali w dzienniku, w Minneapolis jedno dziecko... Nic nie uprzytamnia lepiej wysiłku, jaki wkładają tubylcy w zapobieganie chorobom (i najstraszniejszej z nich - starości) niż inspekcja w przeciętnej łaźni. Wypucowana jak lustro wanna (niedomycie to grzybica), z uchwytami i szorstką wkładką na dnie (można się przecieź poślizgnąć). Komplet soli kąpielowych: pobudzających krążenie, nasennych, bakterioobójczych, rozmiękczejących naskórek, relaksowych. Specjalna dostawka do prysznicza, za pomocą której można sobie zrobić masaż wibracyjny. Dywanik z kładzionym na wierzch płatem ligniny - mokre stopy łatwo ulegają uprzednim. Taką samą ligniną okłada się sedes, zwłaszcza przed wizytą gości - herpes czyli opryszczka weneryczna, może w pewnych warunkach przenosić się także drogą pozapłciową. A dalej aparatura poza stomatologiczną: szybkoobrotowa szczoteczka, płyn do kontroli osadu nazębnego (zabarwia zaatakowane miejsca na różowo), płyn do płukania ust po posiłku, dental floss (nawoskowana nić do usuwania resztek pokarmu), papka fluoryzowana pasta do smarowania onbażonych szyjek, lusterko na patyku z powiększaczem. Stosy dezodorantów: pod pachy, na stopy i dłonie, do jamy ustnej, a także nosowej. Damski irygator - jak głosi napis, "przeszkadza mnożyć się bakteriom, przywraca równowagę kwasowo-zasadową, nadaje delikatny zapach fiołkowy". I coś dla panów, "pojędrnia naskórek, pomaga poradzić sobie z wydzieliną pod napletkiem, likwiduje skutki noszenia obcisłych slipów i spodni". Kremy obupłciowe, nawilżające, wysuszające, lecznicze, depilujące (zbędne owłosienie siedliskiem szczególnie złośliwych mikrobów), przed goleniem, po goleniu, na noc, na dzień, na dwór, do pracy, w podróż. Balsamy na ciało i włosy, które trzeba koniecznie wetrzeć po kąpieli - woda zmywa naturalną osłonkę, która chroni nas przed inwazją szkodliwych wpływów środowiska. Maseczki kolagenowe, przeciwzmarszczkowe, do usuwania wągrów, na gripę (zmniejszają wypieki) i złe trawienie. Prawdziwe szaleństwo w apteczce: oprócz soli mineralnych, witamin, trunkwilizatorów, aspiryn, opatrunków obowiązkowo musi się mieć: środki rozwalniające śluzówkę żołądka przed alkoholem oraz wodę selcerską w

pastylkach na kaca, inhalator (stale stosując oczyszczasz drogi oddechowe z pyłów i kurzu), krople profilaktyczne do oczu (zapalenie spojówek może prowadzić do utraty wzroku!), proszki uzdatniające krążenie, aparat ułatwiający relaksację (sygnalizuje wzmożone napięcie mięśni tykaniem), zestaw wątrobowo-trzustkowy, bez którego nie siada się do obiadu, mieszaninę błotnika z czymś brzydko pachnącym na pobudzenie ruchów jelit, aparat wibracyjny, wkładki do gimnastyki podbicia stóp. I czego tam jeszcze kto potrzebuje, w zależności od schorzeń. Ufff! A wszystko - jak zapewniają gospodarze i świadectwo własnych zmysłów - jest regularnie używane. Nic dziwnego, że skarżą się na ciągły brak czasu. Według mnie tkwi w tym bardzo głęboko podkład lęku, bo czyż - pytam zaczepionego na jakimś party psychoterapeutę - zachowania takie nie mają wyraźnych cech kompulsywnych? - Oczywiście, że się boimy. A czego? Tego, że człowiek bał się zawsze, cierpienia. Tylko widzisz - psychoterapeuta spędził osiem lat w Europie i umie rozmawiać nie konwersując - to jest tak. Ciemność w lesie znacznie mniej przeraża, gdy idziesz bez światła. Oswajasz się z nią po jakimś czasie. A jak idziesz z latarką, to, co znajduje się poza jej kręgiem, natychmiast zaludnia się upiorami. Im więcej kontrolujemy, tym bardziej boimy się tego, czego nie kontrolujemy. Im wygodniej i bezpieczniej się nam żyje, tym trudniej znosimy udręki, nawet bardzo drobne. - Jesteście kompletnie nieodporni na frustrację - wtrąca ktoś z Peru. Widziałem wczoraj, jak stateczny facet w średnim wieku skopał automat telefoniczny. Bo ośmielił się być zepsuty. Dzieci wyrzucają na śmietnik lalkę, której odpadła szmaciana noga, a kobiety - bluzkę, w której właśnie oderwał się guzik. U nas taki bachor dostałby lanie, a kobieta powędrowałaby z powrotem do matki. - I na ból - przytakuje ktoś z Dalekiego Wschodu. - Jak poprosiłem dentystę, żeby plombował bez znieczulenia, bo nie lubię potem chodzić pół dnia ze sparaliżowaną szczęką, to zleciała się cała klinika. Oglądali mnie niczym zielonego tygrysa. I co pięć minut pytali, czy na pewno dobrze się czuję. No bo przecież - mówili - mogę dostać szoku, zemdleć. Ale nic dziwnego. Od małego zaprawiacie się w tchórzostwie. Mój syn musiał się zaszczepić na coś tam, bez tego nie wpuściliby go do szkoły. Co za heca, tato, mówi potem. Najpierw pani psycholog mi tłumaczyła, że zastrzyk to tylko ukłucie. I że inaczej mogę dostać straszliwej wysypki. Później pokazywali mi pajęczki na ścianie i bajkę na wideokasie. A reszta beczała i wcale się nie wychylała. Wy nawet zwykłego ćmienia w głowie nie umiecie znieść. Poddajecie się od razu i sięgacie po stertę proszków. Jakby ćmienie takie nie sygnalizowało po prostu, że jest się przeciążonym. Jakby gorączka nie była oznaką walki organizmu, a bezsenność - dowodem jakiegoś konfliktu wewnętrznego. - A jakże łatwo ten drzemiący strach - nie wytrzyma socjolożka stypendystka - przeradza się w zbiorowy obłęd! Gdzieś tam pedofile porwali kilkoro dzieci. Mój Boże, cóż to znaczy - cztery wypadki na tak olbrzymim kontynencie! I już: kurs samoobrony po szkołach i przedszkolach, rozdawanie instrukcji, masowe czytanie o zbrodniach seksualnych, warty rodzicielskie. Tornado zaledwie prawdopodobne, ale każdy słucha komunikatów co minuta, ćwiczy ewakuację, straż i pogotowie w pełnym rynsztunku na skrzyżowaniach szos, lekcje odwołane. I tak co dwa tygodnie. Raz nikt nie je ogórków, bo ktoś tam wykrył, że wywołują egzemę u białych myszek; kiedy indziej kto żyw rzuca się na ogórki, bo w jakimś instytucie wykurowano nim podagrę u staruszków. To cholesterol, to kawa i herbata, to sól i cukier, to papierosy (nawet dwa dziennie), to rośliny "jonizujące-dodatnio", to płytki z winylu - co sezon to nowy Wróg Ludzkości Numer Jeden. Jak gdyby nie było oczywiste, że samo życie człowiekowi szkodzi. I w odwrotną stronę - to kłapie się w słońcu na golasa, to raczcie się witaminą E w dużych dawkach, to biegajcie minimum dwie mile dziennie, to spożywajcie rzeżuchę. Coraz to nowe panaceum. Wieści rozchodzą się po całym świecie, tylko na szczęście gdzie indziej ludzie mają inne problemy. Nie to mnie dziwi, że się takie rzeczy lansuje - bez tego umarlibyście z nudów. Dziwi mnie tylko ta stadność i całkowity brak sceptycyzmu. Skonfundowana pani domu podsuwa dietetyczną sałatkę z alfa-alfą, pan domu otwiera barek i serwuje po dodatkowym drinku. Zawstydzeni wracamy szybko do small talk. O ile ludzie z Midwestu potrafią śmiać się z polityków, nie brać serio zaleceń pastora i lekceważyć sobie apele rozmaitych reformatorów, o tyle słowa lekarza są dla nich święte. Dadzą się natychmiast zastosować w praktyce - a nic nie uśmierza niepokoju w tym stopniu, co sprężyste działanie. Dotyczą własnego, bezcennego organizmu. I są poparte niekwestionowanym autorytetem nauki - wiedzy opartej na rzetelnych liczbach.

Choć więc pojawiają się tu i ówdzie pierwsze sklepiki kalifornijskich zielarzy (oferujące głównie niesamowicie drogie kosmetyki na "osnowie naturalnej"), tubylcom zupełnie nie znana jest sztuka ludowo-domowego kurowania się z błahych dolegliwości. Ze zgrozą obserwują Hinduski, Arabki i Meksykanki zbierające coś w przydrożnych rowach - widzicie dzieci, to są właśnie znachorki, w niektórych krajach jeszcze... Otwierają szeroko oczy, gdy mówić im o dobroczynnym działaniu czosnku, kompresów czy przecieru z marchwi dla niemowląt. Rzeczy, których nierekomendują lekarze! Których nie ma w drugstore'ach! Potęga specjalisty jest tak wielka, że nikt tu - jak zdarza się to gdzie indziej - nie wątpi w jego wyroki, nie dopytując się o szczegóły kuracji, nie szuka porady u innych konsyliarzy, nie sugeruje diagnozy. Komentujemy w swojskim gronie przywiezioną przez kogoś historyjkę z Buffalo: ginekolog za kratkami. Wyciął kilkunastu pacjentkom "wszystko", zapewniając je o zaawansowanej chorobie nowotworowej. Dopiero ostatnia cudzoziemka - poprosiła o analizę wycinka na papierze. Łaziła dwa lata, zanim dopięła swego. Nikt jej nie wierzył. - Jeśli nawet nieprawdziwe - powiada Zdzychu - to dobrze wymyślone. Ich imponująca kultura medyczna kończy się na profilaktyce, na tym, co eskulapy raczą podrzucić na żer. Każdy potrafi wyrecytować, jakie mikroelementy siedzą w dyni, co powoduje cholesterol, jakim ruchem trzeba czyścić zęby trzonowe i ile kalorii winien dziennie spożywać człowiek wykonujący umiarkowaną pracę fizyczną. No, potrafią sobie jeszcze nakupić tych różnych "wytlumiaczy objawów" - tych wszystkich Tylenoli, Buffedrin, Nervin, Dramamin i innego paskudztwa bez recept, którego wszędzie pełno, nawet w automatach. Ale jeśli burczenie w brzuchu nie przechodzi po czyniącej cuda uniwersalnej tabletki, robią się kompletnie bezradni. Żadnego wyobrażenia o tym, co może być źródłem dolegliwości - tu można mieć wyższe wykształcenie i nie wiedzieć, po której stronie leży wątroba; od tego są fachowcy. Żadnych reakcji w rodzaju: każę sobie zbadać mocz, może to znów nerki. Od tego też są fachowcy. I zresztą nikt nie da pacjentowi wyników do ręki. Żadnych konsultacji po znajomych, prób z kleikiem lub gorącą herbatą z cytryną. Nie obnoszą się z chorobą, fakt. Ale jednocześnie nie są w stanie uwierzyć, że z większością niedyspozycji - z wyjątkiem tej ostatniej - organizm potrafi poradzić sobie sam. Od razu panika i wizyta u rodzinnego omnibusa. Wielki Szaman zarządza dziesiątki testów, z których nic nie rozumieją. I co orzeknie, to kupią bez mrugnięcia okiem. Przyznać trzeba, że Szamani starają się bardzo, by ktoś nie wziął ich za zwykłych śmiertelników. Praktykę lekarską inauguruje się nabyciem lokalu w jak najdroższej dzielnicy. Urządziwszy go antykami, dywanami i jak najnowocześniejszą aparaturą, konsyliarz kompletuje natychmiast co najmniej dwuosobowy personel: asystentkę i recepcjonistkę. Obie muszą być jak najmłodsze i najładniejsze. Podają błyszczące rekwiizyty, przeprowadzają wywiad z pacjentem, pomagają mu rozbierać się, przyjmują zapisy i czeki. Lecz przede wszystkim - i tego się od nich oczekuje - stwarzają klimat celebry, klimat dworu, na którym nie każdy, nie od razu i nie z byle czym zostanie dopuszczony przez sam majestat: - Czy jest pani stałą pacjentką doktora Murraya? Ach tak, żałuję bardzo, ale pan doktor Murray jest niezwykle zajęty, proszę skorzystać z usług innego lekarza. - Ból brzucha i wymioty? Proszę poczekać, doktor Murray zorientuje się, co może dla pana zrobić, zadzwonię za dziesięć minut. - Proszę usiąść. doktor Murray bada właśnie niezwykle skomplikowany przypadek i... Czy sądzicie państwo, że stać będzie państwa na kurację? Pan doktor Murray ma dyplom pierwszego stopnia. - Proszę mi wszystko opowiedzieć, pan doktor Murray podejmie decyzję, jak pomóc, dopiero gdy będzie mógł mieć jakiś pogląd na całość problemu. Rozumie pani chyba, że jego czas jest bardzo cenny. Pan doktor Murray może w tym czasie leżeć na kanapie i nerwowo obliczać mizerne wpływy od nielicznych na razie pacjentów ( na reklamę w gazecie trzeba dopiero zarobić). Ale inaczej mu nie wolno. Prestiż to kwestia podstawowa. W trosce o prestiż Amerykańskie Stowarzyszenie Lekarzy (gangsterów - poprawia zawsze Hal lewicowiec: jedyny, jakiego widzieliśmy w ciągu trzydziestu miesięcy) kontroluje limity przyjęć na uczelnie medyczne tak, by nie przekraczały liczby optymalnej dla interesów grupy. Duża liczba lekarzy oznacza spadek honorariów, papueryzację i degrendoladę - argumentuje się otwarciem. Stowarzyszenie popiera też "dziedziczenie" zawodu (syn lekarza może z góry liczyć na sówite stypendium), stawia twardy opór jego feminizacji (w naszym mieście na czterdziestu kilku "ogólnych praktyków" przypada tylko jedna "praktyczka", zresztą córką ordynatora szpitala), dyktuje najsurowsze na świecie warunki przy



nostryfikacji dyplomu. I oczywiście skutecznie blokuje ponawiane wciąż próby okiełznania opieki medycznej przez państwo. Gdy lekarzowi zacznie płacić nie sam pacjent, lecz anonimowy, zbiurakratyzowany urząd, załamię się poziom świadczonych usług. Nic przecież nie pobudza tak do pracy, inwencji i troski, jak bezpośrednia transakcja z klientem i pełna niezależność. Że niektórych, mimo wprowadzenia ubezpieczeń, nie stać na leczenie? Lepsze normalne prawa ekonomiczne, być może nawet bewzględne, niż równomierny podział byle jakości. Istnieją zresztą specjalne placówki dla ubogich, dotowane przez władze stanowe i różne instytucje filantropijne. Że jest tam tłoczno, brudno, mało humanitarnie, a lekarze jakby mniej kompetentni? Otóż właśnie, czy trzeba lepszego dowodu na to, do czego prowadzą zakusy na profesję, której - jak żadnej innej - należy się nieskrępowany rozwój? Stowarzyszenie Lekarzy dba również o to, by nauki medyczne otaczał nadal opar wiedzy tajemnej. W klinikach - nawet dla ubogich - nie rozdaje się żadnych broszur ani nie wylepia ich dydaktycznymi plakatami. O symptomach chorób wewnętrznych, sposobach zapobiegania ciąży, gimnastyce przedporodowej, postępowaniu z obłożnie chorymi, diecie, etc. eksperci informują indywidualnie, ustnie i odpłatnie. Wśród powodzi periodyków dla filatelistów, hodowców krokodyli, melomanów, dorosłych astronomów, iluzjonistów, religioznawców, zwolenników monarchii - nie ma ani jednego, który zajmowałby się ludzkim ciałem. Kąciki "medyczne" w magazynach i niedzielnych dodatkach do dzienników lansują wprawdzie kolejne przeboje - choroby Alzheimerera, nowy lek na łysinę, ostatnie doniesienia w sprawie etiologii grypy - ale rzadko kiedy zagłębiają się w szczegóły diagnozy i terapii. Wiodąca "atory" jest zwykle opowieścią z dreszczykiem, której happy end polega na ufnym oddaniu się w ręce wszechwiedzących i wszechmocnych specjalistów: pani X jadła właśnie śniadanie w towarzystwie męża i dwóch córek, gdy uprzytomniła sobie, że ma dreszcze. Pewnie to przeziębienie pomyślała. Dreszcze jednak nie przeszły, a w parę dni później dołączyło się do nich osłabienie, senność i bóle w kończynach. Lekarz rodzinny od razu skierował ją do szpitala, gdzie przeprowadzono wszystkie niezbędne badania. Po wyniki pojechałam z siostrą - wspomina pani X. Wybierałyśmy się razem po zakupy. I wtedy właśnie lekarze powiedzieli mi, że jestem chora na Y. W tym miejscu nastąpił wykład, zdobiony tabelami i planszami. Y jest schorzeniem atakującym głównie to a to. Objawia się przeważnie tym a tym, choć zarazem są symptomy towarzyszące także grypie, zatruciu pokarmowemu i podagrze. Rozstrzygające znaczenie ma test taki a taki, który wykonać może jedynie specjalista. Y bardzo często przebiega skrycie, dlatego jest rzeczą niesłychanie ważną zgłosić się do specjalisty po ukończeniu trzydziestego (lub pięćdziesiątego) roku życia. Zespół profesora Owakiego stwierdził korelację pomiędzy Y a częstym nadmiernym tym i tym. Profesor Zet natomiast powiedział naszemu specjalnemu wysłannikowi, że na Y tylko sporadycznie zapadają osoby, które nigdy nie paliły (piły alkoholu, opalały się na słońcu, używały papryki) i które zawsze uprawiały bieganie (jogę, medytację transcendentálną, surfinf). Oto statystyka. Jeszcze dwadzieścia lat temu Y była chorobą nieuleczalną. Kładziono ją na karb "starzenia się" lub "przedwczesnej sklerozy" Obecnie pani X ma ponad 50 procent szans na długotrwałą remisję. Na zakończenie zdjęcie pacjentki, uśmiechającej się pod aparaturą, choćby był to uśmiech obciążonej skórą szkieleciku, otulonego w druty i rureczki. W podobnym tonie utrzymywane są "Poradniki zawałowca", "Choroby zakaźne wieku dziecięcego" i inne wydawnictwa popularyzatorskie. Niezbyt klarowna symptomatologia, krzepiące zapewnienia o postępie, liczne przestrogi i obecna na każdej stronie zachęta do jak najczęstszych odwiedzin u człowieka w białym kitlu. Jeśli masz jakiegokolwiek wątpliwości, zgłoś się do swego doktora. Jeśli dokucza ci jedna z następujących rzeczy, zgłoś się do swego doktora. Jeśli mimo przepisanej kuracji nie czujesz się lepiej, zgłoś się do swego doktora. Jeśli potrzeba ci dokładniejszych wskazówek, zgłoś się do swego doktora. Jeśli nie jesteś pewien, czy twój niepokój ustąpił, zgłoś się do swego doktora. - Nawet szkoła napędza im klientów - śmieje się Lidka - popatrz, co dzieciaki przyniosły dzisiaj: Droga matko naszego ucznia. Komitet rodzicielski i dyrektor informują że w naszej placówce pojawiły się wypadki wszawicy. Są to małe owady, znoszące jajka na włosach, wywołujące dokuczliwe swędzenie. Mogą również przenosić różne niebezpieczne choroby, jak tyfus i czerwonka. Skontroluj głowę swojego dziecka. Jeśli znajdziesz coś, co przypomina to (rysunek), zgłoś się natychmiast do swojego lekarza. Chodźmy, może tu się da dostać naftę tylko nikomu nie mów, znów

nas wezmą za czarownice. No bo płyn na wszawicę to możesz być pewna, że tylko na receptę. Albo w gabinecie lekarskim. Jestem pewna. Nie tak dawno próbowałam - o święta naiwności - spełnić prośbę znajomej i kupić jej niedostępny nad Wisłą środek przeciw paradentozie. Zbrojna w szwajcarską ulotkę wkroczyłam do największego w mieście drugstore'u" - Czy macie państwo Rifadur? - Przepraszam, nie zrozumiałem. - Czy macie państwo Rifadur? - Pierwszy raz słyszę... - No to może występuje pod inną nazwą. To lek przeciw paradentozie. - Przeciw czemu? - Paradentozie. - Pierwszy raz słyszę. Proszę się zgłosić do swego doktora. - Nie mam swego doktora. Chcę to kupić dla kogoś. Proszę poszukać w lekospisie. Przeciw paradentozie. - Proszę zgłosić się do swego doktora. On zaleci odpowiednie lekarstwo, wypisze receptę i wtedy chętnie pani pomożemy. - Recepta chyba nie jest konieczna. To lek profilaktyczny, do smarowania dziąseł. O, tu jest ulotka, nawet po angielsku. - Proszę się zgłosić do swego doktora. Obszedłszy z podobnym skutkiem wszystkie drugstore'y w naszym mieście, a następnie w centrum stolicy stanu, walę wprost do najstarszego z nas stażem Czecha (jest już w zarządzie korporacji). No pewnie, że pierwszy raz słyszą. Tu prawie nie ma importowanych medykamentów, to dzięki Stowarzyszeniu Lekarzy. A faceci w drugstore'ach to najczęściej nie farmaceuci, tylko sprzedawcy. Musisz zajrzeć do spisu, porównać skład chemiczny, i... - Czy dostanę spis leków? - Przepraszam? - Szukam spisu leków, chcę w nim coś sprawdzić. - Przepraszam, ale to jest księgarnia. - Więc gdzie mogę dostać spis leków? - Wydawnictwa dla lekarzy są rozprowadzane na ich adresy. No, oczywiście, są także biblioteki uniwersyteckiej. Ustaliliśmy sygnaturę - dział encyklopedii i leksykonów - przemierzam półki. Nie ma. A przecież jest to księgozbiór podręczny, stąd nie wolno wypożyczać. Pewnie ktoś właśnie czyta. Albo odłożył nie na swoje miejsce. - Proszę pani, nie mogę znaleźć na półce spisu leków. - Proszę o licencję lekarską. - Ależ dlaczego? Chodzi mi o sprawdzenie czegoś... - Zgodnie z zarządzeniem Stowarzyszenia Lekarzy tego rodzaju publikacje mogą być udostępniane tylko fachowcom. Są to sprawy wysoce specjalistyczne i nie wolno nam... - Niech pani posłucha. Chcę kupić dla kogoś lek, ale nie wiem, pod jaką nazwą występuje tu na rynku. - Proszę zgłosić się do swojego lekarza. Tak będzie dla pani najlepiej. Nie ma rady, trzeba wybrać się do Donny, asystentki medycznej. - Słuchaj, czy twój boss ma spis leków? - Oczywiście, a jaki masz problem? - Poproś go, żeby w nim sprawdził, jak się u was nazywa o to, tu masz ulotkę po angielsku, u nas tego nie ma i ktoś mnie poprosił... - Czemu ten ktoś nie pójdzie do swego doktora? - Nie potrafię ci tego dokładnie wytłumaczyć, no, u nas medycyna jest... jakby w innym stadium, nie ma lekarstw na pewne choroby albo jest ich za mało, no, ja to muszę kupić, może zajrzesz sama, bo... - Tego zrobić nie mogę. Ale poproszę doktora. Powiem mu, że to dla mojej kuzynki ze Szwajcarii. Z amerykańską nazwą na karteczce, przeklinając znajomą znad Wisły zaczynam znów odyseję po drugstore'ach. Nie mają, nie prowadzą. Piszę więc list do fabryki w Ohia. Odpowiedź jest błyskawiczna. Droga pani Holowka, Foulestin jest specyfikiem produkowanym wyłącznie dla potrzeb stomatologów i rozprowadzanym na indywidualne zamówienie. Radzimy zgłosić się do swego doktora. Z szacunkiem Ian Grim, prezes. - Czy mogę widzieć się z doktorem Jakobsem? - Czy jest pani jego stałą pacjentką? Ach, tak. A kto do nas panią skierował? - Donna Doughten, asystentka doktora Perelmana. Z Drugiej Wschodniej. - Miło mi panią widzieć. Proszę mi podać nazwisko, adres, telefon. Więc jaki jest twój problem, Tyreza? - Ja nie... nie mam problemu. Szukam leku o nazwie Foelestin i właśnie... - Rozumiem, chodzi o ogólny przegląd, nie masz bólu ani innych dolegliwości? Wypełnimy teraz kwestionariusz. Przebyte choroby? Grupa krwi? Czy nie cierpisz na hemofilię? Jak reagujesz na narkozę? Czy jesteś uczulona na jakieś leki? - To nie ja jestem pacjentką, to znaczy ja, ale chodzi mi o lek, a nie o badanie, to nie ma nic wspólnego ze mną, to znaczy ma, ale... - Panie doktorze to nasza nowa pacjentka, Tyreza, ja nie bardzo mogę ustalić, na czym polega jej problem... - Proszę otworzyć szeroko usta, dwójka plomb amalgamat, trójka do natychmiastowego wypełnienia, pęknięte szkliwo na szóstce, teraz dół, lewa czwórka wymyta plomba, prawa szóstka odsłonięta szyjka, obfity kamień nazębny. Na razie cztery plomby plus oczyszczenie, razem dwieście osiemdziesiąt, radziłbym też położyć szybko koronę na dwójkę górną, to martwy ząb, może się rozlecieć. A teraz proszę przejść na rentgen, sto dwadzieścia, i jak prześwietlimy wszystkie zęby, będę mógł powiedzieć coś definitywnego. Nie wiem czy się orientujesz że najbardziej niebezpieczne ubytki są

niewidoczne gołym okiem. Promienie pozwolą nam je zobaczyć. I niezależnie od tego, konieczna jest korekta zgryzu. Nieprawidłowy zgryz powoduje wypadanie plomb i różne inne... - Chwileczkę, ja nie chcę się leczyć! Tu zaszło nieporozumienie. Nie chcę leczyć zębów ani zgryzu. Poszukuję leku na paradentozę, który... - Paradentozę? Po skończeniu leczenia dam ci, Tyreza, skierowanie do doktora Weinreicha, specjalisty od chorób dziąseł i śluzówki. Doktor Weinreich przyjmuje we wtorki i piątki. Ursula poda ci numer telefonu. A teraz podaj nam rodzaj twego ubezpieczenia. Blue Cross? Ursula wyśle im rachunek, dostaniesz część zwrotu kosztów. Płacisz razem trzydzieści pięć, ogólne koszty kuracji oceniałbym w granicach czterystu. - Za co płacę? Przecież ja... - Za przeprowadzenie wywiadu i ogólną egzaminację. Czy tam, skąd jesteś, nie ma lekarzy? - Nie rozumiem, o co ci chodzi - martwi się Donna - przecież jeśli to lekarstwo można dostać tylko od stomatologa, no to doktor Jakobs jest bardzo dobrym stomatologiem. Sama do niego chodzę, i Jack, i dzieci. - Kiedy widzisz, ja... ja nie wiedziałam, kto inny jest od plomb, a kto inny od dziąseł. - No, to chyba oczywiste. Jeśli masz kłopoty z dziąsłami, musisz iść do specjalisty. - Ale przecież mówiłam ci, że to nie ja mam kłopoty, tylko moja znajoma. Jak pójde do tego Weinreicha, znów bulnę za wywiad i przegląd... - No, to chyba oczywiste. Żaden lekarz nie może zacząć kuracji, jeśli nie wie, z kim ma do czynienia i nie orientuje się w ogólnym stanie. - Kiedy jeszcze raz ci mówię, że to nie o mój stan chodzi! - To ja nie wiem, co zrobić. Żaden lekarz nie może wziąć na siebie odpowiedzialności za czyjeś rozpoznanie, bez dokładnego zbadania. Przecież jeśli zapisze receptę, która nie pomoże albo zaszkodzi, zawsze są różne uboczne skutki, na przykład lek na jaskrę potrafi zaszkodzić na serce, zdarzają się nawet zapaści to jego zaskarży się o odszkodowanie. - Gdzie zaskarży? Z drugiego końca świata? I jakie tu skutki uboczne może mieć mazidło na dziąsła przeciw paradentozie? - Nie jesteś lekarzem więc nie wiesz. I on nie wie, w co może się wplątać... Ale znajoma tak bardzo prosiła. I zawsze potrafiła wytrząsnąć skądś czytelnikowską serię "Panorama". Układam chytry - jak mi się zdaje - plan i po przeglądzie u doktora Weinreicha przystępuję do rzeczy: - Niedługo wracam do kraju, w którym leczenie paradentozy znajduje się na etapie mniej zaawansowanym. Widzę, że mam tego początki. I wszystkie kobiety w mojej rodzinie na to zapadały. Jest bardzo prawdopodobne, że za kilka lat, gdy nie będę mogła tu przyjechać, choroba się rozwinie. Bardzo bym prosiła, żeby zapisał mi pan Foulestin, słyszałam, że to najlepszy środek, a będę panu bardzo wdzięczna za pomoc. - Widzę, że ktoś cię, Tyreza, źle poinformował. Rzeczywiście, masz początki paradentozy, jak każdy człowiek w twoim wieku. Ale paradentozę występuje w różnych odmianach i musimy dokładnie ustalić, co jest jej tłem w twoim przypadku. Musimy zacząć od skorygowania zgryzu i poprawienia kształtu plomb. Bez tego nie ma mowy o skutecznym podejściu do jamy ustnej. Zgryz to sprawa absolutnie podstawowa! A potem musimy zrobić wszystkie badania. Rentgen zębów, posiew bakteryjny, równowagę kwasowo-zasadową, analizę krwi i moczu. I dopiero wtedy będę mógł podjąć decyzję, czy zastosujemy Foulestin czy inny środek. - Ale czy nie można by... jakoś to obejść. Ja wezmę na siebie ryzyko, podpiszę oświadczenie, Proszę tylko o Foulestin. Tego... zalecił mi mój dentysta. Jeden kłopot w tym, że u nas nie produkuje się Foulestinu. - Wszelkie leczenie zaczyna się dokładnym postawieniem diagnozy. Każda choroba przebiega inaczej w zależności od indywidualnych cech organizmu. A zwłaszcza paradentozę, którą warunkuje wiele czynników, przesądzających o kierunku terapii. Gadaj zdrow, jak dotąd nikt nie wie, skąd się paradentozę bierze. Telefon do wuja do Chicago pozwala uporać się ze sprawą w kilka minut. Wypisuje czek na adres firmy polonijnej, która wysyła do kraju dowolny lek z wyjątkiem narkotyków. Bez pytań, recept i strachu o odszkodowanie. Ha, mądry Polak po szkodzie. Gdybym od początku była w Chicago... Albo w Buffalo czy Cleveland. Tam łatwiej ze wszystkim. Dążenie do skupisk etnicznych jest zdrowym odruchem zarobkiewiczów i świeżych emigrantów. W zwartej terytorialnie, wielkomiejskiej enklawie Włoch, Litwin, Polak, Meksykanin, Ukrainiec przetrwa między swoimi. Znajdzie pracę na "lewo" - istnieją całe agencje, trudniące się dostarczaniem taniej, nielegalnej i zawziętej siły roboczej. Przemieszka się i przeżywi w jakimś rodzinnym kołchozie. Może posługiwać się od rana do wieczora ojczystym językiem, kupować żywność, do jakiej przywykł, chodzi do własnej parafii. Może iść do "oswojonego" przez krewniaków i znajomych adwokata, pośrednika, kupca, lekarza, który rzecz jasna, policzy sobie, ale tak całkiem w

maliny nie wpuści. Przymknie oko na przepisy, zrozumie od razu w czym rzecz. W enklawie człowiek nie zginie, choć zarazem się nie wychyli. Zakosztuje tego, czym jest Ameryka, zza osłabiającej impet bariery. I albo zostanie już do końca w jej zasięgu, albo odważy się i przekroczywszy ją ruszy między obcych, albo też - z oszczędnościami, z których poza enklawą przeżyłby może rok, a które w Starym Kraju czynią go osobą zamożną - wróci, skąd przyjechał, dając kolejne świadectwo mitowi. Mitowi o drugiej stronie rzeki, gdzie trawa jest bardziej zielona i nigdy nie pada deszcz. Po swoich pobytach na stypendium wiemy, że trawa okazuje się czasem grzęzawiskiem, a deszcz nie tylko pada, ale nawet potrafi zlać od stóp do głów z najmniej spodziewanej strony. Więc jadąc tym razem całą rodziną staramy się być zapobiegliwi. Główna sprawa to dobrze zaopatrzona apteczka, nie pamiętasz, jak to wtedy poleciała mi jedna trzecia pensji na komplikacje pogrypowe? Zapakuj banki, suflamidy, antybiotyki. No i "Krótki zarys chorób wewnętrznych", tam nie dostaniesz. Trzeba też zrobić wszelkie możliwe badania, a nuż jakaś nadkwasota albo stan zapalny, tam przecież rujnuje najbardziej nie chirurgia, tylko schorzenia przewlekłe, w których bez przerwy coś się dzieje. Nitecki zbierał na cztery kółka i wszystko poszło w miesiąc jak na zaciętym palcu zrobił się wystrzał, od zastrzału zakażenie, a od zakażenia niedowład palca. I wiesz, ubezpieczajmy się. Roczna składka na Blue Cross jest dość wysoka, ale czort wie, jest nas czworo, tobie często wysiada serce i w ogóle to przecież dwa lata... Pewnego dnia Starsze przelewa się przez ręce, czterdzieści stopni, chyba angina, tylko czemu tak strasznie boli tył głowy? I kark jakby trochę sztywny... zapalenie opon? Co robić? Nie mamy swego doktora. Blue Cross zwraca część kosztów opieki medycznej wedle zasad, których nie umiemy ani rozgryść, ani spamiętać. Połowę za plomby, ale nic za przegląd stomatologiczny i wywiad, i to pod warunkiem, że nie przekroczyło się w danym roku jakiegoś łatwego do osiągnięcia pułapu zabiegów dentystycznych. Inaczej refunduje się usługi pielęgniarki, inaczej lekarza, a wedle tego, czy jest on "ogólnym" praktykiem, czy też specjalistą. Specjaliści tworzą hierarchię, na której szczycie plasują się jakoby psychiatry i zakaźnicy (wielki Boże!). Procent odzysku - lekarzowi płacimy natychmiast czekiem, a Blue Cross wysyła zwrot kosztów dopiero po paru tygodniach - zależy także od rodzaju choroby, kategorii placówki leczniczej, obligatoryjnego czy fakultatywnego charakteru przeprowadzonych badań i innych parametrów, znanych w szczegółach tylko urzędnikom w stolicy stanu. Nie kwapi się więc nam pod skrzydła ludzi w białych kitlach. Byłoby oczywiście dobrze mieć "swego doktora" - rodzinnego omnibusa, który w tutejszej służbie zdrowia jest alfą i omegą. Odpowiada na każde wezwanie, dokonuje regularnych kontroli, kieruje do specjalistów zbiera ich raporty, wiezie chorego do szpitala, pełni tam funkcję lekarza prowadzącego, zasięga opinii innych, steruje rekonwalescencją, trzyma cały czas rękę na pulsie, dosłownie i w przenośni. Byłoby dobrze, ale jak zdecydować się na ten niewąski haracz? - Do takiego gościa - tłumaczył mąż - trzeba się zgłosić, i powiedzieć, że prosisz o generalny przegląd. Zakłada ci kartotekę. Najpierw wywiad, z godzinę to trwa, interesują go zwłaszcza choroby dziadków. Potem dokładne obmacanie. Potem, częściowo we własnym gabinecie, a częściowo w klinice, robi ci masę analiz i prześwietleń. Tyle mniej więcej, ile u nas przed poważną operacją. Zawsze coś znajdzie, czegoś się uczepli. Od tego momentu stajesz się jego pacjentką - to znaczy możesz dzwonić całą dobę. Przez jakiś rok. Wtedy recepcjonistka dzwoni do ciebie i przypomina, że upływa właśnie termin koniecznego dla twego zdrowia przeglądu. Jeśli się nie zgłosisz - jeśli on nie będzie miał z ciebie jakichś co najmniej dwustu-trzystu zielonych rocznie - zostaniesz skreślona z rejestru. Nie będzie go w domu, ani w gabinecie, choćbyś nawet miała zawał. Więc pomyśl, czy jest sens w naszej sytuacji? Tyle ludzi obyło się bez swego doktora i my jakoś damy sobie radę. - Bierz teraz książkę telefoniczną - wołam mierząc Starszemu temperaturę po raz chyba dziesiąty - i rób coś! Ale co właściwie można w tej sytuacji zrobić? Doktor Martinus zajęty, doktor Mac Leod wyjechał właśnie na weekend, recepcjonistka doktora Larsena protestuje, doktor nie jest pediatrą. A kto jest? Proszę spytać swojego doktora. Szukamy w książce dalej. Doktor Goffman, choroby dziecięce. Przy nazwisku - "zniżka dla niemowląt", widać nietęgo mu się powodzi, może doktor Goffman... nie, nie ma dzisiaj czasu, bardzo nam przykro... No cóż, to właściwie było do przewidzenia. Spróbujmy u znajomych. - Słuchaj, Mike, dobry wieczór, chcemy cię prosić o pomoc, Tomek zachorował, bardzo wysoka gorączka, czy tu u was lekarze nigdy nie

przyjmują osób, które nie są stałymi pacjentami? A czy ty nie mógłbyś zadzwonić w tej sprawie do waszego doktora? Aha, aha. To co się robi, gdy ktoś nagle zachoruje? Aha. No to cześć, pozdrów Sarę i dzieciaki. - Powiedział, żebym sam zadzwonił - wyjaśnia mąż - do tego Martinusa. A w ogóle to jedzie się do szpitala, na emergency, to takie ichnie pogotowie. Przypomnij sobie, jak było z małym Leśniewskim. Z nim będzie to samo. Zawieziemy i złączymy od testów. Proszę się nie denerwować, to nie wygląda groźnie, ale musimy wykluczyć szkarlatynę, zapalenie płuc, perforację wrzodu i co tam im jeszcze ślina na język przyniesie. Wyniki będą rano, ale proszę się nie niepokoić, siostra Cecylia zajmie się dzieckiem w nocy, to najlepsza z naszych sióstr, ani się spostrzeżesz, wlepią nam pielęgniarkę. A potem zasugerują, że dziecko bez matki przeżywa silny stres, co przy gorączce i tak dalej, więc wstawimy pani do jego pokoju dodatkową kozetkę, a salowa zaraz przyniesie koce i kolację. Dadzą mu garść pigułek, głowę dam, że jakiś piramidon i coś na sen, tobie oczywiście tego nie powiedzą, a dla wrażenia i ozdoby przysuwają jakiś aparat, na przykład nawilżający powietrze. Na drugi dzień przyjdzie całe konsylium, powiedzą, że jest lepiej, ale że trzeba jeszcze wykluczyć półpasiec i koklusz, co, rzecz jasna, wymagać będzie dodatkowych testów. W końcu ogłoszą, że to angina - bo ja ci mówię, że to angina, on ją zawsze ciężko przechodził - odeślą po dalsze wskazówki do naszego doktora i każą sobie wypisać czek. Może być nawet na tysiąc. A zważ, że na koncie mamy pięćset i Bóg raczy wiedzieć, ile z tego czeku zwróci Blue Cross. A jak zwróci, to najwcześniej za dwa tygodnie. Tak, tak może być tysiąc: za dyżury siostry Cecylii, za twój nocleg i kolację, to też policzą,, za dwie doby pobytu w szpitalu, za zastosowaną terapię, za konsultacje laryngologa i za te wszystkie testy, z których dziewięćdziesiąt procent można by z góry odpuścić. I nigdy się nie zgadnie - ton męża robi się refleksyjny - ile z tych testów przeprowadzili z asekurancją, a ile z chęci nabicia sobie kabzy. Tak jak nikt nie wie dlaczego tu jest o wiele więcej cesarskich cięć niż w innych krajach Zachodu. Kosztuje ono dwa razy tyle co normalny poród, więc niby jasne, w czym rzecz. Ale postaw się też w sytuacji położnika - niech no się tylko niemowlak przydusi trochę, czy nie daj Boże urodzi martwy, to rodzice zaraz wszczynają proces o odszkodowanie. Czy zrobiono wszystko? Dlaczego nie zdecydowano, że trzeba zrobić operację? Błędne koło. Ci zdierają skórę, a tamci, gdy tylko mogą, starają się urwać jak największe odszkodowanie. A jemu damy antybiotyk, ten sam, co go babka z rejonu wypisywała, kompres na czoło, napar z lipy, zamiast tak się gapić i jutro zobaczymy! Gorączka spada i dni toczą się dalej bez służby zdrowia. Dochodzą tylko różne relacje. Na przykład Iwy o wizycie w Centrum Planowania Rodziny, dotowanym przez władze federalne: - Poszłam do nich, bo za poprzedni krążek, u zwykłego ginekologa, poleciało sto pięć z wywiadem i badaniem. Podaję rozmiar, nic z tego. Konieczny jest najpierw test cytologiczny. Tłumaczę, że robiłam trzy miesiące temu. A czy ja wiem na pewno, co to test cytologiczny, komórki i rak, wyciągają plansze, dają wykład. Atmosfera jak w sklepie, ta sama natarczywość. A ja się zaparłam, bo za taki test Blue Cross zwraca tylko raz do roku. Pytam, czy nie można by dostać jakiegoś damskiego środka bez tych wszystkich wstępów. Owszem, proszę spytać w drugstworze. Jest gąbka jednorazowego użytku, według starej egipskiej recepty, trzy dolary sztuka, ostatnie odkrycie badaczy. Machnęłam ręką i kupiłam tę gąbkę. A zgadnijcie, czym ona jest nasączona? Maj wzięła to do laboratorium po godzinach pracy. Wodą z kwasem cytrynowym i środkiem konserwującym. Albo Cassie, miejscowej pielęgniarki, o ciężkim dniu w pracy: - Doktor Waicukausky (Wojciechowski?) przywiózł na izbę przyjęć starego farmera. Dla mnie sprawa oczywista, robię w tym czternaście lat, atak astmy. Więc mówię, że zaraz przyniosę respirator i wszystko, co trzeba. A on na to, że to jego pacjent i żebym się nie wtrącała. Nie jestem tu po to, żeby stawiać diagnozy. I z pyskiem do dyrektora administracyjnego. Musiałam go publicznie przeprosić za wkraczanie w nie swoje kompetencje. Ja mam dwanaście tysięcy rocznie. A takiemu bubkowi po studiach dają z miejsca trzy razy tyle (Cassie przyjechała z Irlandii i ciągle jeszcze nie umie się zaadaptować). Albo Ole o wypadku w domu: - Przyszedł do mnie komiwojażer i zemdlał. Leję wodą, klepię po policzkach, charcze dalej. No to dzwonię po ambulans. Przyjechali okazuje się, zapaść cukrzycowa. Za cztery tygodnie przychodzi rachunek. Za wezwanie ambulansu. Komiwojażer nie był ubezpieczony. Nie był też bezrobotny ani na tyle robotny, żeby mógł sam za siebie zapłacić. Skoro instytucje dobroczynne odpadają - one

mogą pokryć rachunek tylko takiemu, co jest klientem opieki społecznej - kogoś trzeba obciążyć. Wypadło na mnie, bo ja dzwoniłem. Teraz już wiem, skąd te ciała na chodnikach w Nowym Jorku. Na drugi raz na pewno dziesięć razy pomyślę, zanim wezwę. Sto pięćdziesiąt to dla mnie duża suma. Tyle płacę za pokój. Gdy więc pod koniec naszego pobytu muszę sama jechać do szpitala, co chwila łapię za klamkę taksówki: - Nie, nie, wiesz, może samo przejdzie, a może by zadzwonić do Cassie ale prawda, ona wyjechała do rodziców, może by jakoś ten lęk wymodziła, co zrobić, trzeba jechać. W apteczce domowej pustki, skończył się zapas propranolu, a tu napad częstoskurczu, nic nie pomaga, ani uciskanie gałek ocznych i zatoki szyjnej, ani wywoływanie wymiotów, pewnie to od tej cholerycznej pogody, 36 stopni w cieniu i wilgotność. Na podjeździe stoją paramedycy - sanitariusze - z noszami. - Serce? To prosimy emergency, niech pani się kładzie, głęboko oddycha i rozluźni wszystkie mięśnie. Za chwilę będzie pomoc. Na emergency szereg jednoosobowych boksów, w każdym potężne łóżko z automatycznie podnoszonym podgłówkiem i podnóżkiem przy łóżku kilkanaście aparatów. - Tylko bez żadnych testów - warczę - ja wiem, co mi jest, mam swego doktora i rozpoznanie. To jest zespół WPW, tak, tak, Wolffa-Parkinsona-White'a, po prostu skończył się lek, o, tu jest opakowanie, tak, jest skład chemiczny, trzeba mi dać cztery miligramy, niech ktoś to przeliczy na wasze, u was zdaje się, ten lek nazywa się "Inderal". Nie, nie jestem lekarzem. Proszę to prędko dać, bo spada mi ciśnienie... Za kilka minut przechodzi. Paramedycy wciskają szklanekę soku pomarańczowego. Czy nie mogłabym prosić o parę tabletek dodatkowo? Przed nami długa podróż... Niewiarygodne, dali. - I popatrz - szczerze wzruszony mąż - tylko czterdzieści za wszystko. Za tydzień zjawia się rachunek pocztą. Też na czterdzieści. Ech, widać i tu mają bałagan. Kasjerka szpitalna nie zauważyła, że zapłaciliśmy od ręki. - Nie, proszę państwa - tłumaczy - to nie pomyłka. Ten czek był za skorzystanie z emergency. A to jest honorarium dla doktora Libermanna. Gdy już siedzieliśmy na walizkach, przyszło zawiadomienie z Blue Cross: Szanowny panie Holowka. Skorzystanie z emergency nie podlega naszej refundacji z wyjątkiem przypadków, gdy pacjent jest tam kierowany przez swego doktora. W związku z wykryciem u pańskiej żony trwałego schorzenia kardiologicznego rodzinna stawka zostaje podwyższona o piętnaście procent. Ale jakość usług medycznych jest tu doprawdy najwyższa na świecie. Purytanizm i postęp Z listu do rubryki "Rady i porady": Droga Doświadczona. Byłam szczęśliwą mężatką, dopóki nie zauważyłam, że Jim nosi pod ubraniem kobiecą bieliznę. Powiedział mi, że robi tak od wielu lat. Nie wiedziałam o tym,, bo zawsze przebierał się w łazience. Teraz mamy już dwoje dzieci, a Jim zachowuje się coraz dziwniej. Maluje paznokcie u stóp i sypia w przezroczystej koszuli z koronkami. Mówi, że inaczej czuje się nieszczęśliwy. Martwię się o dzieci, co pomyślą, gdy się o tym dowiedzą. Czy on jest homoseksualistą? Po pracy wraca prosto do domu i spędza wszystkie wieczory z nami. Czy jest na to jakieś lekarstwo? Mąż odmówił pójścia do psychiatry. Nikogo tym nie rani, powiedział. Gdy powiedziałam, że rani mnie, odparł: to ty idź. Ty masz problem, a nie ja. W ostatnim miesiącu zaczął tuszować rzęsy. Co robić? Droga Zmartwiona. Jim jest transwestytą. Transwestyci zwykle poprzestają na przebieraniu się. Nie ma na to żadnego lekarstwa. Możesz mi wierzyć, albo nie, ale Jim sam ci udzielił najlepszej rady. Musisz pójść do psychiatry i dowiedzieć się więcej o zachowaniu Jima. Twój lekarz wskaże ci kogoś odpowiedniego. Uszy do góry! A dzieci na pewno rozumieją, gdy wyłożysz im całą sprawę spokojnie, bez pruderii i rzeczowo. Z rubryki: "Zapiski policyjne" w tym samym numerze prowincjonalnej popołudniówki: Michelle Henderson, lat 21, zamieszkała North Grant 516, aresztowana za fałszerstwo czeku, wypuszczona za kaucją. Lawrence M. Fenwick, lat 29, zamieszkały w dormitorium Eigenmanna, pokój 432, aresztowany za podglądanie (wszedł do żeńskiej szatni na basenie), wyszedł za poręczeniem dziekana Sojki. Rober M. Siudakoff, lat 53, zamieszkały West Zikes 126, aresztowany za kradzież (paczki prezerwatyw w sklepie Hooka), wypuszczony za kaucją 400 dolarów. Elizabeth Gary, lat 18, zamieszkała w domu korporacji Phi Beta Kappa, aresztowana za obrazę urzędnika państwowego. Joel L. Sanimares, zamieszkały Road 4327, aresztowany za napastowanie i gorszenie dziewczynki, osadzony w więzieniu miejskim. Z tygodnika studenckiego: w ramach Tygodnia Zboczonych w najbliższy wtorek odbędzie się parada z pochodniami na Głównej Ulicy. Po paradzie wspólny obiad (dochód na ofiary Aids) i nabożeństwo w

Uniwersyteckim Centrum Międzywyznaniowym. Sprzedaż broszur i programów w Memorial Unin. Poradnia Planowania Rodziny. Kwestionariusz - kobyła, ale w nim takie na przykład pozycje: imię, nazwisko, adres, telefon w domu i w pracy, rok studiów, szkoła. Przebyte choroby, data rozpoczęcia pożycia seksualnego (miesiąc, rok). Liczba dotychczasowych partnerów. Data rozpoczęcia pożycia z aktualnym partnerem, stosowane dotąd metody antykoncepcyjne. Liczba niepowodzeń. Żonaci i zamężne: imię i nazwisko współmałżonka, miejsce pracy telefon do domu i pracy. Jeśli prosisz o sterylizację, konieczna zgoda współmałżonka, poświadczona notarialnie. Z drobnych ogłoszeń: Dolina Topól, klinika kobieca w Vermont. Przerwanie ciąży metodą próżniową do 12 tygodnia, metodą operacyjną do 20 tygodnia. Niskie opłaty. Dyskrecja zapewniona. I tuż obok: Linia Macierzyństwo. Przeżywasz stres? Nie czujesz się gotowa być matką? Bądź odważna, pomożemy ci. Zespół doświadczonych psychologów, ginekologów, pracowników społecznych. Na życzenie kapłan. Zniżki dla samotnych! Wielu przybyszów nie wie (i do końca się nie dowie), że to właśnie w naszym mieście ma swą siedzibę słynny Instytut Seksuologiczny, założony przez Kinseya. Na budynku nie ma szyldu; wstęp tylko z osobą wprowadzającą, która gwarantuje, że gość ma na względzie cele wyłącznie badawcze. Wchodzę z panią dziekan Wydziału Spraw Kobięcych (jedyne na świecie, jak zapewniają), poznaną przed kampusowym kinem, pikietowanym przez feministki z okazji projekcji "Głębokiej gardzieli" (rzecz o panience, którą kaprys natury obdarzył clitoris za migdałkami). Oświadczyłam wówczas zezłoszczonym siostrzycom, że też jestem przeciw ale tak się złożyło, że nigdy nie widziałam, jak się poniża kobietę na filmie. Przepuściły. Na Instytut składała się przede wszystkim imponująca biblioteka: kilka pięter literatury, także pięknej, z zakładkami w odpowiednich "momentach". Pokażna kolekcja pornografii z całego świata, od chińskich sztychów i niemieckich "pieprznych" pocztówek aż po aktualne numery skandynawskich czasopism. Małe muzeum utensyliów - sztuczne penisy na skórzanych paskach, używane przez lebijki (vide "Żywoć pań swawolnych"), prezerwatywa z owczego jelita, VI wiek naszej ery, a także to wszystko, co oferują katalogi współczesnych firm wysyłkowych: wibratory, maści, płyny "elektryzujące" i "zwilżające", fikuśna bielizna, także męska (z przebojem sezonu, slipami "złoty paluch"), foteliki, lusterka, gadety (jest nawet pudełeczko z nakręcanymi figurkami, znane z "Piękności dnia"). W podziemiach mieszczą się laboratoria, wstęp tylko dla personelu. W tej chwili rozpracowuje się dwa problemy węzłowe: "Wydajność orgazmiczną w warunkach bezpośredniej stymulacji klitoralnej" oraz "Nie znane dotąd korelaty różnic w rozmiarach narządów płciowych". Pani dziekan zaciera ręce. Nauka w końcu wszystko wykryje! Wstępne wyniki badań, na pierwszy temat sugerują niedwuznacznie, że "wydajność" kobieca przewyższa znacznie analogiczną "wydajność" męską. To dlatego właśnie od tylu wieków nas dołują, zwykły strach przed otwartym przyznaniem się do słabości. A skąd się biorą badane i badani? Och, różnie. Część to pacjenci poradni; udział w eksperymentach stanowi część "odblokowującej" terapii. Poza tym studenci, bezrobotni, gospodynie domowe. W końcu na tym można całkiem nieźle zarobić. A ile? Za zwykły stosunek pod monitorami para dostaje po dwieście dolarów na głowę. - Nie, ogłoszeń nie dajemy. Wyłamałiby drzwi. Mamy przecież kryzys ekonomiczny. Chce mi się śmiać z tej bezbrzeżnej wiary w potęgę szkiełka i oka. Przypominam sobie "nową ideę" w ostatnim numerze Psychology Today. Pracownik uczelni w Ann Arbor proponuje następującą procedurę: nie wiadomo, co sądzić o relacjach osób, które twierdzą, że będą w stanie śmierci klinicznej przebywały poza własnym ciałem. Zwykle podają one, że mogły obserwować siebie z jakiegoś punktu pod sufitem. Wydaje się więc, że łatwo to przetestować. Wystarczy tylko wprowadzić do obowiązkowego wyposażenia oddziałów reanimacyjnych długie kołdry z wymalowanymi na jednym brzegu kolorowymi figurami geometrycznymi, na przykład czerwonym trójkątem, fioletowym rombem, zielonym kwadratem etc. Część kołdry z figurą byłaby przewieszona przez podnózek łóżka tak, aby leżący nie mógł jej widzieć. Tych, którzy po ocknięciu się zaczną opowiadać o niezwykłych doznaniach eksterioryzacyjnych, można będzie zapytać o kształt i kolor figury na kołdrze. Redakcja Psychology Today popiera ideę i ogłasza otwarcie specjalnego funduszu na ten cel. Magistrantka pani dziekan ma pomysł jeszcze efektowniejsze. "Czy kobieta może zgwałcić mężczyznę?" - głosi tytuł pracy, a w podtytule "Studium semantyczno-filozoficzne". Wbrew pozorom gwałt to nie

zmuszenie kogoś do odbycia z nami stosunku - jest to kategoria zbyt nieprecyzyjna i mało wyjaśniająca - lecz, jak dowodzi tego analiza znaczeniowa "spenetrowanie na siłę i zbrukanie". Może więc kobieta zgwałcić mężczyznę. Musi tylko uzbroić się w jakieś narzędzie, na przykład w ogórek, i wykorzystać otwór analny. A zbrukanie? Nic prostrzego, są przecież pomyje, kał, uryna... Tak, panie wyładowują z siebie tłumioną dotąd energię. Koleżance pani dziekan zdarzyło się kiedyś zwiedzić kilka krajów wschodnioeuropejskich. Atakuje tupiąc nogą: - Róbcie coś, kobiety na miłość Boską! Przecież wy tam jesteście kompletnymi niewolnicami! Rano każda do pracy, po pracy do kolejki, z kolejki do garów. Cackacie się z tymi chłopami jak z nieświeżym jajkiem! Uprasowana koszulka, sweterek zrobiony na drutach, może być, kochanie zmienił żarówkę, a może być poszedł sobie na piwko... Istne Arabki, a nawet gorzej niż Arabki! Przecież jesteście wykształcone, a w domu nagle kompletnie głupiejecie! - No właśnie - udaje mi się wpaść w słowa - też mam wrażenie, że swoje apele kierowałyście do tej pory w niewłaściwą stronę. Z czego wy tu chcecie kobiety wyzwalać? Prowadzenie domu - maksimum dwie godziny dziennie. Zakupy - całą rodziną, w sobotnie przedpołudnia. Prasowanie - czynność dawno zarzucona. Nie znacie też przetwórstwa domowego, prania pieluszek, tarcia marchewki na soczek, łatania bielizny pościelowej, krochmalenia obrusów i innych konkurencji, które my uprawiamy od rana do wieczora. Żadnych piwek ani brydzyków dla pana domu. Wasz chłop po pracy zmywa naczynia i kąpie dzieci, a jak chce gdzieś wyjść, musi dać na babysittera i wychodzicie razem. Nawet poderwać, biedak nie może samodzielnie - kończę speech, przypominając sobie różne widoki, które z początku szokują przybysza: te panienki ciągnące za rękę do tańca; te amazonki całujące i obejmujące chłopaków na kampusie; tych dorosłych brodaczy ze zwycięskiej drużyny baseballa, którzy pięściami musieli sobie torować drogę między entuzjastkami. - To prawda - przytakuje przy innej okazji Kazimierz, dorodny stypendysta - one tu pierwsze podrywają. Ale czort je tam wie, wedle jakiego klucza. Ja już nic nie rozumiem. Nigdzie się tyle co tu nie nasłuchałem od bab o seksie - że sól życia, że niezbędny, jak oddychanie. Niby wyzwolone. I co? I nic. W moim akademiku nie można się wieczorem dopchać do telefonu, dziewczyny wiszą na słuchawkach, każda umawia się z czterema na raz. U współwspacza nigdy nie widziałem dwa razy tej samej twarzy, co dzień to inna. Sami wiecie, co się dzieje po meczach na tylnym parkingu przy stadionie. A ja żyję już ponad rok w kompletnym celibacie. W życiu nie miałem takich kłopotów. Nice to meet yoy, i po wszystkim. Co jest grane? - Boś dureń - poucza Sigi, Norweg na kontrakcie - ja też z początku nie wiedziałem, w czym rzecz. Nigdy nie przyznaj się żadnej, że jesteś tu tylko czasowo. O, nie. Wystąpiłeś o prawo stałego pobytu. Starasz się o robotę w Rand Corporation. Albo przynajmniej w sklepie Krogera. Masz spore oszczędności. One, człowieku robią to na prawo i lewo, ale wcale nie z każdym. Tylko z takim, który choć trochę perspektywiczny. Może być żonaty, byle starszy, takiego łatwo rozwieść. Decydują już w pierwszej minucie, kto odpada, i jadą na całego. W końcu któryś się trafi na męża. Czysta przyjemność? Tu życie nie jest bajką. Jak one teraz się nie złapią, to przepadły. - Pewnie, pewnie - z goryczą wtrąca swoje trzy grosze Margot, czterdziestoletnia okulistka o wielkiej urodzie - tu jest couple-oriented society, społeczeństwo stadeł. Dwupłciowe "paczki", komuny i inne wspólnoty kończą się wraz ze studiami. Potem już wszystko idzie parami. Nie wślizgniesz się w żadną szczelinę, a im jesteś ładniejsza, tym gorzej dla ciebie. Ile razy zacznę rozmawiać na jakimś party z kolegą, choćby nawet o pacjencie, którym się razem opiekujemy, zaraz jak spod ziemi wyrasta żoneczka. O czym mówicie, honey? Boli mnie głowa. Przynieś mi drinka. Albo: ta nowa babysitterka, honey, jakoś dziwnie wygląda, lepiej już chodźmy. Chłop to konto w banku, nie można go spuścić z oka ani na chwilę. W Starym Kraju nigdy nie miałam kłopotów towarzyskich z tytułu swej samotności. A tu jestem zapraszana - tak jak każda "singlówka" - tylko na przyjęcia stojące i ściśle zawodowe. Bo nie mam nikogo do pary, a więc psuję symerię przy stole. No coś ty, naprawdę jeszcze nie zauważyłaś, że na proszonych obiadach i kolacjach sadzają małżeństwa obok siebie? Nawet rozwód to zwykle prosta odmiana par, ja z twoją żoną, ty z moją. Bo inaczej zostawiona na lodzie baba wścieknie się, weźmie dobrego adwokata, orzekną rozwód z winy chłopca i jest załatwiony finansowo do końca życia. Jak adwokat doświadczony, to nawet dwie trzecie pensji zaharapczy na alimenty. W ogóle chłop musi się tu pilnować, one się nie patyczkują. Tu nie ma żon alkoholików,



hazardzistów, dziwkarzy, awanturników - żadnych cierpiętnic! Jeśli taki "nie spełnia należycie obowiązków małżeńskich" - łóżkowych też, a coście myśleli? - to fora ze dwóra, byleby tylko - adwokat już o to zadba - zaprzeczył pokrzywdzoną materialnie. Wcale się nie dziwię, że tu tylu pedałów... - W głowie im się poprzewracało - sapie Dragomir - od tego dobrobytu i łatwego życia. Czy wy wiecie, że w moim biurze - sześcuset ludzi - co drugi gość to zбоч. Zupełnie się nie wstydzą, podaje taki rękę czy mówi cześć komuś, kto pierwszy raz go na oczy widzi, i od razu: na imię mam Dave, jestem pedałem. Nie, nie, to nie oferta, kobietom też się tak przedstawiają. Tylko patrzeć, aż ta ich wspaniała cywilizacja rozleci się z hukiem, w starożytności też zaczęło się od takich degeneracji... - Niekoniecznie od dobrobytu - prostuje tubylec - wręcz przeciwnie. Czy ty zdajesz sobie sprawę, co oznacza założenie rodziny? Zaciągasz kredyty, kredyty i kredyty - na dom, na samochód, na lodówkę, na meble, na firanki, na te różne przedmioty, bez których twoja pani domu nie wyobraża sobie życia. Zakładasz sobie pętlę na szyję do końca swoich dni. To już lepiej zadawać się z mężczyzną. Zamieszka z tobą i nic nie wymaga. A jak przestanie mu się podobać, po prostu pójdzie sobie. Bez adwokatów, bez alimentów. Wlokąc się z Ooną na party dla pań nie mam żadnych skojarzeń. Damska wódka to damska wódka, może nie będzie small talk. Obie targamy własnoręcznie sporządzone sałatki - zaproszenie przypomina o "przyniesieniu wikt" - pada deszcz, autobusy nie jeżdżą, dziś niedziela. Jesteśmy więc mocno spóźnione, ale drzwi gościnne otwarte, ze środka dobiega hinduska muzyka. Oona wsadza nos i parska śmiechem. - God damn it, Tyreza, one zapomniały, że ja wysłałam za męża! W środku przyćmione światła. Po kątach, na dywanie, na pufach, kanapkach jednopłciowe pary w strojach porozluźnianych. W sumie około trzydziestu kobiet i takąż średnia wieku. Siadamy w kuchni, za chwilę zjawia się gospodyni, fertyczna instruktorka tańca ludowego. - Bardzo mi miło, Tyreza, cieszę się, że Oona cię przeprowadziła. Zdziwiona? No tak, jak dotąd tylko u nas dokonuje się tu potężna rewolucja. Pierwszy raz w dziejach świadomie odrzuciłyśmy związki, w którym nie ma naprawdę partnerstwa, jest tylko wyzysk i dominacja. Tylko kobieta może dać kobiecie prawdziwą czułość. Tylko kobieta może w nas rozwinąć spektrum doznań erotycznych... Wracamy do Oony. Dobrze byłoby napić się czegoś. Lecz przecież dziś niedziela. Pozamykane sklepy z alkoholem i bary - prawo naszego stanu zabrania wyszynku w dzień Pana. Skończy się na piwie z puszki. A szkoda. Bez wódki nie razbieriesz. Co włożyć do garnka? - Moglibyśmy przejść na wegetarianizm - oznajmiam po dwu miesiącach pobytu zgromadzonej przy stole rodzinie. - Nie jestem sensatką, ale słyszałam straszne rzeczy. Tylko o nowoczesnych metodach tuczenia. Czy wy wiecie, że taki wół stoi całe życie na metalowej siatce, w ciemnościach, w maleńkim boksie? Wpychają mu hormony, od których jest ciężko chory i tak spasiony, że muszą go podtrzymywać na specjalnych pasach. Fioła zwierzę dostaje! No a gdzie jak gdzie, ale tu można naprawdę ręki do tego nie przykładać. Orgia jarzyn przez cały rok.! I to jakich jarzyn - kontynuuję w monologu wewnętrznym, gdyż rodzina (której młodsza część widzi befsztyki po raz pierwszy w życiu) zgłasza zdecydowane desinteresement. Jarzyn kolorowych, wymytych, błyszczących, popakowanych w różnej wielkości porcje z wybitą wagą i ceną. Pcha się do wózka w supermarkecie dwa strąki papryki, pół avokado, garść rzodkiewek, paczuszkę świeżej rzeżuchy oraz kiełków pszenicznych, główkę słodkiej fioletowej cebuli, bakałazan, jakąś sałatę (jest tego kilkanaście gatunków; nasza nazywa się "bostońska" i kosztuje najdrożej), listki szpinaku, ogórek, torebkę poszatowanej kapusty, seler naciowy, patison, rzepę i co tam jeszcze wpadnie w rękę. W domu włącza się rozdrabniacz, wysypuje wszystko na olbrzymią michę (powinna być z drewna), posypuje "krutonami" (gotowymi maleńkimi grzankami) i zalewa którymś z kilkudziesięciu robionych przemysłowo sosów. Zjada się to na zakończenie obiadu, przed kawą i deserem złożonym z owoców (rozsądni ludzie pozostawiają lody i łakocie dzieciom). Analogiczne danie serwują w każdej szanującej się knajpie - pośrodku sali stoi zawsze kulinarny ołtarz, "salad bar", tj. pojemnik z przegródkami pełnymi jarzyn. Surowych, ale także gotowanych, pieczonych na ruszcie, marynowanych. Za mniej więcej dolara każdy pakuje sobie na talerz, co chce, i przyprawia, czym chce. Zupy natomiast są potrawą prawie nie znaną, jeśli nie liczyć jakiejś "pot-au-feu" czy "polewki z piwa" w restauracjach etnicznych. No, może jeszcze kremu z żółwia, który czasem sporządzają ambitniejsze panie domu na szczególnie wystawne okazje. Podobnie, jak nie znane są

kopytka, kluchy, pyzy czy pierogi i inne pracochłonne sposoby zaspokajania głodu kalorycznego. Mąka - tak, ale wyłącznie jako kulinarne tło. Jeśli więc makaron, to ginący pod stertą warzywno-serowo-ziolową. Jeśli zapiekanka, to złożona z cienkiej warstwy ciasta i grubej rzeczy właściwej, na przykład: szpinaku z jajami, kabaczką, czosnkiem, fasolą i pieczarkami. Jeśli naleśnik, to tylko po to, by zapewnić chrupiące obleczenie dla nadzienia owoców w glazurze anyżkowej albo ze szparagów pod beszamelem. I jeśli w dodatku zważyć, że cudeńka te można kupić gotowe (w foremce, które wkłada się na kilka chwil do rozgrzanego piekarnika) lub w postaci półproduktów, nie ma chyba nic prostrzego, niż być tu konsekwentnym rzecznikiem praw wołu czy świni. Nie jest się skazanym z tytułu przekonań moralnych na dietę monotonna, tuczającą i okradającą czas. Prócz owoców i warzyw ma się jeszcze pod sobą królestwo nabiału. Ot, takich choćby jogurtów z różnorodnymi dodatkami i w niezliczonych odmianach - są nawet ubite na pianę z żelatyną, przysmak dzieci. Zawiesiste, pożywne, mogą starczyć za cały lunch. Albo serów ze wszystkich zakątków świata, podzielonych na nieduże porcje, w sam raz na "zab". Nie mówiąc już o "snacks" (przekąskach), sporządzanych z wszelkich ziaren i orzechów: od znanej wszędzie prażonej kukurydzy po wymyślne zestawy z fistaszków, pszenicy, wiórków kokosowych i pędów bambusa. Wegetarian jest więc sporo. Pracuje dla nich cała sieć gastronomiczna - w najmniejszej dziurze istnieje lokalik bezmięśny - i cały przemysł. Są specjalne ферmy drobiarskie, które dostarczają jaj bez zarodków, są fabryki kielbas, pasztetów, konserw (także dla psów i kotów), które robi się z soi i przysmacza sztucznymi substancjami. Ogólna struktura spożycia ma zresztą to do siebie, że niewegetarianin różni się od wegetarianina właściwie tylko wyborem głównego dania obiadowego. Do fury jarzyn dorzuca sobie plaster krwistej wołowiny z patelni lub rusztu (gotowanie i duszenie zabija witaminy) bądź w ten sam sposób sprokurowany kawałek drobiu. Przybyszom z krajów północnych i mało zamożnych na tutejszej diecie spadają błyskawicznie brzuchy. Zaczynają im błyszczeć włosy, cera wygładza się. Znika gdzieś nadkwasota, zgaga, ociężałość w nogach. Chyba nawet wyprostują się plecy. Zwłaszcza gdy są to plecy pani domu. Czy ja kiedykolwiek zdołam - medytuję nad jakimś listem z Warszawy - przywyknąć z powrotem do tego zaczynania od najważniejszej kwestii: co włożyć do garnka? Do siat, z których zawsze coś się leje albo wysypie. Do obierania włoszczyzny i utyłanych w błocie kartofli. Do sklepów warzywnych, gdzie poza kwaszoną kapustą i ogórkami nie ma nic jadalnego. Do palców kaleczonych przy obróbce łykowanego mięsa, wydartego jakiejś nieszczęśnicy, do której "nie doszło". Do lepienia godzinami pierogów, hamując cały czas nieprzepartą chęć, by szurnać to wszystko za okno i raz zbuntować się. Do męczących rozmyślań na temat, jak zrobić obiad, gdy ryby nie było od miesiąca, śmietany nie dowieźli, jajka są tylko chłodnicze, a kartki właśnie się skończyły. Tu obiad robi się w dwadzieścia minut. Szast-prast na patelnię befsztyk, zбиты tłuszczem i posolony już w sklepie (co oni dodają do tłuszczu, że nie pryska i nie przypala się?). Do tego na przykład mrożonka z kukurydzy, zielonego groszku, brokułów, fasoli i papryki (jak to się dzieje, że nie traci koloru i nie przekształca się w papkę?). Albo ryż lub makaron "precooked", spreparowany w ten sposób, że jest gotów po pięciu minutach. Albo kalafior z puszki. Albo po jednym kartoflu z Idaho na głowę (jak go hoduja, że piecze się kwadrans?). Micha wielowarzywnej surówki i po kubku pachnącego tłustego mleka prosto z lodówki. Dzieci mają po porcji lodów, my po jabłku. Jak się człowiekowi nie chce brudzić rąk, wstawia do pieca pełne drugie danie w foremce (w jednej przegródce udka z kury, w drugiej - jarzyna, w trzeciej - legumina). Jak się nie chce akurat zmywać, dzwoni się do pizzerii i za parę minut przywożą nam, co trzeba, wraz z jednorazowymi talerzykami, kubkami, sztućcami, gorącą kawą, sałatą i rachunkiem, których ludzi mających stałą posadę nie przyprawia raczej o bicie serca (idealne wyjście na wypadek nagłej choroby, gości, etc.). Albo zapuszczamy wóz i ładujemy w którymś z tanich barów, gdzie zamawiamy sobie na przykład... - Boże złoty - wzdycham u Macdonalda. Ciepłe frytki. Kawałki drobiu, obtoczone w ziarnie sezamowym, usmażone we wrzącym oleju arachidowym. Sos jabłeczny. Dla Starszego - głodomora gigantyczny hamburger. Ciasteczka bananowe. Cola z lodem. Czyste blaty. Bez smrodów i kolejki. Za jedyne osiem zielonych, czyli może o jednego - półtora więcej, niż wydałabym w domu. A tam - wspomnienia napływają ostrą falą - tam nawet w Wielki Piątek i w Wigilię trzeba główkować, czym tu napaść w południe burczące brzuchy, które nijak nie chcą zrozumieć,

że mamy wielkie przedświąteczne sprzątanie, rozbambetloną kuchnię i tyle jeszcze do zrobienia. Brzuchy nie rozumieją też nigdy, że matce właśnie łeb pęka, że wyłączono w osiedlu dopływ wody, że zmarła prababcia, że przyszli kuć ścianę, że trzeba piorunem robić chałturę "na wczoraj", że nie zdążyło się kupić tego i owego. Brzuchów nie można nigdzie odesłać. Cokolwiek by się działo, człowiek płci żeńskiej nad Wisłą nie wywinie się od wkładania włoszczyzny z gnatem do gara i zagniatania mąki na stolnicy; od spędzenia jednej połowy dnia w ogonkach, a drugiej między zlewem, gazem a stołem. No i wywołałam sobie wilka z lasu. Po mniej więcej pół roku wielkiego żarcia na Midweście rodzina zaczyna nadawać coraz dziwniejsze teksty: - Wiesz, zjadłbym sobie... no, kwaszonego ogórka. Albo kapusty. Tak mi się zachciało czegoś... zdecydowanego... - Mamuś, a kiedy będzie gulasz z kaszą gryczaną? - I z sosem grzybowym! Tak dawno już nie jedliśmy! - Mają przyjść Eisenbergowie. Więc, no... chyba nie damy im pizzy? Trzeba będzie zrobić coś naszego, może te... pierogi? - Mamo, dlaczego ty nigdy nie upieczesz placka ze śliwkami? - Tak gorąco... Chciałoby się jakiegoś chłodnika... - No ale święta, to przecież musi być barszcz z uszkami i śledź, i karp w galarecie. Ja ci, mamuś pomogę, tylko żeby było tak zawsze! Właściwie można się było spodziewać. Mali ludzie są zwykłymi kulinarnymi konserwatystami; powtarzalność - tak, tak, potraw też! - daje im poczucie ciągłości, bezpieczeństwa, posiadania "domu". Dla dorosłych zaś podniebień dociera po jakimś czasie fakt, że tutejsze jedzenie - choć zdrowe i wygodne - jest jednak w smaku osobliwie jałowe. Nie pomagają nawet wypadki w midwestową haute cuisine. Pamiętając "Szanghaj" na Marszałkowskiej z wczesnych lat siedemdziesiątych, wybieramy się pewnego dnia do chińskiej restauracji w downtownie. Ceny mało umiarkowane. Są za to egzotyczne nazwy, skośnooki personel, obrusy haftowane w smoki i, rzecz jasna, pałeczki. Kelner udziela obszernych informacji. Tak, to brzmi zachęcająco. Tato, mamo - woła Młodsze. Ten materiał w smoki można kupić u Searsa, dziewczynki z mojej klasy robiły z tego kostiumy na Halloween. Podobnie rzecz się ma z "wołowiną po pekińsku". Taka sama nazwa, jak w puszcze "Chou-Mein" z pierwszego lepszego supermarketu. Pożywne, ale nic nadzwyczajnego. Po prostu duszony zraz z pieczarkami - no, tak, do grzybków mun trochę tu daleko - i ryż na sypko. Innym razem jedziemy wraz z pracownikami pewnej Szacownej Instytucji na "biurowe party" z okazji Gwiazdki do bardzo - ale to bardzo - wykwintnego lokalu daleko za miastem. Pachnie jakby "Sagą rodu Forsyte'ów": wejście tylko za zaproszeniem. Rzeźbione sufity, żywy ogień na kominkach, u drzwi sinobrody majordomus w liberii, serwetki z jedwabiu, porcelanowa zastawa. Decydujemy się na to, co wszyscy: podobno specjał firmowy. Po drinkach wnoszą sałatkę z fasoli i ziemniaków, obłożoną wokół ananasek, marynowaną kukurydzą, plasterkami banana, zieloną pietruszką, pistacjami i jeszcze czymś, co wygląda jak szpinak. - Weź mi hamburgera - szepczę do męża - bo mnie to tuti-frutii jakoś nie idzie. Jedno słodkie, drugie kwaśne, trzecie pieprzne, czwarte miętą zaprawione, żadnej idei wiodącej... - Im bardziej się starają, tym gorzej wychodzi - mruczy Brazylijczyk, z którym degustujemy pospołu clou programu na pożegnalnym obiedzie u profesora L. Przed chwilą kucharka (wynajęta dla splendoru w hotelu) wniosła na tacy olbrzymiego łososia. Tubylcy wydają okrzyk zachwytu. Może to i łosoś, tyle że przygłuszony kompletnie jakimś seledynowym sosem, aż skrzącam się od kawałków galaretki w kolorze rubinu. - Ja tam czuję aptekę coś jakby syrop na kaszel a ty? - pyta Armando. - Wyobraź sobie tylko - tryska entuzjazmem Talitha (razem pracujemy w bibliotece, razem dojeżdżamy autobusem) - na Siódmej Wschodniej otworzyli prawdziwą, wiedeńską kawiarnię. Herbata z imbryka, domowe wypieki. Ja stawiam, będziesz wreszcie miała to, za czym tęsknisz! Życzliwa dusza, zakonotowała sobie widać mój idiotyczny wybuch sprzed paru tygodni: nic mnie nie obchodzi, że Sean ma urodziny! Posiedzę sobie przez ten czas w hallu. Sto razy ci mówiłam, że nie nadaję się do tego. Od small talk dostaję obłądu. I mam po dziurki w nosie tych waszych wypieków, czy to ze sklepu, czy to własnych! Mdli mnie od nich! Poszło o midwestowy rytuał celebrowania ślubu, urodzin, podwyżki, przeprowadzki, rodzicielstwa, awansu - kto by się spodziewał, w miejscu pracy. Oczywiście nie w godzinach służbowych. Wszyscy odbijają na kartach godzinę wyjścia. Zsuwają razem kilka stolików, wytaczają na honorowe miejsce maszynkę do kawy. Solenizant rozkłada słodkości; jeśli to kobieta, muszą być własnoręcznie wykonane. I przez kwadrans kilkudziesiąt osób, które rzadko kiedy

wymieniają cokolwiek poza pozdrowieniem (można pracować z kimś przy sąsiednim biurku i nic o nim nie wiedzieć - rozmowy prywatne są absolutnie niedopuszczalne), usiłuje stworzyć atmosferę "wielkiej fajnej paczki" nad kawą w plastikowym kubku oraz ciastem ("wspaniałym", "zawrotnym", "niesamowitym"), które za każdym razem przedstawia się tak samo: karbowany w muszelkę, twarde spód (kupuje się go w mrożonych porcjach), pokryty żółtą lub brązową paciagą (sporządza się ją z dyni lub marchwi, lub jabłek z dodatkiem cukru i cynamonu) i ozdobiony bitą śmietaną z tuby oraz całą masę kandyzowanych owoców, "groszku" we wszystkich kolorach tęczy, liter z marcepanu, figurek z piernika. Śliczne to, tyle że moim zdaniem niejadalne. - No to co wy podajecie na urodziny albo dzieciom na deser? - spytała wtedy Talitha. - Nie mieliście w Starym Kraju ciasta czy jak? - Mieliśmy, mieliśmy - uspokoiłam ją, ochłonawszy nieco po durnym wyskoku - tylko zupełnie inne. Kładło się na stół mąkę i wyrabiało rękami. Potem rozpuszczało w mleku drożdże i czekało, aż wyrosną. Albo brało żółtka i ucierało drewnianą łyżką razem z cukrem pudrem w takiej, no... glinianej misce z rowkami... - No to musieliście mieć bardzo dużo czasu - rozwiązała problem Talitha - nic dziwnego, że Europa w tyle została... Teraz jedziemy na Siódmą Wschodnią. No proszę, nawet tort Sachera w karcie. I rzeczywiście, zbrzydła już człowiekowi herbata z torebek, ciekawe, czy należą do szklanki czy do filiżanki? I co za urocze wnętrza, jakby "Kamienne Schodki" na Starym Mieście, zanim sprawa się rypnęła. Talitha aż piszczy z uciechy: prawda, jak elegancko? Panienska w sukni do ziemi (skąd ja znam tę buzię? Z telewizji? Z okładki?) opowiada nam historię tortu. Dawno temu, w Austrii, to taki kraj za Atlantykiem, gdzie rządził cesarz w koronie... Recytuje listę składników, dobranych wedle oryginalnej receptury, kto chce, może ją zobaczyć na ścianie, pod szkłem, to po pradziadku właścicielki. Zachęca, byśmy niezwłocznie skosztowały także strucla z wiśniami. I koniecznie wybrały jakiś dodatek do herbaty, na przykład tłuczoną wanilię albo kroplę likieru... - Tylko bez dodatków - ucinam - ja chcę zwykłej herbaty. Panienska wnosi na tacy gliniane kubki z wytłoczonym lwem. - Bardzo mocna - trwoży się Talitha - nie wiem, czy mi nie zaszkodzi, doktor powiedział, że mój żołądek wydziela za dużo soków. Mmmmmmm, nie, to jest nadzwyczajne, olśniewające, nie uważasz? Zaraz sobie odpiszę recepturę. Co za szczęście, że urodziny obchodzę w czasie urlopu! Spróbuję zrobić ten tort. Miałaś rację, to coś naprawdę oryginalnego. Tylko teraz gębę na kłódkę - gromię się w duchu, żując trójką masy, która... no, tak, po prostu "bajaderka". A słodka, aż mdli. I po co ten anyżek? Dyni pewnie też dołożyli. Siedź cicho, kretynko. Jesteś w gościach. I keep smiling. Przy rachunku Talitha blednie. Zbiera od roku na studia w szkole weterynaryjnej. Pokrywamy po połowie. - Chyba jednak nie zrobię tego tortu, Tyreza. Nie wiedziałam, że to tak kosztowne. Ale właściwie nic dziwnego. Muszą tyle rzeczy sprowadzać z tak daleka. I ręcznie zagniatać. - Mam, mam już dość! - wykrzykuję na ulicy - przecież ta panienska pracowała dotąd w dziale gospodarczym w "Targecie". - No tak - tłumaczy Talitha - w sklepie nigdy nie wyciągniesz tyle, co w tak eleganckim lokalu. Wiesz, ja bym na twoim miejscu zaciągnęła pożyczkę w banku i otworzyła coś takiego. Znasz się na tym, no a produkty to mogą ci przecież krewni wysłać... Niechby tak przysłali suszonych prawdziwków - rozmarzam się któregoś dnia. Albo słoik chrzanu. Rodzina przy stole nadaje coraz więcej dziwnych tekstów. A i mnie samą coraz bardziej bierze ochota na coś... zdecydowanego. Człowiek doprawdy jest głupim stworzeniem, a już zwłaszcza człowiek syty. Kto to podśmiewał się z arystokratów - czy nie Czechów czasem? - że jak już zbrzydzą im jedwabie, to im się nagle zachciewa łapci, a jak mają dość przepiórek w maladze, to nie mogą się opędnąć od wizji razowca z kwasem. Z żyru biesiatsia, ot co! I my tutaj tak samo. - No, no, tylko nie wpadaj tak zaraz w poczucie winy, to są normalne odczucia przybysza - orzeka Giorgio, któremu zwiergam się ze swych kulinarnych rozterek (rodzice Giorgia mają jadłodalię w Nowym Jorku). - Tu można nieźle pożywić się właśnie u Macdonalda czy Wendy'ego, w tanim, standartowym barze. Kilka prostych potraw, sporządzonych z prostych składników, bez ozdóbek i szykan. Ale jak człowiek chce jakoś pikantniej, jeszcze smaczniej, bardziej odświeżnie, bo ja wiem, inaczej, wszystko po jakimś czasie się opatrzy, to się rozczarowuje. Im bardziej wykwinny lokal, tym mniej wrażeń; im większy dzwon, na jaki wydają przyjęcie, tym sroższy zawód dla podniebienia. Naprawdę dobrze zjeść - tak, żeby to się pamiętało - można w restauracji etnicznej, ale w enklawie, gdzie jest znajdująca

się na rzeczy krytyczna klientela, gdzie od pokoleń dziedziczy się pewne przepisy, gdzie ma się stałych dostawców. Gdybyś poszła w dużym mieście do chińskiej dzielnicy, tobyś palce lizała nad wołowiną! Albo u moich starych, dopiero byś zobaczyła, jak wyglądają łazanki. Są jeszcze hotele kategorii luksusowej z importowanym kucharzem. No, jakieś restauracje światowej marki, w którymś z gigantycznych, międzynarodowych "ładowisk", jak San Francisco czy Nowy Jork. Zdarzy się czasem przydrożna, wiejska knajpka, której właścicielka robi sama kurczaka w makaronie tak, jak jej matka, babka i prababka. Ale to wszystko tonie w morzu bylejakości. Z wielu powodów. Najpierw uprzytomnij sobie - Giorgio z zapalem przystępuje do wykładu - że tutejsza sztuka kulinarna dba o kalorie, witaminy, mikroelementy i o efekt wzrokowy, a nie o smak. Po wtóre, każda prawdziwa kuchnia ma jakiś własny niepowtarzalny ton - preferencje dla pewnych składników, pewnych przypraw. A tu misz-masz, po troszeczkę ze wszystkich stron globu. Francuski spód, meksykańskie nadzienie, soso po brytyjsku (te wszystkie mięty i anyżki), kreolski cukier i jarzyna, w stylu japońskim. To tak, jakby robić portret kobiety, był kiedyś taki eksperyment - z policzków Kim Novak, podbródka Jane Fondy, oczu Andrey Hepburn, włosów Catherine Deneuve. Wychodzi bezwład. Po trzecie, tak już jest, że to co znakomite, powstaje zawsze w męce. Po prostu, żeby stworzyć kulinarne arcydzieło, trzeba się urobić, trzeba się spocić. Tymczasem tutaj gospodyni domowej i gastronomowi szkoda na to czasu. Wszyscy korzystają z półproduktów, byle szybciej i z małym nakładem wysiłku. Czy ja ci muszę tłumaczyć, jak bardzo różni się w smaku ryż preparowany, który dajesz na stół po paru minutach, od zwykłego ryżu, który najpierw musiało się prażyć z tłuszczem, potem zalewać wrzątkiem, potem długo mieszać i jeszcze na koniec zapiekać w piekarniku? No i po czwarte, przecież nawet to, co nie zostało dla ogólnej zasady "podszykowane", jest tu bezwonne, nijakie. Trociniaste albo wodniste. Co wynika wprost z techniki produkcji żywności i organizacji handlu. Weź taki ogórek. Jak go w Starym Kraju człowiek kroił, pachniało w całym mieszkaniu. A w Nowym Wspaniałym Świecie ogórek wyrasta nie z ziemi, lecz na siatce zanurzonej w pożywce. A jeśli nawet pochodzi z uprawy tradycyjnej, to wiezie się go kilkaset kilometrów w chłodni. Trzyma w magazynach, bywa, że i po parę miesięcy. Powleka na gorąco warstwą wosku, żeby nie żółkł i nie dostawał plam. Nie mówiąc już o tym, że musi to być odmiana o grubej łupinie i mało soczystym mięszu, bo inaczej nie nadaje się do obrotu. To co się dziwić, że przypomina ogórek tylko z wyglądu i nazwy? Albo weź taką wołowinę. To nie przypadek, że najdroższa pochodzi z Argentyny. Bo tam bydło jeszcze się pasie, jeszcze podgryza paszę i zioła. Tutejsze rzeczywiście częściej stoi w klatce. Ma duży przyrost wagi, no, ale to nie jest normalne mięso. Można je tylko smażyć. I koniecznie zalewać tymi wszystkimi sosami. Spróbuj kiedy i ugotuj, i w czasie gotowania unieś pokrywę i spytaj domowników, co się gotuje. Nie zgadną i pewnie nie zechcą jeść to złudzenie wzrokowe. Posypują je specjalnym proszkiem, mój wujek pracuje w wytwórni, żeby było czerwone. Dla zdrowia nieszkodliwym, tyle że wyjąłwiającym do reszty. Nie ma rady. Chcesz dobrze zjeść, musisz sama pitrasić, po swojemu, my też tak robimy. I jeździć po całej okolicy, żeby znaleźć to, co potrzeba. Oj, wydacie na benzynę. I nabiegasz się, kobieto! Po raz kolejny przekonywujemy się, że jest to kraj, w którym znaleźć można wszystko; w którym jednak być oryginałem ogromnie komplikuje codzienność. Próby zaprowadzenia w domu etnicznej kuchni - z dala od chicagoskich kupców - istotnie oznaczają bieganinę. I przynoszą znaczny uszczerbek w kieszeni. - Mam już zsiadłe mleko - wołam triumfalnie od progu - to znaczy nie mleko, tylko kulturę. Pani F przywozła kiedyś samolotem z kraju i nastawia po dziś dzień. Ona mówi, że granica zsiadłego mleka i w ogóle kwaszenia przebiega gdzieś wzdłuż Odry. Za parę dni zrobimy chłodnik! Mleko zsiada się, jak Pan Bóg przykazał. Niech będzie tutejszy ogórek, trudno, najwyżej wyjdzie coś mniej pachnącego. Cebulka jest, no, to jeszcze tylko buraki, włoszczyzna i koperek. Ale zaraz... czy wyście tu choć raz widzieli w sklepie buraki? Nie, nie te marynowane. Zwykłe, duże buraki. No, pewnie nie zwróciliśmy uwagi. Straciwszy całe popołudnie na jeździe od sklepu do sklepu, dzwoniemy do pani I: - Buraki - tłumaczy cierpliwie - są tu jarzyną mało popularną. Więc też jej nie trzyma nikt na składzie. Czasem, raz w miesiącu, miewają je u Eisnera. Tylko muszę was uprzedzić, mały pęczek, trzy-cztery sztuki, kosztuje dwa i pół dolara. Właśnie za rarytność. To samo z włoszczyzną. Ja przywożę z kraju suszoną. Nie znają bulwiastego selera, tego nawet nie

macie co szukać. Kupuję naciowy, do sałatek, no pewnie, że nie ma tego aromatu, ale co począć, nie jesteśmy u siebie. Pietruszka... zaraz, aha, jest taka kooperatywa rolnicza, mała, brudna, na tyłach Ulicy Głównej, więc tam czasem bywa, na wagę. Zupę chcecie zrobić? Bez sensu. Na jedną porcję włoszczyzny, uciętanej po różnych sklepach, wydacie jakieś pięć dolarów. A koperek? Mają tylko suszony. Ktoś mi mówił, że widział kiedyś u Koreańczyka czy Chińczyka na Dwunastej Północnej, to jest daleko za miastem, gdzie diabeł ma młode... Że jednak upały nie ustają, upieramy się przy swoim. Zajeżdżamy w towarzystwie pilotującej tubylki pod "Grosernię Orientalną". Ten Chińczyk - opowiada - jest sinologiem, wykładał na uniwersytecie. Teraz to jeden z najbogatszych ludzi w mieście. Trzyma tu różne rzadkie towary, no i robi na nich niezły biznes. Sprowadza wszystko z Tajwanu. Albo ze specjalistycznych farm, do których sam dokłada. Albo przez syna, który pracuje w porcie. Sklepek maciupęńki, żadnych lśniących lad, wózków, muzyczki, panienek w uniformach. Staromodna kasa na korbkę. Paczuszki, torebeczki, słoiczki, wagi. Skrzynki z nie umytymi owocami. Sporo kupujących, wcale nie Azjatów. Za ladą grubas w poplamionym kitlu. I rzecz niewiarygodna - zapachy. Śledzi, pieczywa, czosnku... - Zobacz no tylko - ciągną męża - czego tu nie ma! Żurawina ze Szwecji. Ciemny chleb. Nie łuskany ryż w workach. W kadzi pływają małe zielonkawe rybki. Między oryginalnym, włoskim spaghetti a tranem z wieloryba leżą laski chrzanu. Jest i koperek w pęczkach! No i poszły cztery zielone. A tyle razy przecież dobrzy ludzie ostrzegali: jak najdalej od małych sklepików! Trudno, raz zrobi się ten chłód, więcej tu nie przyjedziemy. Za miesiąc wraca nieszczęsny motyw ogórka. Sierpień w całej krasie, chciałoby się czegoś... małosolnego. A jakże tu kisić maczugę w grubej, woskowej łupinie? - Wybierz się na jarmark - doradza Jill - drobni farmerzy sprzedają teraz plony na placu przed bankiem. I jak kupisz, to daj mi spróbować. Ogromnie jestem ciekawa, co to takiego. Farmerów stoi może kilkunastu. Towaru zaś tyle, co u działkowiczów emerytów przed Halą Mirowską. Jeden dzierży talerz z pomidorami. Drugi prezentuje rzeczywiście monstrualnych rozmiarów arbuza. Inny macha z zapalem suszonym bukietem z tak zwanych "srebrników Judasza", stoi cały rok, nie traci kolorów, nie sypie! Starsza pani w ogrodniczkach rozkłada gliniane kogutki. Może pieją? Nie pieją, ale za to są ręcznie lepiące. Tu obok matka z córką mają parę główek sałaty. A co w tym garnuszku? Korniszony! Po ile? Po siedem. Więcej na małosolne porywać się nie będziemy. Ma przyjść na obiad Mike z żoną, teściową i dziećmi. Z czymś trzeba wystąpić. Flaki z piwem (w największym "monopolowym" trafia się "Żywie", kosztuje tyle, co "Tuborg")? Zwariowałeś, jak się dowiedzą z czego to, chyba trupem padną! Podroby z psiego sklepu! Schabowy? Odpada, przecież Mike nie bierze do ust cholesterolu. Czekać no... leżą gdzieś skórki z tego razowca, co go Andrzej z Chicago przywiózł. Kupi się argentyńskiej wołowiny i zrazy zrobi się zawijane. No, to będą bez ogórka. I bez sosu grzybowego. Tylko trzeba by skombinować gdzieś jakąś kaszę. A na deser... kruchy placek ze śliwkami. Po zaliczeniu chyba kilkudziesięciu telefonów (obdzwaniamy sklepy i wszystkich znajomych Czechów, Węgrów, Ukraińców, a nawet Serbów) pojawia się promyk nadziei: ktoś przypomina sobie, że w miasteczku Bean Blossom, dwadzieścia parę mil na południe, istnieje magazyn "naturalistyczny", w którym podobno zdarzają się nietypowe, prymitywne przetwory zbóż. Oczywiście zdzierają tam skórę, za szampon z esencją rumiankową potrafią zakukać pięć razy tyle, co w stoisku firmy Rubinstein. No i, rzecz jasna, nikt nie ma pewności, czy te "biodynamiczne" jarzyny, utylane w ziemi, nie pochodzą jednak z supermarketu. Ale próbujcie. W magazynie spory ruch; sądząc po wozach przed wejściem, ciągotki naturalistyczne narastają tu wraz z odchodami. Sprzedawcy żyć nie dają. Tylko witamina C z owoców róży stanowi gwarancję, że uwolnisz organizm od skutków palenia. Kąpiele w otrębach (na osie mleko też wkrótce wpadną) przywrócą twój skórce niemowlęcą elastyczność. Jedna porcja gruntowej kalarepy, na krowim nawozie - wyłącznie u nas - zawiera dawkę selenu, która wystarczy na cały miesiąc. Nie możecie się państwo zdecydować? To polecam gruszki zerwane z drzewa w pełnej dojrzałości - dysponujemy szybkim transportem - naturalny cukier owocowy można spożywać bez obawy, oczyszcza też jelita, zapobiega obstrukcji. W jakimś kąciku docieramy wreszcie do małych paczuszek - na oko trzydzieści deko - z napisem "Buckwheat kasha". Gryczana! No to co, że osiem i pół? Raz sobie podjemy. - Śliwek nie dostaniesz, nawet w sezonie - współczuje Lidka - tak samo jak porzeczek,

wiśni, agrestu, czarnych jagód. Oni nie lubią jeść owoców drobnych, z małą ilością miąższu, nie daj Boże z pestką w dodatku. Za leniwi na to. Od razu przerabiają na dżemy albo na kompoty. Kup kompot i odsedź. Pewnie, że to nie to. Ale zaraz... czy ty, dziewczyno choć raz zgniatałaś tu mąkę? Ona jest zupełnie inna niż nasza. Czegoś tam dodają, na paczce pisze "enriched", wzbogacona, nie wiem co co jest, ale puchnie. No, puchnie, po prostu. Musisz wziąć mniej więcej połowę tego, co w przepisie. I lepiej spróbuj najpierw kilka razy. Mike z żoną, dziećmi i teściową nie mogli się nachwalić. Domownikom natomiast stopniowo rzedną miny. Coś ty pochachmęciła z tą kaszą? Papka, a nie kasza. Nic nie pochachmęciłam - syczę przez stół - ugotowała się w trzy minuty. Precooked, spreparowana. Nawet zagniatam przez całe przedpołudnie plackiem nie mogę zrehabilitować w oczach najdroższych. Bo, od śliwek z kompotu zajeżdża niemilosiernie... eukaliptusem? I jeszcze jakby kolendrą, cholera jasna! - No i kto by powiedział - inauguruje small talk Mike'owa - jaki ten świat mały. Nie wiedziałam, że wy też macie owoce z korzeniami na cieście. Prawda, jaka to wzbogacająca kompozycja? Przed Bożym Narodzeniem konstantuję u siebie wszelkie objawy nerwicy z natręctwami. Na szczęście do spółki z Lidką. Nic się nie martw - pociesza jedna drugą co kilka godzin - damy radę. Buraki na barszcz leżą od miesiąca w zamrażalniku. Pani F. podarowała torbę włoszczyzny. Technologia zarabiania ciasta na pierogi z tutejszych produktów opanowana perfekt. Wałkować można znakomicie butelką po winie. Mak zdobył ktoś w małej piekarni. Opłatek przyślą w liście. Śledzie z Holandii wypatrzyło dziecko w delikatesach. No, a z grzybami to pomysł był wprost genialny, tylko opatentować. Łazi się po polu golfowym wieczorem i zbiera dzikie pieczarki. Wysuszone na kaloryferze ujdą w tłoku. Żelatyny wszędzie pełno, a zaraz... właśnie... co z karpem? Tyle jezior w okolicy usiłuję zbagatelizować sprawę. Ba, kiedy akurat karp nikt nie łowi i nikt nie choduje. Uchodzi za rybę "brudną", babrzącą się w mule i nieczystościach - wyjaśnia stary rodak, zainterpelowany telefonicznie aż z Pensylwanii. - Nic wam nie mogę pomóc, kupcie pstrąga. - Wiesz co - olśniewa Lidkę - chodźmy do Chińczyka, może on coś wymyśli. - Karpia chcecie? To znaczy, że jesteście z Polski - Chińczyk aż wyskakuje przed ladę - tylko wy, Polacy i my, Chińczycy, znamy się na dobrej rybie. Nie, ludzie, nie mogę wam teraz załatwić, bo muszę teraz sprowadzić karpia dla moich przyjaciół z Polski, to królewskie jedzenie, kto nie próbował, nie umie docenić, nie, ludzie, dajcie mi spokój, robię coś nadzwyczajnego, popatrzcie tylko, ile białka, kto kupi karpia, daje cztery procent rabatu na inne artykuły, nie, ludzie, poczekajcie chwilkę, Polacy kupują karpia, oni wiedzą, że ma delikatne mięso i niezrównany aromat. Prócz Chińczyka znajdujemy jeszcze jednego sprzymierzeńca: firmę Manishevitz, rozprowadza żywność kosztowną. Uczciwy chleb, chałki, sezamki, kaszę, bejcowane mięso, rybę w galarecie, gotowe ciasto na racuchy i słoiki z zupami o swojskich nazwach - "Barshch", "Shchav", "Krupneek". W tym kraju nie ma rzeczy niemożliwych. ŃJak o mała Ńnie zapisałam się Ńdo Ruchu Wyzwolenia Kobiet - Może ty mi wreszcie wytłumaczysz, dlaczego to wybuchło akurat tutaj? Wiesz, ja nawet wydałam antologię tekstów waszego ruchu, przełożyłam na polski. Nie wzbudziła zainteresowania, tam inne rzeczy chodzą ludziom po głowach. Myślę, że macie sporo racji. Istotnie, w tym co od wieków głosi się - lub, co gorsza, milcząco się zakłada - na temat kobiet, najczęściej jest ideologii. Oczywiście, komu ona głównie służy. Tylko co z tego? Bez jakiejś ideologii, bez jakiegoś kultu życie nie ma ni smaku, ni sensu. Owe próby wyzwolenia się z wszelkich doktryn, światopoglądów, schematów - które opętały waszych jajogłowych i jajogłowe - są raczej skazane na niepowodzenie. Zresztą akurat ta ideologia, z którą walczyacie, służy także kobietom. Niektóre przynajmniej całkiem nieźle na niej wychodzą. Toteż nie wróżę wam sukcesów. Ale mniejsza o moje prywatne zapatrywania. Wytłumacz mi: dlaczego tu? Tu, gdzie będąc nawet nieprzytomną perfekcjonistką, można "obskoczyć" babskie obowiązki w kilka godzin? Tu, gdzie mężczyźni na ogół siedzą cicho pod pantoflem? Amy długo milczy. Jest szeregową członkinią Women Lib. i woli raczej sprawy rozważać, niż głośno o nich krzyknąć. - To normalne - powiada w końcu - człowiek buntuje się zawsze wtedy, gdy pętające go kleszcze trochę się poluźnią. Znane zjawisko. W każdym systemie niezadowolenie społeczne zaczyna się manifestować w momencie, gdy robi się jakby nieco lepiej, gdy ucisk zmniejsza się na tyle, że ludzie mają czas, by go sobie uświadomić. Nie było nigdy rewolucji w czasach terroru. Nie, rewolucja nastaje, gdy panujący system słabnie, gdy

pojawiają się w nim dziury. Więc nic dziwnego, że męski szowinizm przestał się nam podobać tutaj, gdzie wskutek różnicy okoliczności przeciętna kobieta - może pierwszy raz w dziejach - nie jest już zajęta od świtu do zmroku pracą brudną ciężką, niewdzięczną i będącą w powszechnej pogardzie. - No właśnie - upieram się przy swoim - przecież w gruncie rzeczy wam jest lepiej niż mężczyznom. Nie ciąży na was przekleństwo zdobywania chleba w znoju. Trochę domowych robótek i niewyobrażalna gdzie indziej masa wolnego czasu. Słuchaj, Amy. Ty jesteś na tyle uczciwa wewnątrz, że nie występujesz - jak wasze aktywistki - w imieniu robotnic, Murzynek, samotnych matek i tak dalej. O co ci chodzi? Jay ma dobrze płatną pracę; Lucy poszła już do szkoły i na osiem godzin dziennie spada ci z głowy. - Wiem, wiem, co powiesz dalej - spokojna, jasnowłosa Amy podnosi lekko głos - tyle razy to słyszałam. Takie wspaniałe możliwości. Lekcje malarstwa sztalugowego. Haft na bębenku. Chór amatorski. Albo różne formy wolnotariatu: pomoc przy rozdawaniu lunchu w przedszkolu dla dzieci z paraplegią. Albo wożenie jakiegoś staruszka na psychoterapię. Mogę też zapisać się na studia. Na przykład zająć się historią Holandii. Ekonomią gospodarstwa domowego, sanskrytem, prawem cywilnym. Ale ja nie chcę. Mam już zawód i hobby, jestem mikrobiologiem. Tak samo jak Jay. I to lepszym od niego - zrobiła dyplom z wyróżnieniem. Dlaczego odmawia mi się prawa do wykonywania zawodu? Dlaczego miałabym zajmować się rzeczami, do których nie mam ani talentów, ani zamiłowania? Dlaczego społeczeństwo skazuje mnie na różne czynności przy dzieciach i starcach, czynności nieodpłatne, to jest niekonieczne, na dobrą sprawę niepotrzebne. Ot, żebym się nie nudziła. Ja chcę normalnie pracować! Czuć się użyteczna! Mieć świadomość, że potrafię zama na siebie zarobić! - To co ci stoi na przeszkodzie? - Co? Nie wiesz czy udajesz? - Amy dostaje wypieków. - To właśnie, czemu wydałyśmy beznadziejną wojnę! To, że ile razy składamy oboje aplikacje o pracę, na rozmowę wzywa się tylko Jaya. A Jay nie jest wybitnym specjalistą, który może postawić warunek: wezmę to, o ile znajdzie się coś także dla mojej żony. Muszę wciąż za nim jeździć. Z Kalifornii do Michigan, z Michigan do Oklahomy. Jedyna oferta, jaką dostałam od dziewięciu lat, pochodziła z jakiejś małej wytwórni serów na Alasce. Nie mieli innych kandydatów z wyższym wykształceniem. I co? Jak ty to sobie wyobrażasz? Ja tam, Jay tu? A z kim Lucy? - Czy to rzeczywiście wiąże się z płcią? - powątpiewam. - Po prostu pracy jest mniej niż chętnych. To i szanse na to, że znajdziesz ją tam, gdzie twój mąż, są niewielkie. - Pracę coraz trudniej dostać, to fakt. Tobie mogę z góry powiedzieć, że gdybyś zdecydowała się zostać na zawsze, to nawet będąc mężczyzną miałabyś ogromne problemy. W tym kraju łatwo "zaczepić się" - to znaczy podłapać jakieś stypendium. Istnieje ogromna ilość fundacji i zawsze coś się trafi. Trzeba tylko mieć referencje od kogoś z dużym nazwiskiem albo znać kogoś, kto zna kogoś, kto siedzi w komisji rozdzielczej... - Tu już przesadzasz - krzywię się z niesmakiem - wy w ogóle macie skłonność do przesady i... bo ja wiem, jakiegoś samobiczowania. Wykryją gdzieś jakąś machlojkę i już, wszyscy trąbią, że naród się skorumpował. - Bo tu nie ma korupcji w stylu azjatyckim - macha ręką Amy - korupcji usankcjonowanej, na oczach wszystkich. Znasz Alicję? No, to powiedz czemu ta bystra dziewczyna, o wyrażnie artystycznych zapędach wybrała sobie jako specjalizację nudną fonetykę? I dlaczego na seminarium tego faceta od fonetyki, Gouldenera, chodzi dziki tłum, podczas gdy sala Fiska, który mówi fascynujące rzeczy, świeci pustkami? Bo magistraci doskonale się orientują - choć nikt tego nie powie na głos, nawet w prywatnej rozmowie - że Gouldener może załatwić stypendium doktoranckie w Yale. A Fisk nie może nic. Więc "zaczepić się", tobyś się pewnie gdzieś zaczęła lepiej czy gorzej. Ale dostać normalną pracę to dla humanisty prawie beznadziejne. A jeszcze do tego dla cudzoziemca. I to cudzoziemca stamtąd - szanse prawie zerowe. Chyba że jakiś głośny prześladowany. Albo efektowny konwertyta. Albo osoba wybitna, i to pod warunkiem, że miała już tu kontakty. Albo specjalista od czegoś niesłychanie rzadkiego i akurat modnego - na przykład od islamu w Tadżykistanie. Czy od filmu węgierskiego... - No ale do rzeczy - przerywam - nie ja mam problem, tylko ty, Amy. Trudno o pracę każdemu, bez względu na płeć... - I to właśnie jest sytuacja - Amy wali w końcu piąstką w stół - w której to odwieczne łądactwo najlepiej wychodzi na jaw. Pracy nie ma dla wszystkich, a więc dostaną ją przede wszystkim mężczyźni. Najbardziej nierozgarnięty przebija najmądrzejszą kobietę. Kobieta musi być geniuszem. Inaczej odsyła ją się do domu albo do zajęć podrzędnych, ogłupiających albo kiepsko



płatnych... - Ja myślę, że lepiej robić coś podrzędnego i kiepsko płatnego, niż wpędzać się w chroniczną frustrację. Ja cię doskonale rozumiem, Amy. Też lubię pracować. Też nie czuję się usatysfakcjonowana siedząc w domu. Też wolę mieć własne pieniądze. Ale nie mam przesądów. Mogę iść do łopaty. Robota na świeżym powietrzu. Umysł odpoczywa no i efekty są namacalne. - Good luck! Porozmawiamy za pół roku! Najpierw kwestia fundamentalna: co z pozwoleniem na pracę? W naszej mieścinie - jak w każdej mieścinie - nie istnieje zorganizowany czarny rynek dla pragnących zatrudnić się nielegalnie. Takie numery mogą przejść w okolicach rolniczych, gdzie farmy dzieli od siebie duża odległość. Albo w niebezpiecznych i dla samej policji dżunglach wielkich metropolii. Tu ewentualny pracodawca staje przed zbyt dużym ryzykiem: byle kto może zauważyć, że w danej firmie kręcą się jacyś "niemiejscowi ludzie". A grzywna może oznaczać dla firmy ruinę. Pozwolenie wydaje urząd imigracyjny w stolicy stanu. Ale jeśli nie potrafimy dowieść, że rodzina nasza znajduje się w nędzy lub że jesteśmy uciekinierami politycznymi bądź religijnymi, dostajemy odmowę. Przepisy są jasne. Wyjechać gdzieś? Mąż tu, ja tam, a z kim dzieci (1:0 dla Amy). - Odmową się nie przejmuj - radzą obeznani przybysze - każdy dostaje odmowę. Widzisz, im tutaj nawet nie przyjdzie do głowy - bo są szalenie praworządni - że ktoś może otwarcie starać się o pracę bez pozwolenia. Mało prawdopodobne, żeby cię ktoś spytał. Obcym akcentem też się nie przejmuj. W końcu w tym kraju co dziewiąty człowiek mówi z akcentem. Masz numer ubezpieczenia społecznego z czasów, gdy pracowałaś w Instytucie? No, to jest duża szansa, że sprawa się nie wyda. Szukaj roboty. Good luck, bo z robotą, to całkiem inna rzecz... Z ogłoszeń w gazetach i w "pośredniaku" wynika, że poszukuje się głównie pielęgniarek do domów dla starców i nieuleczalnie chorych oraz nocnych dozorców. Od pielęgniarek wymaga się dyplomu, co najmniej dwuletniego doświadczenia i referencji. Dlaczego brak pielęgniarek? No wiesz, wyjaśnia tubylec, w takich placówkach praca jest wyjątkowo niewdzięczna. I dużo gorzej płatna niż w szpitalach. To czemu nie zniosą tych idiotycznych wymogów? No wiesz, a kto by poszedł do takiej placówki czy wysłał tam krewnego, gdyby zatrudniano w niej jakieś niepewne osoby? Placówka miałaby zaraz deficyt i musiałaby pakować manatki. Nic nie rozumiem, to skąd biorą personel? No wiesz, przecież nie ma dnia, żeby w naszym hrabstwie czy w stanie nie dokonano jakiejś redukcji w klinice, prywatnym gabinecie, poradni specjalistycznej. Tu wprowadzono kolejne monitory do czuwania nad pacjentami, więc można zwolnić kilka osób; tam właścicielowi nie starcza na podatek, robi więc reorganizację i wysyła, kogo się da, na zieloną trawkę; ówdzie inspekcja sanitarna zaleciła kapitalny remont obiektu, no to rozwiązuje się całą firmę, bo co można zrobić innego? Zawsze znajdą się jakiś niebogi w czepku, dla których opieka nad beznadziejnymi przypadkami jest jedynym wyjściem. Dopóki nie znajdą sobie czegoś lepszego... Na nocną dozorczynię, nikt mnie nie chce. Przepraszamy, ta posada jest już zajęta. Pan Wooley prosi o wybaczenie, ale jego anons jest obecnie nieaktualny. Przykro nam bardzo, ale nie sądzimy, by była pani odpowiednim dla nas kandydatem. Halo, nie, proszę pani, na interview zapraszamy tylko osoby wyselekcjonowane, gdyby taka rzecz wchodziła w grę, zadzwonilibyśmy. Pani Mc Rouwan z przykrością zawiadamia, że wybrała sobie innego stróża swych apartamentów. Przeczytaliśmy z uwagą pani aplikację i po uważnym rozpatrzeniu sprawy postanowiliśmy zrezygnować z pani kandydatury. Stowarzyszenie Krykieta oznajmia, że angaż jest niemożliwy z przyczyn od Stowarzyszenia nie zależnych. Nikt nie chce mnie też na karmicielkę psów w schronisku dla bezdomnych zwierząt, choć zjawiam się pod drzwiami pierwsza, dowiedziawszy się, że Jirik stąd odchodzi. Ani do obsługiwania kosiarki na uniwersyteckich trawnikach, choć demonstruję, że umiem się z nią obchodzić perfekt. Ani na zbieraczkę śmieci, choć cóż to za filozofia operować szpikulcem na patyku. Ani na rozwiesicielkę ogłoszeń, sprzątaczkę biur, woźną, pomocnicę geodety, doręczycielkę paczek, magazynierkę, pakowaczkę. Przez cztery miesiące codziennie to samo: czyhanie na anons, błyskawiczny telefon lub jazda pod drzwi i równie błyskawiczna, zawsze niezmiernie uprzejma odmowa. Dlaczego? Może, psia kość, wyglądam jakoś dziwnie? Może za mało się reklamuję? Może mam pecha, razem ze mną pojawia się zawsze starsza Chilijka, konkurentka, jakieś złe ma oczy, to chyba ona.. te, no uroki rzuca. Tylko raz udaje mi się dowiedzieć, o co chodzi. Staję w długim ogonku chętnych do sprzątania olbrzymiego, wielobranżowego sklepu i już za parę minut odchodzę z kwitkiem. Wraz z

rosłym Murzynem. - Z góry było przesądzone - szeptuje mi do ucha - nic dla cudzoziemców i kolorowych. Bo tacy zawsze wynoszą. - No to przecież - powiadam wytrzeszczając oczy - można ich przyłapać. - To nie takie proste - tłumaczy - musieliby zaangażować dodatkową ochronę. - Przecież mają już ochronę - nic nie rozumiem dalej - o, tu ci ludzie są z ochrony. - Ale siostró, to idzie o te nocne numery - szeptuje - nocne numery, kapujesz? No, są całe takie paczki, rzeczywiście, cudzoziemców i kolorowych którym źle się dzieje. Sprzątają sklep w nocy i wypatrują jakiegoś drogiego towaru o odpowiednim wymiarach i wadze. Wyciągają z opakowania byle jaki krawat czy plastikową zabawkę dla dziecka, ciskają gdzieś między wieszaki, a na to miejsce wkładają drogi towar, na przykład dobrą kamerę fotograficzną. Albo etolę. Potem rano któryś goni do sklepu i podchodzi do kasy z opakowaniem. Kasjerka rzadko kiedy zagląda do wnętrza. W stolicy stanu są specjaliści paserzy od nocnych łupów... - Ja wiem, że pracy jest mało, a chętnych dużo. Ale były miejsca, gdzie stawiałam się pierwsza. Ot, choćby w tym twoim schronisku - zwierzęm się Jirikowi - ale nikt mnie nie chce. Już od pierwszego wejrzenia. O nic nawet nie pytają, od razu nie. Słuchaj, czy ja mam jakąś lewą twarz? - A gdzie jeszcze próbowałaś? - pyta Jirik. - Ach tak. I naprawdę nie tropnęłaś się, o co chodzi? Ciemna masa z ciebie, i z tej Chilijki też, co to ją uważasz za czarownicę. Naprawdę nie wiesz? Bo to nie były zajęcia dla bab. Czy widziałaś choć raz tutejszą kobietę, która by się starała o którąś z tych prac. Czy widziałaś tu choć raz babę na traktorze, kosiarce, z miotłą, z łopata w ręce, za kierownicą ciężarówki, na zapleczu sklepu spożywczego, w magazynie? No właśnie. Wszędzie tam, gdzie w grę wchodzi praca fizyczna, wysiłek rąk, zginanie grzbietu, przeciętny mężczyzna jest bardziej wydajny. Pracodawcy kierują się statystyką. Czy, jak wolisz, uprzedzeniem. Ale po co mieliby ryzykować? Po co mieliby sprawdzać, czy jest prawda, że zdarzają się kobiety silniejsze, bardziej wytrzymałe? Nie ich biznes. Nie mówią już o tym, że gdy praca jest przywilejem - a nie obowiązkiem, prawem czy koniecznością - to dostają ją uprzywilejowani (2:0). Szukaj roboty dla bab. Bądźże realistką, głową muru nie przebijesz. W tutejszym pejzażu ekonomicznym nie mieszczą się takie postaci jak nasza praska, niewykwalifikowana blondynka, która targa skrzynki z ziemniakami, uprząta jezdnię, rozwozi pieczywo, rąbie mięso na kawałki. Blondynka zakłada różową bluzkę z falbankami i idzie do jednej z tych prac, jakie wyznaczono kobietom (3:0, dla Amy): zostaje sekretarką, asystentką medyczną, hostessą, urzędniczką w okienku pocztowym, barmanką, sprzedawczynią lub kasjerką w sklepie, telefonistką, pomocnicą kucharza w jadłodalni, kelnerką, recepcjonistką, czy dwumetrową koszykarką, wie doskonale, że nigdzie indziej się nie wkręci. Oczywiście, że są to zajęcia najgorzej płatne (4:0, dla Amy). Ale czy gdziekolwiek na świecie to, co robią wyłącznie kobiety, jest dobrze opłacane? Popatrz sobie, jakie są choćby u nas trzędy płacowe - co dzieje się w takiej służbie zdrowia czy oświacie. I przestań zachowywać się tak, jakbyś się wczoraj urodziła! Grzebania w papierkach nigdy nie lubiłam. No, niech tam, ile godzin można czytać czekając na powrót domowników. W końcu to tylko czasowe. Walmy jeszcze raz do pośredniaka, co za obrzydny, beznadziejny budynek! - Pracy biurowej mamy bardzo niewiele - oznajmia blondynka w różowej bluzce z falbanami - ale może coś się trafi. Proszę wypełnić formularz i przyjść tu do mnie na test pisanie na maszynie. Podyktuję pani coś. Uwaga, zaczynamy... Noo, wie pani, pierwszy raz coś takiego widzę. Nie mieści się pani nawet w minimum, taak, żeby coś dostać, trzeba znacznie ponad nie wykroczyć, chętnych dużo, ostra konkurencja. Nie pisała pani nigdy zawodowo? Nie rozumiem. To taki nadobowiązkowy przedmiot wybrała pani w college'u? No, to musi się pani natychmiast zgłosić na kurs, im prędzej, tym lepiej, i potem nabrać wprawy. Są tu kursy doskonalające, radziłabym z nich skorzystać, bez fachowców nie da pani rady. I wtedy zapraszamy! - Ja piszę bardzo szybko - łapie mnie za łokieć starsza Chilijka - i co z tego? Znam też języki, w Starym Kraju byłam sekretarką. Moja aplikacja leży już półtora roku. Zawsze coś się znajdzie. Nie umiem obsługiwać komputera, więc proszę zgłosić się na kurs. Nie orientuję się w księgowości, więc proszę zgłosić się na kurs. A skąd ja mam na niego wziąć pieniądze? - Tfu, tfu, na psa urok - mruczę pod nosem, odpędzając się od czarnej wiedzy - żeby tylko nie natknąć się na nią w sklepach, knajpach i innych miejscach świadczenia usług. Zaczynamy jeszcze raz od początku. Bar Macdonald, Pizza Hut, restauracja wegeriańska, Taco Bell, restauracja libańska, ruszt przy północnej szosie

wylotowej, klub krykietowy, potem kolejne hotele... potem wszelkie możliwe sklepy, od gigantów po nieduże Seven-Eleven (otwarte całą dobę), salony fryzjerskie (do mycia głów), kina, kluby (szatnie oraz wydawanie biletów i "przekąsek"), tereny rekreacyjne (wypożyczalnie sprzętu), stołówki, stacje benzynowe. Wszędzie duży ogonek chętnych - ciekawe, że nie każą pisać aplikacji, oglądają "na gębę". No tak, przecież do takich zajęć nie trzeba mieć żadnych kwalifikacji. Mijają cztery miesiące. - Nic nie rozumiem - pienie się pewnego dnia w bezsilnej złości - wszędzie to samo. Jest nam niewymownie przykro, ale nie sądzimy, by była pani odpowiednią kandydatką. Zadzwonimy, jeśli coś się znajdzie. Przecież cholera, istnieje coś takiego jak prawo przypadku. Dlaczego ani razu nie zadziało? Dlaczego nikt nawet nie spytał, co umiem, gdzie pracowałam? - Ja ci już dawno chciałam powiedzieć, Tyreza - wtrąca się Nancy - ale mnie nigdy nie pytałaś. Jesteś za stara do tej pracy. Dwadzieścia kilka lat to góra, zresztą największe wzięcie mają i tak świeże, zgrabniutki nastolatki. Z dwóch powodów. Po pierwsze, w związku z bezrobociem młodzieży, każdy, kto ją zatrudnia, dostaje ogromną ulgę w podatku... - Przecież w sklepach w downtownie siedzą za ladą staruchy. Skąd się tam niby wzięły? - To są małe, renomowane sklepiki. Za ladą siedzą właścicielki albo żony właścicieli. Te sklepy nie muszą do siebie zachęcać. Nigdy nie ogłaszają, że potrzebują personelu. Tak samo jak bardzo drogie restauracje, salony piękności, gospody, ekskluzywne kluby. Praca jest do wzięcia tylko tam, gdzie zysk robi się na dużych obrotach. Sprzedawczynie, barmanka, hostessa, kelnerka, recepcjonistka stanowi... eee, no, jakby opakowanie dla towaru czy usługi. Musi być piękna, młoda, wpadająca w oko, z biustem, krótką spódniczką, cieniutką talią, makijażem. U nas... eee, kobieta liczy się tylko jako ten, eee, ładny przedmiot konsumpcyjny (5:0, dla Amy). Chyba że umie coś nadzwyczajnego. Że jest dużej klasy fachowcem. - To co robią te, które nie są dużej klasy fachowcami, nie mogą znaleźć pracy w zawodzie, skończyły trzydziestkę albo Pan Bóg poskąpił urody? - jest tyle rozmaitych możliwości... - Wiem, wiem, kurs malarstwa sztalugowego. Albo haft na bębenku. Czy wolnotariat w przedszkolu. Ale jak kobieta chce zarobić? - To zajrzyj sobie do gazety. O tu, w rubryce "Oferty pomocy". - Zmiłujże się. Toż to same gary, brudy i dzieci. Baby-sitting w nocy, z podaniem śniadania, wiek obojętny. Doświadczona matka dwójki dzieci zaopiekuje się trójką u siebie w domu. Gospodarna Dorothy: mysie okien, pranie delikatnej bielizny, dzwońcie całą dobę. Domowe obiady dietetyczne, stare przepisy, niedaleko Eastland Plaza. Pomogę skroić każdą sukienkę, mieszkam w centrum... Ciekawe, ile kosztuje baby-sitting? - Półtora za godzinę, tu jest dużo studentek, one też ty dorabiają... - No to muszą być rozrywane. Przecież to strasznie tanio. Minimalna stawka wynosi teraz... no tak, trzy i pół za godzinę (6:0, dla Amy), prawda? - Tak? Tanio? To spróbuj zarobić półtora. A jak jesteś zamożną osobą, to nie korzystasz z takiej... eeee, amatorszczyzny. Wtedy idziesz do specjalistycznej agencji, kierowanej przez psychologa. Do firmy, która myje okna automatem, bez chlapania na dywany. Do zakładu krawieckiego, który uszyje to, co nosi się w Nowym Jorku. Do restauracji, gdzie podadzą, co tylko zechcesz. Albo bierzesz sobie wtedy gospodynię do wszystkiego. Ale na to to już trzeba być milionerem! - Ile się takiej gospodyni płaci? - Jakieś trzysta-czterysta miesięcznie. - Dlaczego tak mało? Tyle wynosi zasiłek dla bezrobotnych! (7:0, dla Amy). - Mało? Trzysta piechotą nie chodzi. I za co? Za coś, co nie wymaga żadnych kwalifikacji! - To co robią kobiety porzucone przez mężów, wychowujące małe dzieci? - Starają się o alimenty. I szukają następnego męża. Życie kobiety... eee, nie jest różami usłane, nie wiesz tego czy jak? 8:0 dla Amy! Kłopoty perypatetyka Są ludzie, którym najlepiej myśli się - czy to w sobie czy na głos - w trakcie poruszania nogami. Są ludzie, którzy dla równowagi psychicznej muszą czasem "poczuć się jedną z wielu rzeczy", o co - nie wiedzieć czemu - dużo łatwiej pod drzewem lub na łące niż w samochodzie pędzącym autostradą lub w tłumie bliźnich, zgromadzonych z jakiejś okazji. Ludzie tacy mają nieuleczalną skłonność do kameralnego towarzysko, a najlepiej samotnego włóczenia się po lasach i piachach i brzegach wód; od zbierania różnorodnych badyli i mayczków; do gapienia się w gwiazdy i na obłoki. Ludziom tym największą frajdę sprawi klucz do oznaczania roślin czy atlas owadów (rzadko jednak zostają biologami - ich zapędy mają charakter raczej kompletacyjny niż badawczy). Albo para wygodnych butów na grubej podeszwie i prymitywna maszynka turystyczna (rzadko jednak zostają alpinistami i zdobywcami ziem dziwicznych - nie dbają o wyczynty). Ludzie

ci, perypatetycy z urodzenia są, w obecnym świecie gatunkiem wymierającym. W niektórych miejscach pomaga im się wymrzeć bardziej intensywnie. I to nawet bez dymiących opętańczo kombinezonów, zatrutych rzek, bezlitosnych spychaczy. Dbając cały czas o "zachowanie natury". Lecz nie po to, by po prostu była, gdyż jest dobra sama w sobie. Po to, by nam było dzięki niej jeszcze ładniej, jeszcze przyjemniej, jeszcze zdrowiej. - Nie, to nie bajka! - wykrzykuję w pierwszych dniach pobytu, wróciwszy z obchodu naszej miejsciny. - Środkiem kampusu płynie strumień, z którego można pić wodę. Wszędzie drzewa, stare, wysokie, rozłożyste. I to jakie drzewa! Tulipanowce, świerki, topole, magnolie, modrzewie. A żebyście widzieli, jak się z nimi cackają. Nie można tu nic wybudować bez specjalisty od landscaping, od pejzażu. Już jego głowa w tym, żeby nic nie uszkodzić, niczego nie zmarnować! Wszystkie czyściutkie trawniki, bez jednego papierka. Jak oni to robią, że nie żółte i nie zdeptane? Pewnie w kółko strzygą i podlewają. Wszędzie pełno "ochroniarzy". Teraz pobierają próbki zapylenia z naszej elektrociepłowni. Będziemy podpisywać petycję o założeniu filtrów. A wyrzycie tylko przez okno! Całe miasto otoczone zielenią aż po horyzont. Co za wypoczynek dla oczu! I dla płuc! Ile jednak dni można chodzić w kółko po kampusie, który da się obejść w dwadzieścia minut? W gwarnej, pstrokatej ciżbie studentów, która przelewa się po trawnikach. Czy tu zresztą rośnie cokolwiek poza wystrzyżoną trawą i wymodelowanymi drzewami? Nawet na brzegu strumienia ani śladu sitowia. Tataraku, czegokolwiek, co kazałoby przystanąć i zapatrzeć się. Pusto jakoś. Żadnych chaszczki, krzaków, zakątków, kamieni. Nic nie szura, nie chrupie pod nogami - czy tu nic nie spada z drzew? Ach tak, grabią codziennie rankiem, przed siódmą. Ptaków też nie widać. No jasne, płoszą się. Nogi niosą perypatetyka w stronę dzielnic mieszkalnych - w handlowych nie ma czego szukać; tak są tylko parkingi na tysiące aut. Po dzielnicach mieszkalnych nikt nie chodzi. Wzdół wyasfaltowanych dróg (bez jednej dziury!) ciągną się jedno za drugim białe domeczki. Pobocza obrasta gęsty żywopłot do pasa (to przeciw spalinom). Albo też domczkowy trawnik sięga samej jezdni. Kierowcy trąbią głośno, dzieciaki i kobiety w oknach obrzucają przechodnia wzrokiem, w którym nie wyczuwa się życzliwości; raczej niemiłe zdziwienie. Czy tu nie ma żadnej ścieżki w bok? Gdzieś przecież musi być jakieś pole! Większość uliczek kończy się ślepym zaułkiem - u spodziewanego wylotu stoi łukiem dom, za domem trawnik, za trawnikiem inny dom, do którego można tylko dotrzeć sąsiednią ulicą. A jeśli nie ślepy zaułek, to wysoki płot z siatki, opatrzone groźnym napisem: "Nie wkraczać!". I tablica informacyjna: "Farma Żółte Runo. Dojazd Dwudziestą Zachodnią". Albo: "Klub Strzelecki Hrabstwa Munroe Wstęp za kartą członkowską". Albo: "Przedszkole Metodystów", "Ośrodek Terapii Sportowej", "Centrum Badawcze Komisji Sanitarnej". Zrozpaczony perypatetyk, obszedłszy w ten sposób swą miejscinę we wszystkich kierunkach, decyduje się ruszyć szosą. Gdzieś przecież muszą zacząć się tereny mniej zabudowane! Niestety, każda szosa krzyżuje się prędzej czy później dwupoziomowo z inną szosą. Przejść dla pieszych nie przewidziano. W centrum wystarczy wystawić stopę na szosę, by wstrzymać ruch. Poza miastem ziemia należy do samochodów. Trzeba odczekać, czasem kwadrans, czasem trzy kwadransy, aż w rzece szybko mknących po czterech pasmach pojazdów jakimś cudem utworzy się luka i przemknąć jak zając na drugą stronę. Perypatetyk maszeruje już kilka mil. Na poboczach wciąż domczek za domczkiem. Rozrzucone rzadziej ale dalej między trawnikami ni śladu ścieżki. No, jest pole! Nawet jakieś bydło na nim, chyba ze dwieście sztuk. Całe ogrodzone drutem, lecz przecież wystarczy przerwycie nogę... Stop! Globtroterka mówiła na odjeździe: iech cię ręką boska broni wleźć komuś na pastwisko! Farmerzy mają broń. I lornetki. Maszerujemy dalej kilka mil. Znowu domczek za domczkiem. No, jest jakiś ugor. Też ogrodzony, niby dlaczego? Toż tu nic nie rośnie. Pewnie płot został, bo się im nie chciało rozbierać. Ach, jakie fajne badyle. Coś jak osty, nie osty? A tu - prawdziwa żaba... Zjawił się furgonetką już po paru minutach. To jest teren prywatny. No, tak, ale ja przecież tylko spaceruję, nic złego nie robię. Ale to jest teren prywatny. To bardzo przepraszam, już nie będę zbierać, myślałam, że te rośliny nie są uprawne. Nie są uprawne, ale to teren prywatny. Ale czym ja komu przeszkadzam? W niczym, ale teren prywatny. Cofam się przed wypiętym godnie brzuchem. - A czego się spodziewałaś? - rechocze Ole. - Fantastka z ciebie! Wszelka posiadłość stanowi przedłużenie osoby właściciela. Ścieżki między posiadłościami? W kraju, w którym nikt nie chodzi na

piechotę, a nóg używa się tylko do joggingu? Nic nie zauważyłaś, jak jechałaś tu z Kanady? Przecież tu się nie ma gdzie, z przeproszeniem wysusiać. Rest areas, strefy wypoczynkowe, to znaczy małe parkingi z rusztem, telefonem, no i, rzecz jasna, kłociem, w którym i prysznic, i papier w różyczki, są mniej więcej co dwie godziny jazdy. A poza tym cały czas odrutowane pobocza, albo domeczek za domeczkiem. Żadnych zarośli, rowu, wszędzie schludnie, czyściutko. Ale jak człowieka zeprze się w czasie tych dwu godzin, to choć... tego, przepraszam. Zresztą i tak, jeśli zatrzyma wóz na autostradzie, to sobie tylko napyta biedy. Tu nikt nie przystaje, bo niby po co, chyba że coś wysiadło. Więc jak staniesz, to jadący za tobą zaraz zawiadomią służbę drogową, że coś się stało. - No a te lasy na horyzoncie? - Do części z nich już dotarłaś. To są właśnie te kluby strzeleckie, golfowe, jeździeckie, lekkoatletyczne, pensjonaty, sanatoria, domy dla starców. Reszta w rękach indywidualnych, rozparcelowana. Nie ma lepszego wskaźnika... jak by to rzec... szacowność, tego, że nie jest się byle kim, niż dom w lesie za miastem. Nawet się tam nie wybieraj, wszędzie przegonią. - To co mam ze sobą zrobić? - Ano nic. Tu nie ma Central Parku, to jest nieduża miejscowość. Możesz łązić po kampusie. Dopóki sami nie wybudujecie sobie domu w lesie... Przed wizytą u Paula i Mary - mieszkają dwanaście mil od centrum - szykuję sobie, podniecona jak przed weselem, porządne grube buty. Ostatnio łało, grunt w okolicy gliniasty, lepiej obuć się jak trzeba. Zajeżdżamy pod drewnianą siedzibę. Zwiedzanie wnętrza pochłania całe przedpołudnie. Paul zbiera figurki z porcelany. Mary - suknie z lat dwudziestych. - Żyjemy tak - tłumaczą na wyprzód - jak nasi dziadkowie. Żadnej cywilizacji. Mamy mosiężną wannę, wodę gotujemy w staroświeckim kotle, jest taka firma wyspecjalizowana w tych rzeczach. W Kentucky, transport bezpłatny. Dom postawiliśmy na palach, to dawny sposób na odizolowanie od wilgoci i co za oszczędność na ogrzewaniu! Sami? No, skądże, przecież żadne z nas nie jest cieślą. Ani architektem. Opalanie? Mamy duży piec w basemencie i kaloryfery, nie żartujcie, kto by miał czas opalać oddzielnie każdy pokój? Czym palimy? Drewnem, rzecz jasna. Nie, nie z tego lasu, kto by miał czas rąbać, Paul przecież pracuje dzień w dzień. Jest taka firma, dostarcza naturalny opał, niedaleko, w Ellettsville. Po "antycznym" lunchu (ziemniaki w łupinie, polewka z kukurydzy, cydr jabłeczny) pytam Mary niecierpliwie: - Co to za drzewa macie tu przy tarasie? Nigdy takich nie widziałam. - Te? Nie wiem nawet. Rosły, jak żeśmy się tu sprowadzali. No, drzewa. - A tamte krzaki z takimi czerwonymi jagodami? - Prawda, jak wspaniale wyglądają? To ostrokrzew. Paul zasadził w zeszłym roku. Najlepszy mają w Ogrodnictwie Finkusa. Ostrokrzew jonizuje ujemnie, a to... - Wiem, wiem, wpływa dobrze na samopoczucie. Słuchaj, Mary, czy mogłabym przejść się naokoło? - Teraz? Za kilka minut zaczyna się show Joela Greya, my mamy telewizję kablową, pewnie dotąd nie widziałaś, no i Paul właśnie szykuje drinki... - To zostawcie mi drinka na stole. Nie byłam w lesie osiem miesięcy, i... - Pozwól, że cię oprowadzę, pokażę wszystko. Tu zawsze robimy cook-out, piknik. Ten ruszt jest według oryginalnego wzorca z Nowej Anglii, kosztował dwieście. Paul sam obudował ceglami, takie cegły robi tylko mała firma w Illinois... A ta szopka? Pewnie na opał? - Nie, nie, to jest nasza ubikacja. - Na zewnątrz? Ach, pewnie zuzywacie to potem do użyźniania? - Uży...źniania? Co masz na myśli? Ach, to. No nie, przecież nie jesteśmy farmerami. Ona jest podłączona do kanalizacji. - Ale musi wam tu w zimie... tego... ziębić... te... siedzenia... - Tam jest elektryczny piec. - To po co stawialiście to na zewnątrz domu? - No jak to po co? Żeby całość była w jednym stylu! A ten stół i ławki zrobiliśmy własnoręcznie, wychodzi o połowę taniej, jak kupi się elementy do składania, w "Meblach Rustykalnych", naprzeciw ratusza, pamiętaj. - Słuchaj, Mary. Wróć do nich, a ja bym jeszcze trochę poszła przed siebie. Chcę być sama rozumiesz... - Rozumiem, ja też uprawiam medytację transcendentną. Ale tam dalej nie przejdiesz. Tam się zaczynają bardzo gęste zarośla aż do samego płotu. Jak w zeszłym roku wpadła do nie Minnie, nasza suczka, to musieliśmy dzwonić po spychacz. - To wy tam nigdy nie chodzicie? - A po co? Podobnie przebiega wizyta u Louanny i Nina, u Ann i Raya, u Steinerów, u Cindy, u Janice i Marlyn (mieszkają razem od roku), u Bartholomew u Vitauskich (pradziadek przyjechał spod Grodna). Zaczarowany krąg siedziby wraz z miejscem na cook-out, poza którym nie ma nic do pokazywania. Poza którym - dlatego właśnie, że nikt się dalej nie zapuszcza - rozciągają się chaszczce nie do pokonania. Chaszczce obrosnięte gęsto pnączami w kilkudziesięciu gatunkach, wymagające chyba maczety. Ha, trudno.

Przyjechało się w klimat prawie podwzrostnikowy, w klimat bujnej roślinności, ma się teraz za swoje. Lecz perypatetycznym nie da się tego wytłumaczyć. - Chodźmy, na Boga, gdzieś na piechotę, kupą będzie raźniej! - wybucham w czasie pewnego weekendu. - Bo ja już mam bzika, regularnego bzika! Tak, od siedzenia w domu. Nie, wyzwalać się nie myślę, to nie o to chodzi, że jestem house-wife, że wykonuję tu czynności... tego, brudne, niewdzięczne i będące w powszechnej pogardzie. Mój bzik zaczyna się nie w głowie, tylko w nogach. Ja już nie wiem, po co je Pan Bóg stworzył. A i wam, dzieci, dobrze zrobi, jak się trochę przelecicie. - Już mam - powiada mąż legalista - przecież po drugiej stronie szosy jest Uniwersyteckie Centrum Wypoczynkowe. Nie wszyscy Ważni Ludzie mieszczą się w hotelu, no to tam się ich kwateruje, jak zjeżdżają z odczytem lub misją. Olbrzymi teren, to przecież sięga aż do jeziora, jakieś kilka kilometrów w każdą stronę. Nie, nie ścieżki są. Pełno drzew, trawy, zbierajmy się! Wędrujemy z pustego parkingu do ukrytego w sosnach pawilonu ze szkła. Mąż wyciąga z kieszeni uczelnianą legitymację, panią w recepcji sięga po telefon. - Ogromnie nam przykro, konsultowałam się z zarządem, niestety, po Centrum nie wolno chodzić osobom w nim nie mieszkającym. Nie możemy wziąć na siebie odpowiedzialności za wypadki, tu są zwierzęta, nie przycinane drzewa, zaporę na zbiorniku wodnym... - To chodźmy do klubu golfowego - ciągnę rodzinę - ty siedź cicho, o nic nie pytaj. Tam przy bramie jest cerber, więc wróćmy do domu, trzeba wjechać wozem na parking, inaczej od razu nas zatrzyma. A potem podejźmy do wypożyczalni sprzętu i chowamy się w krzaki. Krzakami do lasu, tylko weźcie jakieś kije czy noże, pewnie trzeba będzie się przedzierać, tu wszystko zarasta w dwa tygodnie, wilgoć i dobra ziemia, prawie jak w dżungli! - Kryć się! - woła Młodsze. - Jakiś pan tu jedzie. Na wózku z laskami i piłkami. Mamo, ja się boję. Co myśmy zrobili? Czy on nas zastrzeli? Wczoraj w telewizji... - Tylko nie mów mu - i ja chowam się za męża plecy - że spacerujemy. Oni widać nie wiedzą, co to znaczy. Albo nie wierzą, że można spacerować. Lepiej... - Halo, jaki piękny dzień! - odpowiada mąż, starając się wymawiać jak najbardziej zgodnie z miejscowym dialektem. - Zbieramy tu właśnie okazy roślin dla dzieci na lekcję biologii. A że dzień jest piękny... - Poproszę o legitymację członkowską naszego klubu - dwudziestoletni może chłopak rejestruje nóż w rękach Młodsze. - Po terenie klubu wolno chodzić tylko tym, którzy do niego należą. Prawo naszego stanu zabrania... - Nie wiedzieliśmy, bardzo nam przykro... - Proszę natychmiast opuścić klub albo dzwonię na policję! - My, proszę pana, nie robimy nic złego - piszczy Młodsze. - My tylko spacerujemy... - Po terenie klubu wolno chodzić tylko tym, którzy do niego należą. Prawo naszego... Eskortowani przez posiłki, ściągnięte błyskawicznie za pomocą krótkofalówki, zapuszczamy wóz. W domu wyjaśnia się Starszemu i Młodsze, że, owszem, są miejsca na świecie, gdzie wszystko jest czyjeś i gdzie utrzymuje się w nienagannym stanie obszar większy od Parku Kultury. na Bielanych po to, by mogło się na nim zabawić kilkunastu panów. Nogi jednak dopominają się o swoje. Umawiam się na lunch z Henrym, jest po zawale. - Słuchaj, gdzie tu można uprawiać jogging, jeśli ktoś nie lubi skrajem szosy? - Są trzy tory kryte i dwa pod gołym niebem, ale już za późno na wykupienie niskiego abonamentu, to załatwia się we wrześniu i w lutym. - A jeśli ktoś nie lubi... no, biegać w tłoku, ja widziałam te tory, myślałam, że to zawody, tyle ludzi naraz, wszyscy spoceni... - Rozumiem, rozumiem. Też kiedyś nie miałem pieniędzy. Chodziłem na cmentarz. Wiele osób tak robi. Jest tylko pewne ryzyko, grunt niezbyt równy i łatwo się potknąć. Ale przy sprawie... - No, a jak ktoś chce... no, zwyczajnie pochodzić, pomaszerować, być na świeżym powietrzu? - Mamy aż dwa parki stanowe w okolicy! Wspaniałe! Wygodne campingi, doskonałe widoki, niekłopotliwy dojazd... - To znaczy... jeździ tam jakiś autobus? - Przepraszam cię, autobus? To jakieś nieporozumienie. Autobus dowożący do terenów rekreacyjnych? - No, czemu nie, macie autobusy, które dowożą do terenów handlowych... - Przecież na camping wozi się masę sprzętu. Jak ty sobie wyobrażasz? I kto by chciał jechać na wypoczynek z obcymi? Tym sposobem perypatetyk odkrywa sklepy ze sprzętem, do których dąży regularnie niczym ćma do ognia i z których trzeba go na siłę wyprowadzać. Ach, wpuść tu Małgoškę! Albo Leszków. Zbaranieliby. Nie chodzi o namioty. Zwykły szajs, nylonowe, najwyżej na krótki postój w środku lata. I nie o sprzęt kuchenny, to dla sybarytów, te wszystkie przenośne lodówki, miedziane kociołki, ruszty samoobrotowe, nie wymagające mycia sztucce, liofilizowane obiady i patelnie do pieczenia bez tłuszczu.

Ale o rzeczy podstawowe. Rzeczy podstawowe są najlepsze w "Nadwyżkach Armii i Floty". Za pierwsze oszczędności nabywamy dwa ogromne (wchodzi w nie bez trudu ośmioletnie dziecko) plecaki, a właściwie wory z szelkami, z grubego brezentu o podłużnym kształcie, idealne do wsuwania w dziub kajaka. Leżą podobno jeszcze z czasów wietnamskich. - Na więcej nas nie stać - oznajmia mąż - przecież to jeden z najdroższych magazynów. Przestań tam w kółko łązić. Choroby dostaniesz. To się nazywa fachowo "czynności zastępcze". Ba, jak tu jednak oderwać się od śpiworów, które po zwinięciu tworzą leciutki, najwyżej czterdziestocentymetrowy tobołek. Albo od niby-szmatki (nikt nie wie z czego ją robią), którą wymyślił ktoś zamiast nadmuchiwanym materaców - rozkłada się to na podłodze namiotów, izoluje od zimna, wilgoci, a więc grypy, korzonków, reumatyzmu itp. Albo od skórzanych sznurowanych - z wyglądu buciorów - które na stopie okazują się miękkim szwaskim majstersztykiem? Od wełnianych skarpet, peleryn rybackich, żeglarskich, rowerowych, dresów z czystej bawełny, prymusów mieszczących się w kieszeni, klejów do dętek, płynów impregnujących dowolny materiał? Z bezsilną zawiścią obserwuję, jak Margot z Karlem ładują przyczepę. Jedziemy z nimi do parku stanowego w hrabstwie Brown. No trudno, my wrócimy przed zmierzchem. Kto ma, temu będzie dodane, poucza Ewangelia. Czy to daleko? Skądże, tylko osiemdziesiąt mil. - To w tym tempie nie zajedziemy do południa - denerwuję się w wozie. - Czy ci wszyscy przed nami też do hrabstwa Brown? - Najwidoczniej. - To ja już nic nie rozumiem. Przecież to okolica rolnicza. Farmerzy pędzący na łono natury? Zamiast uwalić się w dzień świąteczny na ganku, popijać coś chłodnego, dać ulgę plecom i rękom? - Ciemna maso - wygłasza kazanie Zbyszek (zjechał tu pięć lat temu) - co za dziewiętnastowieczne wyobrażenia! Jakie znów obolałe plecy i kończyny? Wszystko zmechanizowane. Moi staruszkowie przez piętnaście lat mogli tylko raz zostawić gospodarstwo: na chrzciny wnuka. Przyjechali do nas do Łodzi i wrócili wieczornym pociągami. Tu farmer przesiada się z maszyny na maszynę albo kontroluje poszczególne urządzenia. Gospodarstwo na dobrą sprawę samo się prowadzi. Zresztą uprzytomnij sobie, że przecież tu nie ma farm, z których żyje się w sensie dosłownym, to znaczy ma własne mleko, drób, warzywniak, własne świnie. I tupta się od rana do wieczora. Tu są ogromne fabryki rolne produkujące kukurydzę. Albo arbuzy. Albo konie wierzchowe. Albo paszę dla kur. Toteż choć trzy czwarte gruntu zajmują farmy, na ziemi pracuje tylko jakieś kilka procent mieszkańców. Reszta siedzi w sklepikach, warsztatach, pralniach, stacjach benzynowych, hotelach. I teraz razem z nami jedzie się odprężyć. Ty, słuchaj - zwraca się do męża - jedziemy przez ten park już ponad pół godziny! Wyrwijmy się z tego korka. Skręć w pierwszą lepszą drogę boczną! Nie ma żadnej drogi bocznej. Serpentyna za serpentyną. Zapierający dech las we wszystkich kolorach wiosny. Ale nigdzie nie można przystanąć. Jedziemy dalsze pół godziny. Ustawiamy się w kolejce do bramy. Wstęp: dwa dolary dorośli, dolar dzieci. Ogromny parking nad niewielkim jeziorem. Za parkingiem trawnik, taki sam jak na kempingach. Margot i Karl wyładowują sprzęt. Rozkładają przenośną kołyskę dla małej (model "Polana w Puszczy"), węgiel drzewny do pieczenia, czteropalnikową kuchenkę, śpiwory. Pod sufitem namiotu (- Choroba, weszłoby i dziesięć osób - wzdycha Zbyszek) wieszają specjalną lampę. Zaświecona wydziela fermony, które zwabiają owady. Inna wydzielina kompletnie bezpieczna dla ludzi (głosi ulotka), błyskawicznie owady uśmierca. Spadają do specjalnego pojemnika. Pomagam mu nadmuchać pikniowe meble (model "Kamienny Potok"). Przynosimy wodę z kranu dla naszego sektora. - To co robimy? - Jak to co? - podnosi brwi Margot. - Szykujemy lunch. Włóżcie swoje napoje do naszej lodówki, żeby się oziębiły. A ty, Zbyszek, pokrusz lód dla dzieci. Czy wolicie steki nie dopieczone czy chrupiące? Tyreza, zajmij się sałatą, krawaczkę do jarzyn znajdziesz w dużym zielonym pudle z napisem "Przybory", załączysz do prądu obok kranu. Jatsek, czy mógłbyś przewinąć Talię? Bo Karl teraz musi naszykować drinki... Po półgodzinnej krzątaninie siedzimy nasyceni pod ogromnym parasolem, sącząc jakieś mieszaniny z wysokich, oszronionych szklanek. Wszyscy wokół właśnie sączą. Tylko dzieci robią rejwach. Ileż tu niemowląt! To obok to chyba noworodek. Tam, pod pomarańczową przyczepą, też na oko nie starsze niż parotygodniowe. Co kraj to widać obyczaj. Matki obnażają piersi (karmienie butelką okazało się niezdrowe i nienaturalne) lub otwierają puszki z lodami dla starszych; porcja orzechowych jest w stanie uciszyć nawet nastolatka. Ojcowie przystępują do gier

(kometka, latające talerze) lub włączają przenośne telewizory. - Ja tam idę się przejść - oznajmiam tonem kategoriycznym. - Idź, idź - zachęcają Karlowie - wokół jeziora jest znakomita ścieżka turystyczna. Ścieżka zaczyna się na parkingu, ma pewnie metr szerokości. Tłok niczym w Kampinosie między Dziekanowem a Dąbrową. A przecież kudy Kampinosowi do tych lasów; rozciągają się na mapie chyba na osiemdziesiąt mil w każdą stronę i mają ponad sto lat. Jedni spacerowicze biegają w dresach inni wykonują przysiady, jeszcze inni energicznie maszerują, wdychając głęboko powietrze. Tfu, do licha! Zwyczajny tor sportowy. Sapia człowiekowi nad głową, skrobą "marchewkę" po piętach i jeszcze co chwila trzeba im mówić z uśmiechem: "Halo!". Ani polany, ani jakiejś ścieżki w bok. Pnącza, chaszczę, z siekierą to forsować czy jak? Po kilkunastu minutach tor zawraca w stronę campingu. Wściekła ląduję na nadmuchiwanym fotelu z podnóżkiem. - Czy tu nie ma innej drogi? - A po co ci droga? Popatrz tylko, jaki wspaniały stąd widok na jezioro! - Czy tu nie można gdzieś się przejść? Dlaczego ten tor turystyczny nagle się urywa? - Jezioro otaczają wzniesienia ze starych skał. Są zwietrzałe. To bardzo niebezpieczne. Można złamać nogę. - Ale tam - wskazuję ręką zwartą ścianę lasu za parkingiem - nie ma żadnych wzniesień. Czy wy... czy wy nigdy nie wchodzić do lasu? - Do lasu? Chyba nie wiesz, o czym mówisz. Nasze lasy są bardzo groźne. Pełne owadów, których ukąszenie wywołuje różne choroby. Pełne węży... - Jakich znów węży? - Pod Terre Haute widziano w zeszłym roku grzechotnika! - Co wy pleciecie? Strefa grzechotników zaczyna się dopiero w Missouri! - Nie jesteś zoologiem, więc nie wiesz na pewno. Zwierzęta często zmieniają terytoria... - To chyba był taki grzechotnik - wtrąca się Starsze - jak ten wąż, cośmy go sfotografowali z żabą w pysku pod zaporą. Zwyczajny zaskroniec. A wszyscy tu mówili, że jadowity. I że nie jesteśmy specjalistami. - Poza tym są to lasy - ciągnie Margot - pełne jagód, różnych dzikich owoców, dzieci mogłyby wziąć do ust coś nieodpowiedniego, pełne pnączy... - Jakby ludzie chodzili po lasach, pnącza by się nie rozrastały, to przecież nie tropik, i ścieżki by były... - Pełne pnączy - przychodzi w sukurs Karl - wśród których trafia się trujący bluszcz, ja wam naprawdę nie radzę... - Bardzo wam dziękujemy, za mile spędzony czas i za miłą pogawędkę - podsumowuje mąż, który odebrał dobre, lwowskie wychowanie - ale pora na nas. Robi się... eee, trochę chłodno i musimy już wracać. - Ten słynny trujący bluszcz - klaruję rodzinie już w samochodzie - wygląda podobnie do dzikiego wina. Usiadłam raz na nim. Jak przycupnęłam krzaki u tej zębatej farmerki pod Ellettsville. Szkoda, żeście nie idzieli, w jaką wpadła histerię. Najpierw przeproszała, ona co dzień sprawdza teren widocznie wyrosło w ciągu nocy. Potem chciała natychmiast zawezwać ambulans. Ledwie jej wyperswadowałam. Ten bluszcz rzeczywiście piecze, ale nie bardziej niż stara pokrzywa. I powoduje duże, swędzące bąble. Podobno jedna osoba na dziesięć tysięcy jest na to uczulona. Stąd tyle hałasu. - Szukajmy innego campingu - gorączkuje się Starsze - może naprawdę spotkamy grzechotnika! Objeżdżaliśmy więc po kolei "Kalumet", "Zachód Słońca", "Pod Sykomorami", "Błękitną Strugę". Wszędzie parkingi, ruszty, namioty, tysiące Margot i Karłów przystępują obecnie do przygotowywania obiadu. Nigdzie ścieżki. Nigdzie polany. Nigdzie czegoś dla perypatetyków. Spróbujmy jeszcze w zarządzie parku. Czy nie ma gdzieś tu miejsca, gdzie moglibyśmy pójść na spacer? Bardzo państwa przeproszam, nie rozumiem. Czy byliście państwo na naszych campingach? Czy coś nie w porządku? Reklamacje przyjmuje wicedyrektor naszego zespołu, numer telefonu... Spędzamy resztę dnia przedzierając się przez zarośla koło jednej z parkowych szos. Popatrzcie, dzieci, jakie tu rosną wspaniałe jeżyny! A to drzewko nazywa się perismon, to z jego owoców robią tę gorzką marmoladę do placka na Halloween, pewnie wyjeżdżają zbierać je dźwigiem budowlanym. Niestety, co chwila ktoś przeszkadza. Czy nic się nie stało, bo wóz stoi na poboczu? - Wjedź wozem w las - ponaglęm męża - i wiesz co? Mam świetny pomysł, zamiast deptać nogami, staranujemy te chaszczę wozem. - Oszalałaś kompletnie! - wybuchają męża. - Chcesz mieć na karku ichnię straż przyrody? I przestań robić tragiczne miny. Dziękuj Bogu, że u nas jeszcze nieprędko każda rodzina mieć będzie dwa pojazdy. Za rok o tej porze będziesz sobie leżeć nad Jeziorem Tartacznym... Póki co - niektórzy perypatetycy lubią także pluskać się w wodzie - wybieramy się za kilka niedziel nad Lake Lemon, największy zbiornik wodny w naszym stanie. Na tylnym siedzeniu spotykają się Polly i Chick; nie widzieli się trzy lata, podobno mieszkali niegdyś razem. - No, jak się masz Polly! Co roku ładniejsza! - Jak się



masz. Chick. Studiujesz czy pracujesz? - Pracuję, ożeniłem się, Sally jest cudowna, tylko wciąż nie bardzo biegła w sprawach domowych. - Bez praktyki nie ma perfekcji. A jaki ma problem? - Na przykład jajka na twardo. Bez jajek na twardo nie ma porządnej sałatki. Jak Sally ugotuje, mają zawsze zieloną obwódkę wokół żółtka. To takie nieapetyczne, prawda? - Bardzo nieapetyczne. Ale jest na to prosta rada. Powiedz Sally, żeby zalewała jajka zimną wodą i potem nakryła je szczelnie. Gdy zawrzą, powinna zakręcić kurek i zostawić je w gorącej wodzie na trzydzieści minut. To bardzo ważne na trzydzieści minut! Gwarantowany sposób. Albo, jeśli już nieszczęście się stało, trzeba ostrożnie przekroić, tak by nie uszkodzić żółtek, i delikatnie obmyć je z zielonej otoczki pod bieżącą, zimną wodą. - Stanowczo wspomnę o tym Sally, jak tylko wrócę do domu. Jaki piękny dziś dzień, prawda? - Lipiec jest przerażająco piękny w naszym stanie. Może tylko trochę za gorąco. Byłam ostatnio na trzech pożegnaniach, to bardzo męczące przy takiej pogodzie. Ceremonie pogrzebowe wlokły się bez końca. Pomyślałam sobie, że nagram taśmę na wypadek, gdybym odeszła w lecie. Zacznę od krótkiego powitania gości. Potem chór odśpiewa mój ulubiony hymn. Potem poproszę pastora o pięciominutowe egzekwie. - Znakomity pomysł, wiesz? Sally śpiewa w chórze. Poproszę ją, to razem z koleżankami nagra ci ten hymn za darmo... Czekać no! To naprawdę wspaniała idea! Moglibyśmy otworzyć we trójkę specjalne biuro. Już mam: "Liturgia na upały" albo... - To brzmi za bardzo... eee, mistycznie. Agnostyków mamy w tym kraju około dwudziestu procent. Lepiej "Ostatnie spotkanie". Albo "Pożegnać bez nudy", co? - Mona, siostra Sally, mogłaby zaprojektować nam ogłoszenie... - A Jerry, mieszkam z nim teraz, pracuje w Codziennych Wiadomościach. Przysługuje mu rabat od anonsów, jak każdemu dziennikarzowi... Gdy dojeżdżamy do rogatek "Relaksowego Centrum Lake Lemon", plan już jest gotów, włącznie z kosztorysem. Z kocem pod pachą przedzieramy się przez setki rodzin, zgromadzonych wokół rusztów pod parasolami (słońce ma własności zdecydowanie rakotwórcze). - Chodźcie gdzieś dalej - wołam - przecież tu brzeg wprost oblepili! O, tam jest jakoś luźniej! Polly łapie mnie za rękaw: tam są tereny prywatne. - Więc jak to? - pytam chórem ze Starszym i Młodszym. - Na tak ogromnym jeziorze wydzielono tylko jedną plażę publiczną? - Ano, tak. To jest bardzo dobry interes. Ten teren na lewo wykupiła Renee, ma dziewczyna zabezpieczoną przyszłość... Renee? Poznałyśmy się u Geoffa. Malowała ściany sprzętem wyciągniętym z rozsypującej się furgonetki. Pomogłam przy suficie za dwie puszki piwa; piłyśmy je w zawalonej drabinami pakamerze na dalekim przedmieściu. Chciała wiedzieć coś o Rosji - babka była z domu Levinski. Czy to ta Renee? Co maluje wnętrza? To po co to robi, przecież taki teren... Och, Renee ma głowę na karku - słyszymy. Rodzice dorobili się w Teksasie, no to zainwestowała to tu, nad Lake Lemon. Podzieliła na czterdzieści parceli, wydzierżawiła. A na podatek od gruntu zarabia właśnie malowaniem. Domy klientów opieki społecznej maluje za darmo, za to jest zwolniona z podatku od przedsiębiorstwa. I w ten sposób wychodzi na czysto. Zakotwiczymy się ostatecznie między farmerami z siódmką dzieci a starszym małżeństwem z czterema pudłami. Prędko do wody! Tuż obok jest plaża strzeżona. Trzy ratowniczkę, siedzące w wysokich bocianich gniazdach, i może pięćdziesięciometrowa tafla wody, odgradzona bojami. W połowie tafli czerwony sznurek, przed sznurkiem taplają się maluchy, dalej pustawo. Posiadacze "żółtych czepków" i kart pływackich znad Wisły rzucają się więc w inną stronę, woda ciepła jak marzenie, raz dwa na środek jeziora! Doganiają ich donośne gwizdy i motorówka. - Pływać wolno tylko po obszarze wydzielonym. - Na tym małym kawałeczku? - Prawo naszego stanu... - Czy tu nie ma kart pływackich, my przecież... - Prawo naszego stanu... - A tam pływają jacyś ludzie! - To są tereny prywatne, pływają na własną odpowiedzialność. Włazimy między boje, przepływamy za czerwony sznureczek. Znow gwizdy. O co chodzi? Dzieciom wolno pływać tylko do sznurka, chyba że zdadzą przed ratownikami egzamin. I czy dostaną zaświadczenie? Nie dostaną, mają tylko pokazać, że potrafią czterokrotnie przebyć przestrzeń kąpieliska. Machnęły bez trudu, najgrubsza z ratowniczek kręci jednak głową. W czym rzecz? - Prawo naszego Centrum przewiduje, że przestrzeń kontrolna ma być przepłynięta kraulem, nie żabką. Dlaczego? Bo tylko kraul jest stylem gwarantującym pełne bezpieczeństwo. Koniec, kropka. - Nic nie rozumiem, dom wariatów - wybuchłam na kocu - dlaczego tu się nie robi kąpieliska no, przynajmniej dwa razy takiego? - Hrabstwo Munroe, do którego należy jezioro - tłumaczy cierpliwie Chick - ma ogromny

deficyt. Gdyby nie dobroczynność, nie byłoby w stanie utrzymać nawet tego Centrum, przecież tu pracuje pewnie około setki ludzi, na parkingach, przy bramie, w punkcie sanitarnym, w sklepach, w restauracji. Musieliby zatrudnić następne ratowniczk. Prawo naszego stanu nakazuje trzy osoby pilnujące na każde sześćdziesiąt jardów kąpieliska. - To dlaczego nie zwolnią ratowniczek i nie pozwolą pływać na własną odpowiedzialność? - Ty chyba zwariowałaś, kto przyjeżdżałby się kąpać w niepewne miejsce? Zawsze możliwy jest jakiś wypadek, udar słoneczny, zachłyśnięcie. Popatrz zresztą, ile tu motorówek z nartami wodnymi się kręci. Gdyby nie boje, mogłoby dojść do kolizji... - No, właśnie, czemu się tych motorówek nie przegoni? Warkot, smród, co minutę ktoś zatacza łuk wokół naszej plaży. - Skorzystanie z kąpieliska kosztuje trzy dolary, a z nart wodnych osiemnaście na godzinę. Gdyby nie dochód z nart, Centrum już dawno by zamknęli. - Więc prawo naszego stanu nie dotyczy narciarzy, jasne. Ale dlaczego tylko kraul? Zawsze sądziłam, że najbezpieczniej żabką. Najmniejsza możliwość wpadnięcia na kogoś, najbardziej zgodne z ludzką fizjologią... - Nie jesteś specjalistką, nie możesz wiedzieć. Zapisz dzieci na kurs kraula, prowadzą go właśnie te ratowniczk, i nie będziesz miała problemu! Ciekawe, rozmyślałam w drodze powrotnej, czy gdyby umiały kraulem, to te baby zażądałyby delfina? I czy choć raz uda mi się tu spotkać tubylca, który powiedziałby: "To idiotyzm". Albo "To biurokracja". Który nie identyfikowałby się z prawem naszego stanu z instytucją, z przepisem. Który miałby choć cień podejrzenia, że otaczający go porządek nie jest jedynym możliwym lub przynajmniej najlepszym z możliwych. Od czego zależy szemranie obywateli? Mniej szerzą zawsze tam, gdzie jest to zabronione. A wcale nie szemrzą tam, wzrastają w przekonaniu, że szemrać na jakikolwiek temat jest w bardzo złym guście. Że wobec rzeczywistości obowiązuje nas podejście konstruktywne. Spróbujmy tedy konstrukcyjnie. W płocie okalającym szkołę, do której chodzi Starsze i Młodsze, odgrywamy dużą... nie dziurę, raczej zaniedbaną lukę. Wychodzi się przez nią na tyły klubu golfowego. Jeżeli akurat nikt nie zapędma się w tę stronę za piłką, można przekraść się pod osłoną wzgórza do niewielkiej kotlinki w lesie. Z rudawych łupków wypływają dwa wartkie strumienie. U ich zbiegu, w rozlewisku, śmigają pstrągi, po dnie przebierają łapami żółwie. Pod mrocznym sklepieniem drzew gromadzą się różne stwory, salamandry, ropuchy rogate, wiję, pająki o perłowych odwłokach. Powyżej, na zboczach, rozkwitają przez niemal cały rok wszelkie kwiaty tej ziemi. Zaczynamy spędzać tu każdą wolną chwilę. Tydzień przed odjazdem przychodzimy się pożegnać. Ogarniamy ostatni raz wzrokiem nakrapiane lilie, fiołki, dzikie narcyzy, konwalie, pomarańczowe języki "majowych jabłek", różowe(!) przylaszczki. Nabieramy w dłonie krystalicznej wody. Przysiadamy na zwalonych pniach, słuchamy świerszczy i przedrzeźniaczy, wdychamy zapach zbutwiałych liści i honey-suckle, krzewu, który przyprawia o zawrót głowy. - Jak to możliwe, że przez czternaście miesięcy nie spotkaliśmy w tym zakątku żywego ducha? ŃStaw - ćwiczenie imaginacyjne Przez okna mieszkania w Warszawie widać wodę. W przesmyku między szarymi klockami bloków jakimś cudem uchwiał się kawał łąki, z wyschniętym korytem dawnego potoku i ze starannie obetonowanym ni to zbiornikiem, ni to basenem. W planach osiedla nazywa się on "terenem rekreacyjnym", w dziale technicznym administracji - "zabezpieczeniem przeciwpożarowym" w zarządzie spółdzielni zaś - "nie wykończoną inwestycją". Jest to resztką niegdysiejszej wsi, z której ostał się jeszcze cmentarz, barokowy kościółek i kapliczka. Wystawiono ją u schyłku ubiegłego stulecia, w akcie dziękczynnym za ocalenie od zarazy. Ostało się też kilkuset mieszkańców, którzy spędzili tu dzieciństwo i którzy czasem pamiętają, że zbiornik - to po prostu staw Szymanków. Trzydzieści lat temu skrywała go kępa topoli i kasztanów. Szło się do niej szeroką aleją lipową. Z prawej strony stała obora i chlew, z lewej rozciągał się duży sad z epoki, której wydał wojnę profesor Pieniążek - z epoki koks, ananasów, grochówek, grapsztynów, koszteli, ulen, ber, michalek, i innych mało płodnych a wysokopiennych drzew owocowych. Brzegi stawu porastały gęste szuwały. Gdy się szło je rwać przed Zielonymi Świątkami, trzeba było pożyczać od starego Szymanka łódkę. Przebywały tam chętnie dzikie kaczk. Starsi mieszkańcy wspominają nawet perkozy: zagryzły je psy Migdalskich. Staw Szymanków wyznaczał swoisty rytm dookólnego życia. Na wiosnę chodziło się łowić skrzek i trytony do szkolnego akwarium, a także dafnie, cyklopy i żółtochręzki. Te ostatnie nie na pokarm dla ryb, tylko z ciekawości. Drapieżny chrząszcz, dziw natury, potrafi uciąć ogon nawet

karasiowi. Apoplektycy i słabi w nogach łapali pijawki, kobiety z dziewczynkami nadciągały po niezapominajki, kaczeńce i jaskry do wazoników; z oskubanych łodyg sitowia sporządzały "rózyczki" do suchych wieńców - przystrajało się nimi święte obrazy. Pod wieczór przynosiło tu pary - nęciły je krzaki czarnego bzu i dziwna woń wody o zmierzchu. W lecie znów skakało się w stroju gimnastycznym z pomostu i pływało bez przystanku, bo w mulistym dnie łatwo było ugrzęznąć na amen, jak to się zdarzyło Staśkowi Czwarnogowi. Dorośli oglądali te popisy z koców albo drewnianej ławeczki dla starszych, którą jeszcze przed wojną sklecił garbaty kuzyn organisty. A w niedzielę po mszy wyprawiały się tu całe rodziny, z wałówkami i kompotem z czereśni. Dzieciaki żeglowały na tratwie ze starego płotu, na kocach grano w tysiąca i w oko. Chyba że diabli nadali Operaczy. Zwijano wtedy majdany i śpiesznie oddalano się - wiadomo, z Operaczami nikt nie wygrał. Choć podobno kiedyś okradli Zyzola, to na drugi dzień wszystko odnieśli. Bo ktoś im powiedział, że matka Zyzola w szpitalu. Jesienią z kolei palono ponad stawem ogniska i łowiono ryby. Niewiele tam tego było, ale zawsze wyciągnął człowiek jakiegoś karpia albo karaska. Zdarzały się też i raki. Ot, szło się po kawał padliny, zarzucało na brzegu, brało po nocy latarnię od wozu i pchało do kosza. W zimie na stawie dzwoniły łyżwy. Wczesnym popołudniem maluchy, często eskortowane przez panią od wuefu, po maluchach wyrostki. Z kijami i z bramką z dwu cegieł. Kto nie miał siedemdziesięciu złotych na sprzęt, szedł do Rurki i przykręcał sobie do obcasa blaszkę. Panczeny mieli bracia Janowscy - pięciu ich było - pożyczali chętnie, bo zawsze któryś albo odrabiał lekcje, albo chorował na koklusz, odrę czy anginę. Zwykły rytm zakłócały wydarzenia pamiętne. W pięćdziesiątym trzecim Bolka rozerwała mina, przywłókł ją nie wiedzieć czemu do łódki, może myślał, że majdrować przy wodzie bezpieczniej. Czy zresztą Piotrek Knuć też nie przygnał nad staw, jak się oblał benzyną i ktoś akurat przy nim zapalił papierosa? Dobrze, że Rutkowski zdusił zaraz ogień kurtką, żył Piotrek bez nosa i lewego ucha, ale żył. W pięćdziesiątym ósmym piorun strzelił w chlew Szymanków, zabił cztery świnie, leżały na brzegu straszne, czarne, popalone, póki Szymankowa nie powiedziała: już ludzie, nic z nich już nie będzie, zakopmy. W sześćdziesiątym przyleźli tu jacyś z miasta, szukali czegoś, dzieci mówiły, że podziemnego przejścia, akurat, dziewczuch naszych im się zachciało, no to dało się znać Operaczom i po krzyku. W rok później córka Łystka chciała się topić. Ksiądz proboszcz przemówił do rozumu, pojechała gdzieś, wróciła się mężatką. I tak szło przez całe lata. Nawet wtedy, gdy Szymankowie pojechali szukać szczęścia na Śląsk i w chałupie zaczął się rządzić zieć z Powązek, ten ryż. Nawet wtedy, gdy kilka kilometrów dalej powstał ogromny, dymiący zakład przemysłowy, a podchodzące coraz bliżej bloki widać było z przykościelnej gruszki. Aż wjechały do wsi koparki, spychacze i dźwigi. Trwało to dziesięć lat. Mieszkańcom wsi przydzielono lokale na parterach bloków, brali chętnie, zawsze to zasieje się choć pod oknami trochę astrów, dali i pomidorów, postawi kawałek ławeczki, po piętrach nie trzeba będzie biegać, te windy w kółko stają, woda podobno niedochodzi i w ogóle, tak wysoko, strach czegoś... Zadomowili się powoli. Ale siedzą w mieszkaniach albo ogródkach pod oknami. Nad staw nie chodzą. Spotykają się w kościele i na cmentarzu, no, jeszcze w budce pani Rogalińskiej, tej jednej dobrze na tej nowoczesności wyszła, przedtem handlowała w klitce swymi kartoflami, włoszczyzną i oranżadą, dostała koncesję, duży kiosk postawiła, towar dowozi furgonetką, kolejka od rana do wieczora, bo to jedyny warzywniak na całe osiedle, dacę ma, w futrach chodzi. Rogalińska też nad stawem nie chodzi. Swego tam poznałam, mówi, raz w niedzielę z Dąbrowy przyszedł do stryja, na harmonijce pięknie grał. Ale teraz nie ma tam po co chodzić, inny czas, inni ludzie... Zbieranina, ta On0icznego nie uszanuje. Zbieranina rozkłada na łące leżaki i koce, ale tylko późną wiosną, gdy w bloku trudno wysiedzieć, a trawa jeszcze świeża. Opali się człowiek trochę, przegoni raz maluchy z betonowego podwórka. Tu przynajmniej nie grozi im samochód ani upadek z żelaznej huśtawki, ani szkło w piaskownicy. Od czerwca łąka pustoszeje. W zdeptanej, żółkłej trawie poniewierają się butelki, puszki, papiery, torby plastikowe i tysiące psich kup. Po kępie topoli i alei kasztanów zostały tylko kikuty, wyszło to już w pierwszych latach, gdy po uzbrojeniu terenu obniżył się poziom wód gruntowych. Reszty dokonały spychacze i walec. Ani krztyny cienia - lepiej już wybrać się gdzieś za miasto. Na łące więc zostają tylko właściciele psów. I hordy nastolatków. Ćmią po krzakach pety, rozganiają zabłąkane dzieci, obciągają sikacza, snują się bez ładu i

składu. Na północnym skraju założono kiedyś dla nich boisko do piłki nożnej: zarosło w mig zielskiem, nie było komu kosić. Po obrzeżach zaczęły się pojawiać pierwsze śmietniki: tu stara kanapa, tam gróz, ówdzie niewiadomego pochodzenia blacha i pręty stalowe. Łąka wzbudziła tylko raz emocje: gdy wybuchła moda na: "dzikie działki". Część mieszkańców wyszła z tyczkami i sznurami: będziemy dzielić! Ludzie - rwał włosy z głowy ktoś z Rady Osiedla - przecież to jedyny kawałek zieleni na kilka kilometrów! Zawróćcie! Po co wam ta główka kapusty? Tu nic nie wyrośnie, nie dacie rady, przecież to perz, opamiętajcie się! W zarządzie spółdzielni oznajmiono przez telefon: Powstrzymajcie ich własnymi siłami. Zresztą i tak wszystko jedno, to teren przeznaczony do dalszej rozbudowy, postawimy tam osiem punktowców, znacie sytuację, no, miał być teren rekreacyjny, ale sami rozumiecie, nacisk na budownictwo... Łąkę uratował jeden z lokatorów. Przywdział mundur - rzecz działa się w stanie wojennym - i rozgonił samowolnych geodetów. Wieść u punktowcach rozeszła się szybko. Dali spokój łące. I nikt nie zgłosił się do zbierania na niej śmieci. Skoro tak czy owak wyjadą koparki i dźwigi... Przy stawie też pusto. Bo jak tu przesiadywać: strome, betonowe obrzeża dzielnie opierają się inwazji traw. Po wodzie pływają od niepamiętnych czasów kawałki styropianu, szmaty, fragmenty mebli. Ostatnie żaby wytłuczono kamieniami. Wieczorem przyległe zarosła okupują pijacy: z zakładu przemysłowego, z pobliskiej budowy, z bazy transportowej. Kiedyś jeden się utopił, ale nawet w przyległym bloku nie wiadomo nic o tym zdarzeniu. Były tam jakieś wrzaski, może się pobili, a może dostał ataku serca? Staw ożywa tylko w sezonie zimowym. Przy pierwszych mrozach przenoszą się tu hordy nastolatków. Bo czy to nie frajda walić butelkami i cegłami w trzaskającą taflę? Ktoś z Rady Osiedla próbował interweniować, czy nie rozumiecie, że po takim lodzie nie da się później jeździć na łyżwach? Nie mamy przecież w okolicy żadnego lodowiska. A co to pana obchodzi, czy to pana staw, warknęli i walili dalej. Co można zrobić? Ano, nic. Kilkanaście tysięcy ludzi wokół, szukaj wiatru w polu, dziś ci, jutro inni. Nie ma więc w styczniu - lutym dnia bez wypadku na stawie. Rozorane o szkło kolano, wybite o cegłę zęby. Na tafli tłok, każdy jeździ w swoją stronę, nietrudno o zderzenie, zwłaszcza pod wieczór, gdy robi się ciemno. Rada Osiedla próbowała założyć nad stawem latarnię - żarówkę ustrzelono z procy już po paru godzinach. Był też projekt, by zatrudnić tu sezonowo dozorcę z położonej obok szkoły. Ludzie, puknijcie się w głowę - zawodził - za pięć patyków miałbym pilnować tych bachorów po godzinach pracy? Szukajcie sobie jelenia gdzie indziej. Osiedlowi rodzice oddychają z ulgą, gdy spadnie wreszcie obfity śnieg. Koniec z łyżwami. Łopaty do odgarniania są w każdym bloku, ale kto miałby odgarniać? I po co? I tak sprawa przysycha, aż do następnej zimy, gdy być może staw zasypią, bo przecież ma być osiem punktowców. Kiedy? A kto tam wie kiedy. A gdzie dzieci pójdą na łyżwy? Gdzieś pójdą, nie tu, to tam, jakoś to będzie... Jak połączyły się losy takiego stawu na Midwieście? Jest rok sześćdziesiąty. Wraz z Północno-Wschodnią Spółką Budowlaną szukającą atrakcyjnych terenów pod rozrost aglomeracji, w podmiejskiej wsi pojawia się człowiek w olbrzymiej żółtej ciężarówce. Może kuzyn prezesa Spółki może któryś z udziałowców, a może po prostu ktoś dobrze i w porę poinformowany. Zaczyna się kręcić wokół farmy Symesów, szkicować w notatniku, mierzyć grubość kasztanowych pni, odległość stawu od potoku, zgłębiać dno. Po kilku miesiącach człowiek wszczyna pertraktacje. Symesowie tak jak wszyscy mieszkańcy, zwracają się o pomoc prawną. Mijają dwa lata wzajemnych podchodów, nacisków i ustępstw, przetargów, wyliczeń i konferencji z adwokatami. Wreszcie sprawa zostaje wynegocjowana. Spisuje się umowy, dochodzi do transakcji, wieś pustoszeje. Symesówna na przykład wyjeżdża na studia do B., niedużego miasta, będącego siedzibą uczelni słynnej z noblistów - ach, marzyła o tym przez długie lata i zimy na zapleczu sklepiku pani Rogalinsky, ważąc płatki owsiane, przebierając pomarańcze. Starzy kupują sobie chlewnię na tysiąc sztuk i duży dom z werandą na przedpolach Parku Narodowego w K.: za resztę syn rozkręca własną firmę transportu mięsnego, tylko dureń nie skorzystałby z takiej szansy. Rodzina Janakisów nabywa elegancki apartament w śródmieściu (nigdy nie lubili wsi) oraz pralnię chemiczną: dochód z niej zapewni jakąś przyszłość pięciu chłopakom. Morganowie wkładają pieniądze w szaszłykarnię przy południowej szosie wylotowej, znakomity punkt, zwróci im się już po czterech latach. Grady - jego pole po dziadkach okazało się najpotrzebniejsze Spółce - wylądował aż na

Wybrzeżu, gdzie startować, jeśli nie na Wybrzeżu, jeśli tylko jest z czym. A najlepiej trafiło się garbatemu kuzynowi organisty: postawił motel. Przy jego obejściu było złożone żwiru, zorientował się w porę, długo certyfikował, aż wydebił tyle, że nawet na operację w klinice Bethesda wystarczyło. Trzyma się teraz prosto, urlopy spędza na Karaibach, interes prowadzi wnuk z żoną. Wszyscy zadowoleni, z wyjątkiem, rzecz jasna, tych, którzy od początku nic nie mieli. Jak bracia Operatsch. Za swoją rudę dostali tyle, co za rudę, próbowali jakiś czas pomieszkiwać w opuszczonej stodole, aż się Spółka zdenerwowała, dała znać na policję, przypomnieli im różne dawne sprawy, poszli do pudła. Po odsiadce dali się złapać przy pierwszym skoku, na magazyn futrzarski. Podobno młodszy umarł w końcu, starszy siedzi do dziś dzień, ech, tak to jest, gdy się prawa nie szanuje. Albo jak pani Rogalinsky. Nie miała na adwokata, to za sklepik razem z pokojem u Morganów policzyli jej grosze, z torbami poszła, żyje teraz w przytułku prowadzonym przez Ligę Chrześcijańskich Niewiast. Sarkają też oczywiście tacy, którzy nie mieli siły przebicia. Albo sądzili, że życie da się spokojnie przespać. Jak O'Rourke na przykład. Nie wytrzymał targów o swoją pasiekę, za wcześnie ustąpił, dali mu niskie odszkodowanie, próbował zacząć raz jeszcze na Południu, nie dał rady, tam co druga farma to pszczelarstwo, a O'Rourke na nowoczesne metody nie mógł się zdecydować, upierał się przy swoim, potem robił w fabryce mebli, wreszcie przeszedł na zasiłek, zawsze był niedorajdą, co mu słusznie wypominała żona przed rozwodem. Rodzina Fowleyów znowu postanowiła nie ruszać się z farmy, stary, drewniany dom, jeszcze po dziadkach, szkoda go, nie chcemy żadnych zmian. Zapomnieli, że farma, do której nie sposób dojechać, przestaje być farmą. Spółka zawinszowała sobie za przejazd po swoim terenie tyle, że po sześciu miesiącach (Fowleyowa przeszła akurat poronienie z komplikacjami) musieli ustąpić. I sprzedać wszystko za jedną trzecią pierwotnej ceny, ech, tak to jest, gdy się nie potrafi rozpoznać w porę, co jest dla kogo korzystne. Są teraz klientami opieki społecznej, podobnie jak średni z Johnsonów, który nie umiał znaleźć pracy. Nic dziwnego, szukać po czterdziestce i do tego jeszcze w orkiestrze, poroniony pomysł. Bez elastyczności, bez napędu idzie się na dno, na tym polega życie, kto go nie chce zrozumieć, do niczego się nie nadaje. Jest rok sześćdziesiąty drugi. Do wsi wkraczają spycharki, koparki, dźwigi i zwarte oddziały zwawo krzątających się robotników w bawełnianych kombinezonach z masą kieszeni: w każdej pęki narzędzi. Przygotowują teren. Zwalają domy, z wyjątkiem domu Fowleyów, ten przechodzi generalny remont. Dach zostaje pokryty nową słomą - jest zaprawiona specjalną przeciwpożarową substancją - która w dodatku zapobiega wpływom atmosferycznym i odbarwieniom. Cały starodrzew - oprócz sadów, drzewo owocowe nie zdobi - otaczają siatkami ochronnymi. Studenci wydziału drzewiarstwa i leśnictwa, najęci na całe lato, przycinają pracowicie konary, modelują korony, zalepiają stare dziuple, nawożą przy korzeniach. Krzaki, chaszczki, i inne śmiecie wyrzywa się i spala, nierówności gruntu wygładza. Powstaje sieć asfaltowych i żwirowanych ścieżek. Po założeniu gęstrzej sieci wodociągowej i kanalizacyjnej pojawiają się murarze i cieśle. W sześć miesięcy wyrasta tu osiedle kondominiów - piętrowych domków, z których każdy zawiera dwa większe lub cztery mniejsze mieszkania do wynajęcia. Jeszcze tylko "wykończenie" - zwożą ciężarówkami całe bele zielonej, gęstej darni na trawniki i pęki tui oraz świerszczyków - i mogą wprowadzać się pierwsi lokatorzy. Żadna tam zbieranina. Teren, który odtąd nazywa się "Kasztanowym Gajem" czy "Szmaragdowym Stawem", przeznaczony jest z uwagi na wysokość czynszu dla ściśle określonych ludzi: ustabilizowanej ale nie przesadnie zamożnej klasy średniej. Dla tych, których jeszcze nie stać na własny jednorodzinny domek za miastem, ale których stać już na to, by nie mieszkać w zaduchu śródmieścia, w starych kamienicach, powoli przeradzających się w slamsy, w gigantycznych wieżowcach sprzed pół wieku lub co gorsza w dzielnicach, gdzie wskutek napływu cudzoziemców "nie ma spokoju" - gdzie zdarzają się kradzieże, napady i bójki. Wprowadzają się więc małżeństwa emerytów, zasłużeni majstrowie fabryczni z rodzinami, nauczyciele, urzędnicy, właściciele świeżo założonych biznesów, początkujący inżynierowie, młodzi pracownicy wyższych uczelni. Co widać przez okno naszego konduminiów? Neon z domu Fowleyów, obwieszający z daleka "Zajazd Szwajcarski" - śniadanie, lunch, obiad wedle oryginalnych receptur spod Lozanny, w stylowym wnętrzu. I drugi neon od północy - przy stawie Symesów. Człowiek z żółtej ciężarówki stworzył tu "Rajski Zakątek. Po

niegdysiejszym bajorze - teraz starannie oczyszczonym, dno wysypane żółtym piaskiem - pływa stadko łabędzi, przemykających się między nenufatami. Stojąc przy brzegu wygięte, biało lakierowane ławeczki zachęcają do odpoczynku. Jest także łódka - chińska dżonka, z fioletowym lampionem przy sterze. Wśród drzew - rozrzucone niedbale pawilony ze szkłem i drzewem, w każdym usługi gastronomiczne. W pierwszym przekąski rodem z Chile, w drugim steki pieczone na węglach, w trzecim - francuskie "owoce morza", w czwartym herbaciarnia na wzór rosyjski, co sygnalizuje przy drzwiach olbrzymi niedźwiedź w carskiej koronie. Nad potokiem wiszące mostki, pod największym hurkocze głośno sztuczny wodospad, podświetlany o zmierzchu na różowo. W miejscu dawnego pola kukurydzy powstał duży, okrągły budynek. Od listopada do kwietnia działa w nim sztuczne lodowisko - naturalny zbiornik wody uzależniłby firmę od kaprysów aury; przedstawiałby też pewne ryzyko, załamania się lodu, powstania nierówności etc. W pozostałe miesiące natomiast można tu uprawiać jazdę na wrotkach, w ten sposób placówka jest czynna cały rok. W alei lipowej, udekorowanej sznurkami, na których łopoczą wielobarwne chorągiewki i brzęczą dzwoneczki, coś dla maluchów: są dla nich gokarty i mała karuzela. Co jeszcze widać przez okno? Najrzadziej widać ludzi. Wyjeżdżają i wracają z pracy, zakupów, każdy sobie, bo nie ma wspólnych spraw. Nie ma awarii, które tak sprzyjają zadzierzkiwaniu sąsiedzkich więzi, nie ma kolejek w sklepie ani nawet wiodącej doń wróżki - najbliższy supermarket znajduje się sześć mil za osiedlem. Nie ma parafii - do małego kościółka chodzą tylko metodyści; nie ma zagrożeń ani niespodzianek - wszystko gotowe, gładkie, raz na zawsze ustalone. Z wyjątkiem mieszkańców. Ci zmieniają się jak w kalejdoskopie. Jedni przenoszą się wreszcie do własnych siedzib, inni ruszają na wschód, zachód, południe, jeszcze innym podwija się noga - ot, wypadek, choroba, redukcja w miejscu pracy - i trzeba wracać znów do śródmieścia, a nawet do osiedla barakowozów, tej ostatniej deski ratunku dla ubogich. Czasem więc w pocztówkowym pejzażu przesunie się samochód, czasem któryś z dozorców, zbierających papierki, strzygących trawę, podlewających tuje (psie kupy nie wchodzi w grę - na każdym budynku widnieje napis: "Bez zwierząt domowych"), czasem jakieś samotne dziecko, które po kwadransie zawraca do domu. Bo "Rajski Zakątek" otacza zewsząd siatka, sam wstęp dwa dolary, cola pięćdziesiąt centów drożej niż w sklepie, karuzela półtora. Łyżwy lub wrotki? Nie wolno z własnymi, właściciel nie może ponosić odpowiedzialności za cudzy sprzęt. Dziecko musi poczekać do niedzieli. Albo do wypłaty. Albo nawet do wakacji. Gdy tata znajdzie fundusze na wypad całą rodziną. Bo na codzien bywają tu tylko ci, co mieszkają za kościołem, w dzielnicy, gdzie najtańsza parcela kosztowała majątek, gdzie stoją kremowe, niby - hiszpańskie domki, każdy z patio i z pergolą. To dla nich właśnie, a nie dla tych z kondominiów, trudził się tak bardzo pan z żółtej ciężarówki... Czy nie dałoby się urządzić nowego świata jeszcze inaczej? Ani tak, ani tak? Bez szarżyny, śmieci, bylejakości, ale i bez kiczu, pustki i ogrodzeń wznoszonych z mamony? Bez równania w dół, które odbiera ambicje, skazuje na bierność, ale i bez ciągłego wyścigu, bez twardych dyktatów wobec słabych? Czy nie ma innej drogi? It's a good question - mawiali ludzie na Midweście, kiedy pytanie przerastało możliwości ich umysłu.